Maciej Stasiński

Diabeł umiera w Hawanie

Biblioteka Gazety Wyborczej

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Maciej Stasiński

DIABEŁ UMIERA W HAWANIE

WARSZAWA 2015

REDAKTOR Dariusz Fedor, Paweł Goźliński

KOREKTA Teresa Kruszona

PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI Paweł Sadaj

OPRACOWANIE GRAFICZNE Elżbieta Wastkowska

FOTOEDYCJA Rafał Szczepankowski

OPRACOWANIE ZDJĘĆ DO DRUKU Anna Biała

ZDJĘCIA (numery stron dotyczą wydania papierowego):
Okładka: The New York Times/East News (przód), Jose Goitia/The New York Times/East News (tył), s. 4 Wawrzyniec Święcicki (mapa), s. 25 Archivio GBB/Agenzia Contrasto/East News, s. 26 Archivio GBB/Agenzia Contrasto/East News, s. 27 Archivio GBB/Agenzia Contrasto/East News, s. 28 (górne) Alberto Korda/AP/East News, s. 28 (dolne) AP/East News, s. 29 Harold Valentine/East News, s. 30 (górne) CBS Photo Archive/Getty Images, s. 30 (dolne) The New York Times/ East News, s. 31 (górne) AFP/East News, s. 31 (dolne) Keystone Pictures/ Eyevine/East News, s. 36 Corbis/Profimedia, s. 47 Wilfredo Lee/AP/East News, s. 48 Wojciech Surdziel/Agencja Gazeta, s. 64 Bartosz Bobkowski/Agencja Gazeta, s. 78 Adalberto Roque/AFP/East News, s. 85 Bartosz Bobkowski/Agencja Gazeta, s. 86 (górne) Javier Galeano/AP/East News, s. 86 (dolne) Doug Collier/AFP/East News, s. 102 Maciej Zienkiewicz/Agencja Gazeta, s. 195 (górne) Andrej Porochnenko/East News, s. 195 (dolne) José A. Castellanos/East News, s. 196 Krzysztof Miller/Agencja Gazeta, s. 197 Jordi Vidal/Redferns/Getty Images, s. 198 (górne) AFP/East News, s. 198 (dolne) Sven Creutzmann/Mambo Photo/Getty Images, s. 199 East News, s. 258 Jobard/Sipa/East News, s. 259 (górne) Alfredo Falvo/Contrasto/East News, s. 259 (dolne) Radius Images/Getty Images, s. 260 (górne) Elisabeth Pollaert Smith/Getty Images, s. 260 (dolne) Peeter Viisimaa/Vetta/Getty Images, s. 261 Sipa/East News, s. 262 (górne) AP/East News, s. 262 (dolne) Chip Somodevilla/Getty Images

AGORA SA

ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

DYREKTOR WYDAWNICZY Małgorzata Skowrońska

REDAKTOR NACZELNY Paweł Goźliński

KOORDYNACJA PROJEKTU Katarzyna Kubicka

© copyright 2015 by Maciej Stasiński
© copyright 2015 by Agora SA

WARSZAWA 2015

ISBN 978-832-681-734-2 (epub), 978-832-681-735-9 (mobi)

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

SPIS TREŚCI

OD AUTORA. Dlaczego o Kubie?

WSTĘP. Adam Michnik, Maciej Stasiński

CZĘŚĆ I. Siedem twarzy Fidela

CZĘŚĆ II. Twarze wolnej Kuby

- Diabeł w Hawanie
- Huber Matos. Bohater wymazany
- Raúl Rivero. Zwyczajny dysydent
- Wiersze Raúla Rivero. Spóźniona modlitwa
- Héctor Palacios. Dysydent niezłomny
- Guillermo Fariñas. Oczy zagłodzonego
- Tysiące. Granie z reżimem
- Yoani Sánchez. Ja tylko pytam
- System się sypie
- Szczelina w kubańskim murze
- Elizardo Sánchez. Osiem i pół
- Yoani Sánchez, Elizardo Sánchez, Dagoberto Valdés. Paczuszka rozwala komunizm

CZĘŚĆ III. Twarze Kuby zniewolonej

- Pieśń Rewolucji. Zawsze Twoi, Komendancie!
- Złowieszczy palec Fidela. Upadlanie
- Prawdziwa Historia Buena Vista Social Club. Uciszanie
- Rewolucje nie trwają pół wieku. Rozczarowanie
- Hydraulik i golibroda ratują komunizm na Kubie. Desperacja
- Stek z grejpfruta. Załatwianie

CZĘŚĆ IV. A gdy już zamknie oczy

- Raúl Rivero. Teatr
- Czekając na ten dzień. Nurty podziemne
- Zakładnicy mitu Castro. Odwrócenie

Runą mury Fidela. Zaczyn
Tak skończy błazen. Testament Hubera Matosa
Jankesi, precz! Jankesi, witajcie! Zwycięstwo i śmiech

ANEKS

Ludzie rewolucji
Paladyni Fidela
Ludzie wolnej Kuby

NOTA EDYTORSKA

USA
ZATOKA MEKSYKAŃSKA
OCEAN ATLANTYCKI
Cieśnina Florydzka
Wielkie Abaco
Eleuthera
New Providence
NASSAU
Cat Island
Andros
BAHAMY
San Salvador
Great Exuma
Long Island
HAWANA
Matanzas
Manacas
Santa Cruz
Kanał Starobahamski
Cienfuegos
Góry Escambray
Zatoka Batabanó
Isla de la Juventud
Nueva Gerona
Cayo de Ávila
Camagüey
KUBA
Morze Wielkie Antyle
Maya guana
Acklins
Inagua
Las Tunas
Holguín
Bayamo
Góry Sierra Maestra
Guantánamo
Santiago de Cuba (Moncada)
KAJMANY
(Wlk. Brytania)
Wielki Kajman
Cieśnina Wiatrów
Rów Kajmański
JAMAJKA
KINGSTON
HAITI
MORZE KARAIBSKIE
100 km

OD AUTORA

Dlaczego o Kubie?

Wychowałem się w PRL. Na studiach byłem lewicowy – czytałem Marksa, Engelsa, Bernsteina, Hilferdinga, Lenina, Gramsciego, Lukácsa, Althussera oraz stenogramy zjazdów RKP-b z lat 20. W sporze Trockiego ze Związkiem Sowieckim rację przyznawałem Trockiemu. Pracę magisterską pisałem o wojnie domowej w Hiszpanii, gdzie rację przyznawałem rozgromionym przez NKWD trockistom z POUM, epizodzie uwiecznionym m.in. w „Hołdzie Katalonii" George'a Orwella.

Zwalczałem naszą „komunę z powybijanymi zębami" z lewa.

W stanie wojennym przeszedłem na pozycje kapitulanckie i wybrałem zgniłą wiarę, że demokracja i wolny człowiek to lepsze niż Ustrój Doskonały i Ludzkość. Barwy i imiona, pod którymi dławi się je – czerwone, czarne czy brunatne – doskonała równość w socjalizmie albo prawo, porządek i własność słabo mnie uwodzą.

Od kilkunastu lat piszę o Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej. O ich dzisiaj i ich wczoraj, kiedy wiele z tych krajów żyło pod dyktaturami, wychodziło z nich, a potem długo zmagało się z ich dziedzictwem.

Jedne – jak Hiszpania, Chile czy Argentyna – miały do czynienia z prawicowymi wojskowymi tyraniami powołującymi się na Boga i religię,

inne – z tyraniami lewicowymi tęskniącymi za ładem komunistycznym, jak Kuba.

Odróżniam jedne od drugich, ale nie znoszę ich wszystkich jako tyranii właśnie. Uważam, że są nieszczęściem dla narodów.

Pytany, które odchylenie od linii partii jest gorsze – lewicowe czy prawicowe – Józef Stalin odpowiadał: Towarzysze, oba są gorsze. Jedynie linia partii jest słuszna.

Zgadzam się z towarzyszem Stalinem. Uważam, że wszystkie odchylenia od demokracji, czyli wszystkie dyktatury, są gorsze. Wolność jest lepsza.

Jako licealista przeczytałem w „Homo faber" Maxa Frischa, że Kubańczycy to najpiękniejsi ludzie pod słońcem. Kiedy tam pojechałem jako dorosły człowiek, zobaczyłem, że ci urodziwi, pogodni, smakujący życie ludzie żyją w zardzewiałym więzieniu, które dla mojego pokolenia było już tylko opowieścią rodziców. Kiedy my w późnych dekadach poprzedniego stulecia mieszkaliśmy w kruszącym się najweselszym baraku w obozie Przodującego Ustroju, Kubańczycy w XXI wieku wciąż żyją w tęgim totalitaryzmie, który czuje się każdym nerwem ciała.

Pięć lat temu poproszono mnie o wygłoszenie na konferencji Global Forum we Wrocławiu pochwały Dam w Bieli, czyli kubańskich kobiet, żon i matek więzionych dysydentów. Rada Atlantycka przyznała im wtedy Freedom Award. To, co powiedziałem, powtarzam dzisiaj.

Szanowni Państwo!

Mam wygłosić pochwałę Dam. Kawalerom niby łatwo chwalić Damy.

Gdzie są Damy, tam i kawalerowie. Damy są w Bieli, barwie czystości i pokoju. Kawalerów za to mają czarnych, w kolorze hańby i zbrodni. Siedem lat temu wszyscy poszli do mamra pamiętnej ponurej czarnej wiosny 2003 roku, kiedy zabrała ich z mieszkań i ulic obława dyktatury, która miała dość głosu niepokornych i bezczelnych, niegodzących się na życie w milczeniu i niewoli. Miotła zagarnęła szeroko – w cieniu inwazji na Irak, niemal niespostrzeżenie poszło siedzieć 75 dysydentów, niezależnych dziennikarzy, publicystów, nieposłusznych obywateli. Ich Damy – żony, matki, siostry – z tym się nie pogodziły. Choć znękane latami dyktatury, stanęły dzielnie w obronie swoich dzielnych kawalerów – synów, mężów i braci. Od siedmiu lat nieprzerwanie żądają dla nich wolności.

Damy w Bieli to mężne kobiety.

– Cicho płynie cichy Don…
Żółty miesiąc wchodzi w dom
Kaszkiet na łbie krzywo siedzi
Żółty miesiąc cień wyśledził
Ta kobieta chora, biedna,
Ta kobieta sama jedna,
Mąż jej w grobie, syn w ciemnicy,
pomódlcie się za mnie wszyscy.

Tak pisała wielka poetka rosyjska Anna Achmatowa 70 lat temu, kiedy w więzieniach i łagrach sowieckich ginęli jej rodacy.

Choć ten poemat – „Requiem" – powstał w 1940 roku, to przecież i o nich on jest – o wszystkich kobietach, które gdzieś na świecie stoją w kolejkach pod więzieniami. Za ich murami marnieją ich mężczyźni. Także o kubańskich Damach w Bieli, choć Achmatowa nie mogła tego przewidzieć.

Minęło 70 lat, inny kraj, inny kontynent oddalony o tysiące kilometrów, mróz zastąpił tropik karaibski, ale przecież to ten sam świat. Ten sam wizg policyjnych suk, ten sam jazgot oskarżeń i obelg, ten sam grzmot pałki w łeb i wyrok: 8, 10, 25, 30 lat więzienia. Ten sam szczęk zamku w więziennej kracie, ta sama przemoc, ta sama pogarda, ta sama niewola, ten sam knebel.

Pamiętnej czarnej wiosny 2003 roku, gdy dyktatura zapolowała na dysydentów i 75 z nich skazała na wieloletnie więzienie, mąż obecnej tu w imieniu Dam w Bieli Blanki Reyes, Raúl Rivero, wybitny poeta i jeden z pierwszych niezależnych dziennikarzy na Kubie, dostał 20 lat.

Brzmi znajomo. Jak ze sławnego artykułu 58. stalinowskiego kodeksu karnego, z którego szli ludzie do łagrów milionami.

Kuba jest mniejsza od Związku Sowieckiego, skala nie ta, ale dyktatura kubańska to nie jest realny socjalizm, jaki pamięta moje pokolenie, epoka Gomułki, Gierka czy Jaruzelskiego. To tropikalny stalinizm. To Rosja lat 30., 40., Polska lat 1948-55.

Pisał z celi Raúl Rivero, a myśmy w „Gazecie Wyborczej" drukowali:

Tyran pełną gębą
To tyran krótkotrwały,
To przelotny tyran.
No, to jest tyran naprawdę interesujący,
Inicjator niepokojów.

W żadnym razie te wieczne typki i nudne
Całe życie u władzy
Tak długo, że człowiek w końcu zaczyna kochać takiego,
Że w końcu człowiek umiera dla takiego z miłości.
Że
Że człowiek
Że człowiek w końcu
Że człowiek w końcu umiera.

Na szczęście nie zawsze. Raúl nie umarł. Wyszedł w 2007 roku, wycieńczony i chory, wraz z kilkoma kolegami. Dzisiaj wychodzą następni. Z grupy 75 skazanych czarnej wiosny siedzi jeszcze 12, ale pewnie i oni rychło wyjdą.

Bo Damom w Bieli się udało. Damy w Bieli zwyciężają w zmaganiach z dyktaturą o wolność i godność swoich kawalerów, o wolność i godność swoją własną i wszystkich Kubańczyków. Wygrywają mimo nagonki propagandy, obelg, seansów nienawiści pod ich domami i na ulicach, mimo napaści. Co niedziela chodzą na mszę do hawańskiego kościoła, potem maszerują ulicami Hawany z gladiolusami w dłoniach, ubrane na biało, nie bacząc na wrzaski reżimowych bojówek.

Wygrywają dzięki swojemu uporowi. Zwyciężają dzięki ofierze Orlando Zapaty Tamayo, któremu w lutym tego roku dyktatura braci Castro pozwoliła zagłodzić się w celi na śmierć. Zwyciężają dzięki męstwu Guillermo Fariñasa, który głodował przez cztery miesiące i otarł się o śmierć.

Damy w Bieli i oni wszyscy, kubańscy dysydenci, to kontynuatorzy tradycji pokojowego oporu Mahatmy Gandhiego i Nelsona Mandeli, głosiciele zasady siły bezsilnych Vaclava Havla, dziedzice Andrieja Sacharowa, naszej „Solidarności", zwolennicy łagodnego jak aksamit, ale twardego jak kamień oporu przeciw dyktaturze i totalitaryzmowi.

Straszne, że wciąż w XXI wieku trwa ta sama ponura totalitarna zmora, która ludzkość, naród czy państwo ubóstwia, ale człowieka depcze. Ale i wspaniałe, że wciąż znajdują się tacy ludzie, którzy tak samo mężnie stają jej na drodze dęba. Jak Damy w Bieli.

Europejskiej Nagrody Praw Człowieka im. Sacharowa kilka lat temu Damy w Bieli nie chciały przyjąć, bo dyktatura nie wypuściła ich z wyspy. Mam nadzieję, Blanko, że dzisiejszą nagrodę weźmiesz. Wszak biel masz w imieniu.

– Już znowu nadeszła godzina przypomnień.
I widzę was, słyszę was, czuję was koło mnie:
Tę, cośmy do okna dowlokły bezsilną,
I tę, co nie ujrzy swej ziemi rodzinnej.
I tę, co skinąwszy nam niby znajomym,
„Przychodzę tu – rzekła – jak gdyby do domu".
Imiona ich zawsze bym chciała pamiętać,
Spisałam je wszystkie, lecz spis mi odjęto.
To dla nich utkałam ten całun żałobny
Ze słów najuboższych – a wzięłam je od nich.
To o nich codziennie i wszędzie wspominam,
I wspomnę, gdy znów przyjdzie straszna godzina.
A jeśli mi każą zamilknąć, znużonej,
Mnie, której ustami krzyczały miliony,
To niechaj z nich każda i o mnie pamięta,
gdy przyjdzie żałobne obchodzić im święta.

Oby nie było już żadnej żałoby. Wasza udręka kończy się lepiej niż tamta męka kobiet z rosyjskiej totalitarnej zmarzliny. Ale „Requiem" to też o was i do was. Achmatowa byłaby z was dumna.

WSTĘP
Adam Michnik, Maciej Stasiński

Nasza sprawa

Kuba rewolucyjna rozbudzała najszlachetniejsze marzenia o wolności i demokracji. Nie tylko na uwięzionej w dyktaturze wyspie, ale też w całej Ameryce Łacińskiej, a nawet w Trzecim Świecie, jak długi i szeroki. Kuba dzisiejsza jest grobem tych nadziei.

Kto na Kubie był i ma oczy do patrzenia, uszy do słuchania i nieco historycznej pamięci o komunizmie, wie, że urzeczywistniła się tam obezwładniająca wizja George'a Orwella. Koszmar, w którym tyranię zwie się rządami ludu, niewolę – wolnością, nędzę – dobrobytem, strach – świadomością rewolucyjną, ruinę – budowlą, a kłamstwo – prawdą.

Wolnościowy zryw tysięcy Kubańczyków w 1959 roku, poparty z zapałem przez demokratów na całym świecie, poszedł na marne. Wywrócił go na nice wódz wizjoner o żelaznej woli, wielkim darze przekonywania i usposobieniu bezlitosnego księcia doskonałego. Tyran, który zawłaszczył rewolucję, a naród poddał swojej wszechwładzy.

Były wojskowy dyktator chilijski Augusto Pinochet chełpił się, że liść

nie drgnie w jego kraju bez jego wiedzy. Chile Pinocheta było państwem okrutnych mordów i prześladowań. Ale nie było tak doskonale policyjnym i totalitarnym państwem, jakim Fidel Castro uczynił Kubę.

Dzisiaj dyktator chyli się nad grobem, ale jego tyrania jeszcze trwa. Mamy nadzieję, że go nie przetrwa, i uważamy, że im krócej się utrzyma, tym lepiej. Podziwiamy Kubańczyków, którzy wbrew rozsądkowi i instynktowi samozachowawczemu sprzeciwiają się jej. Gnębi nas los tysięcy desperatów, którzy co roku rzucają się przez morze, byle uciec z więzienia.

Ważne, żeby dziesięciolecia tłumionej nienawiści i zbiorowego upodlenia nie sprawiły, że tyrania upadnie w zgiełku odwetu i wojny domowej. Chcielibyśmy pomóc Kubańczykom przejść suchą stopą do wolności i demokracji. I namówić innych wpływowych polityków i intelektualistów, gdziekolwiek są, żeby i oni w tym pomogli.

CZĘŚĆ I

Siedem twarzy Fidela

Fidel Castro nie żyje. Umarł już dawno, z nudów. Najpierw pogrzebał mit rewolucji, którą uosabiał i którą sam zniszczył. Potem pogrzebał samego siebie – Fidela Castro, jeden z największych mitów światowej lewicy XX wieku. Po obu mitach pozostał zabobon i jego samotny, zdziwaczały, ale spełniony szaman

– Towarzyszu Radek – pytano wybitnego bolszewika w początku lat 30., gdy stalinowska kosa sięgała już kolejno po wszystkich wybitnych towarzyszy Lenina z lat rewolucji i pierwszych lat budowy państwa sowieckiego – czy możliwa jest budowa socjalizmu w jednym kraju?

Znany z poczucia humoru Karol Radek odpowiadał: – Owszem, możliwa, ale szkoda kraju.

Niedługo potem szkoda było także Karola Radka, zamordowanego w kolejnej stalinowskiej czystce.

Dzieje życia i dokonań Fidela Castro są przejmującym urzeczywistnieniem proroctwa Radka. W ciągu 48 lat Fidel Castro zrealizował największe marzenie swojego życia. Obalił dyktaturę, zdobył niczym nieograniczoną władzę i zachował ją przez całe swoje życie, został dożywotnim nieomylnym wodzem Kuby. Przy okazji zaś z narodu kubańskiego uczynił niewolników, a kwitnący pod koniec lat 50. gospodarczo kraj, bogatszy wówczas od Hiszpanii, zburzył do gruntu.

Długa wielomiesięczna agonia ostatniego na półkuli zachodniej dyktatora, którego niemal półwieczne panowanie zdominowało ideologię, geopolitykę i polityczną wyobraźnię drugiej połowy XX wieku, była groteskowym spektaklem paraliżu 11-milionowego kraju zatrzaśniętego na cztery spusty i zastygłego w bezruchu w oczekiwaniu na zgon lub powrót na tron jedynowładcy. Dowiodła, że w zmartwiałym kraju, gdzie historia stanęła w miejscu, nie ma innych wieści wartych rozgłaszania niż te o stanie zdrowia dyktatora, mimo że to właśnie była największa tajemnica państwowa, najpilniej strzeżona przed zewnętrznym wrogiem oraz narodem rzekomo miłującym wodza nad życie.

Przez wiele miesięcy po dramatycznej operacji przewodu pokarmowego sędziwego 80-letniego dyktatora, którą przeszedł w lipcu 2007 roku, wieści z Hawany kręciły się wyłącznie wokół tego, czy Fidel Castro już umiera, czy jeszcze pożyje. W przerwach między tymi spekulacjami dziennikarze próbowali przeniknąć mur, za którym skrył się reżim, by wytropić oznaki kruszenia się komunistycznej prawomyślności wśród kandydatów na dziedziców lub choćby walki o schedę po umierającym patriarsze. Reżim zaś, pozbawiony przykutego do łoża boleści wodza, który przez pół wieku osobiście zarządzał życiem wyspy, od instalacji sowieckich rakiet balistycznych i strategii wojny z imperializmem USA po dystrybucję wśród poddanych szybkowarów i żarówek, zabarykadował się w bunkrach i willach, z rzadka wypuszczając w świat starannie dozowane strzępki informacji o zdrowiu Fidela Castro. Z nielicznych wystąpień brata i następcy dyktatora Raúla Castro oraz pomniejszych hierarchów komunistycznej nomenklatury wynikało, że ich największą dumą jest to, że mimo ciężkiej choroby Castro i oddania przez niego steru władzy w inne ręce reżim nie upadł. Raúl Castro, Felipe Pérez Roque, Carlos Lage i Ricardo Alarcón z satysfakcją dowodzili doktrynalnej i dyscyplinarnej krzepy reżimu, który nie potrzebuje wszechobecności swojego twórcy, by trwać i by uszczęśliwiać naród kubański według jego rzekomego credo: „socjalizm i ojczyzna albo śmierć".

Miliony Kubańczyków nie stały w tym czasie – niczym słup soli – w oczekiwaniu na wiadomość, jak sprawuje się zoperowany przewód pokarmowy dyktatora; żyły swoim prywatnym życiem, codziennym znojem, by zdobyć ryż, fasolę albo mydło. Za to życie publiczne Kuby zamarło nawet w swoich rytualnych przejawach, niezmiennie od 1959 roku zdominowanych przez postawną figurę i niekończący się monolog brodatego, odzianego w oliwkowy mundur i wymachującego palcem wskazującym komendanta.

Bo od samego przejęcia władzy w 1959 roku po dziś dzień historia Kuby nie istniała jako dzieje kraju i narodu. Kuba została zawłaszczona przez obdarzonego niebywałą charyzmą, siłą woli oraz manią wielkości samozwańczego przywódcę, a jej dzieje stały się częścią jego własnej biografii. Tragedią Kuby było zaś przez niemal 50 lat to, że w miarę jak rósł mit zwycięskiego Rewolucjonisty, Komendanta, Wodza, który rzucił zwycięskie wyzwanie amerykańskiemu kolosowi, bezinteresownego dobroczyńcy uciśnionych ludów Afryki i Ameryki Łacińskiej, ona sama marniała, popadała w ruinę, a naród w niewolę, odrętwienie i nędzę. Im bardziej rósł i rozkwitał Fidel Castro jedynowładca, tym bardziej więdła i karlała bujna niegdyś, barokowo-tropikalna dawna Perła w Koronie hiszpańskiego imperium.

Najbardziej zdesperowani, przedsiębiorczy, najłapczywiej czepiający się życia i wolności Kubańczycy wyrywali się przez morze na emigrację. W ciągu dziesięcioleci wyjechało kilkaset tysięcy. Jest ich dziś na świecie, głównie w USA, ale także w Hiszpanii i demokratycznych krajach latynoskich, blisko 2 miliony. To oni wywieźli ze sobą i ocalili Kubę, którą zniszczyła rewolucja, jej literaturę, kino, sztukę, architekturę, kulturę w ogólności, swobodną myśl, ducha przedsiębiorczości oraz wolę życia i tworzenia. Dziś, kiedy Fidel Castro nie żyje, za nim została wyspa spustoszona, ziemia spalona, krajobraz po wojnie. Ale zadaniem Kubańczyków w kraju i na emigracji będzie od dzisiaj złożenie na powrót w jedno kraju i narodu. Zajmie to pokolenia, ale się uda.

TWARZ I
Wypieszczony panicz, atleta, awanturnik

Fidel Castro nigdy nie zawładnąłby krajem, gdyby nie jego niesłychana siła woli, zuchwałość oraz splot szczęśliwych okoliczności.

Syn ziemianina pochodzącego z hiszpańskiej Galicii rodzi się w bogatym majątku Manacas, w pobliżu miasteczka Biran, w dzisiejszej prowincji Holguin, na wschodzie kraju, i rośnie w dobrobycie jak pączek w maśle. Kończy szkoły zakonne, najpierw w Santiago de Cuba, a potem w liceum jezuickim w Hawanie, gdzie błyszczy głównie jako sprawny atleta. Na studiach prawniczych na uniwersytecie w Hawanie w latach 40. uczestniczy żywo i z pistoletem w garści w burzliwym życiu politycznym środowiska podzielonego na wściekle i krwawo zwalczające się frakcje liberalnych radykałów. Jest jednym z wielu żołnierzy zabiegających o względy studenckich bonzów rywalizujących partii – Autentycznej i Ortodoksyjnej.

Polityka od początku jest jego powołaniem, bo fascynują go władza i panowanie nad ludźmi. Jeszcze jako student bierze w 1947 roku udział w zorganizowanej przez dominikańskich uchodźców i kubańskich polityków awanturniczej wyprawie na Dominikanę w celu obalenia dyktatora Leónidasa Trujillo. Po kilkumiesięcznych przygotowaniach wyprawa się załamuje, zanim wyruszy, a Fidel Castro umyka obławie straży wybrzeża, skacząc do wody ze statku niedoszłych zdobywców i płynąc wpław do brzegu.

Rok później jedzie do Kolumbii na lewicowy międzynarodowy zlot studencki, który miał oznaczać protest przeciw konferencji panamerykańskiej. Przeobraził się on w wielkie zamieszki po zabójstwie najpopularniejszego polityka Kolumbii Jorge Eliécera Gaitána.

TWARZ II
Nieudolny prawnik, utrzymanek, utracjusz

W 1950 roku Fidel Castro kończy prawo, ale do zawodu prawnika nie ma serca. Podejmuje próby prowadzenia praktyki adwokackiej, ale są one tak nieudolne, że wytrwa w tym zawodzie ledwie dwa lata. Przez cały ten czas utrzymuje go ojciec. Hojnie. Castro nigdy nie zazna smaku pracy zarobkowej ani nie doświadczy wartości pieniędzy. Po ślubie z pierwszą żoną Mirtą Diaz-Balart, gdy dostaje od ojca 10 tysięcy dolarów na założenie rodziny i rozpoczęcie niezależnego życia zawodowego, jedzie w trzymiesięczną podróż poślubną do USA, od Nowego Jorku do Miami. Trwoni tam całe pieniądze i wraca z ogromnym lincolnem continental, za którego cła nie ma już czym opłacić. Pomagają koledzy.

TWARZ III
Zuchwalec, cudem ocalony, komunista

Po puczu wojskowym generała Fulgencio Batisty, który zburzył rewolucyjną republikę 1933 roku i obalił demokratyczną konstytucję 1940 roku, Castro przystępuje do snucia rewolucyjnych planów na całego. Rok później organizuje atak na największe koszary wojskowe kraju Moncada w Santiago de Cuba. Amatorszczyzna ataku 155 cywilów przejętych ideą zbrojnego zrywu dorównuje tylko zuchwałości ich samozwańczego wodza. Napastnicy zostają od razu pokonani, 6 ginie w walce, a 55 zostaje pojmanych i bestialsko zamordowanych przez wojskowych. 90 przeżyje, w tym Fidel Castro cudem ocalony przed samosądem wojskowych przez pewnego porucznika oraz wskutek interwencji biskupa Santiago.

Skazany za napad na 15 lat więzienia Castro wychodzi na wolność po zaledwie dwóch latach i zaraz wyjeżdża do Meksyku, skąd zapowiada, że znowu wróci, by obalić Batistę. Ruch oporu przeciw dyktaturze jest wówczas na Kubie powszechny i niemal w całości przesiąknięty ideałami liberalnej demokracji. O dyktaturze proletariatu nikt nie marzy, komuniści są nieliczni i nic nie znaczą, a zresztą po śmierci Stalina i w latach chruszczowowskiej odwilży Związek Sowiecki nie ma głowy do komunistycznych przewrotów na świecie.

Kiedy jednak w 1956 roku Castro wraca z desantem na Kubę z osiemdziesiątką oddanych bojowców na pokładzie jachtu „Granma", ma już przy sobie przekonanych komunistów – Ernesto Che Guevarę i swego brata Raúla Castro. Być może sam jest już przekonany, że rewolucja, którą chce wzniecić, powinna być komunistyczna. Ale jego manifest polityczny świeżo założonego Ruchu 26 Lipca mówi wyłącznie o przywróceniu konstytucji 1940 roku oraz reformach liberalnych.

TWARZ IV
Partyzant, triumfator, ikona

Lądowanie na południowym wybrzeżu Kuby jest klęską. Wykryci przez patrole wybrzeża zdobywcy zostają zdziesiątkowani i zaledwie garstka (20) dociera po kilku tygodniach w masyw górski Sierra Maestra. Ale przez

następne trzy lata to ta rosnąca systematycznie garstka okopanych w wysokich górach i lasach bojowników staje się symbolem ruchu oporu przeciw dyktaturze i nadzieją kubańskiej demokracji. Ich mit kreują i roznoszą po świecie media, dziennikarze, jak Herbert Matthews z „New York Timesa", którzy docierają w góry i publikują reportaże o bohaterskich patriotach kubańskich. Ale na Kubie Castro jeszcze długo nie jest najważniejszy. Jego kilkudziesięciu, a potem kilkuset partyzantów może bowiem trwać w górach, z rzadka tylko wdając się w potyczki z oddziałami armii, oraz fascynować ludzi na całym świecie wyłącznie dzięki temu, że w miastach Kuby, jak wyspa długa i szeroka, szerzy się masowy i niepowstrzymany ruch oporu, wcale lub tylko luźno związany z Ruchem 26 Lipca Fidela Castro, wiążący ręce reżimowi Batisty. Setki zamachów, bomb i akcji sabotażowych kubańskiego podziemia miejskiego kierowanego przez Directorio Revolucionario José Antonio Echeverrię oraz Franka Paisa trzyma w szachu armię oraz policję Batisty i podtrzymuje przy życiu w dalekich górach partyzantów Castro. Dopiero śmierć Echeverrii i Paisa czyni z Fidela Castro głównego przywódcę ruchu oporu przeciw dyktaturze. W lipcu 1958 roku partyzanci Castro staczają dużą prawdziwą bitwę z armią Batisty. 300 bojowników odpiera w wysokich górach pod Jigue oblężenie 10 tysięcy żołnierzy. I dopiero rozprzężenie i demoralizacja wojska oraz reżimu, którego przywódca uciekł samolotem do USA w noc sylwestrową 1959 roku, oddają władzę na wyspie Fidelowi Castro.

Obrazy święta wolności i euforii zwycięskiej demokracji, które witają wkraczającego 8 stycznia do Hawany Fidela Castro i jego brodatych towarzyszy komendantów w deszczu kwiatów i pocałunków od rozradowanych kobiet, stają się klasyką ikonografii XX wieku.

TWARZ V
Mściwy tyran, poplecznik Moskwy

Ale wszystko, co następuje potem, jest powolnym, choć systematycznym niszczeniem święta wolności i mitu rewolucji przez opętanego żądzą absolutnej władzy, bezwzględnego tyrana. Tylko uporowi światowej lewicy, przetrąconej po ujawnieniu strasznej prawdy o komunizmie sowieckim po śmierci Stalina, trzymającej się kurczowo nowej rewolucji demokratycznej, która będzie wolna od zbrodni poprzedniczek, można przypisać to, że agonia

mitu rewolucji kubańskiej i jej przywódcy była tak długa i mozolna. Tylko nielicznym nie podobają się zrazu masowe i publiczne egzekucje bez sądu oficerów i dygnitarzy Batisty w 1959 roku na rozkaz Fidela, Raúla Castro czy Che Guevary. Większość uważa, że surowa sprawiedliwość rewolucyjna jest wybaczalna po latach dyktatury. Tylko nieliczni widzą w masowych nacjonalizacjach – najpierw majątków amerykańskich w latach 60., potem kubańskich, potem zaś całej ziemi – zapowiedź powtórki z kolektywizacyjnego koszmaru Związku Sowieckiego. Wciąż nieliczni alarmują, że coś z rewolucją jest nie tak, jeśli Fidel Castro jako premier kraju i przywódca sił zbrojnych osobiście dyryguje, przemawiając godzinami, procesem swojego najlepszego komendanta Hubera Matosa, którego w 1960 roku oskarża o zdradę i skazuje na 20 lat więzienia tylko dlatego, że ten podał się do dymisji, gdy nie podobały mu się rosnące wpływy komunistyczne w elitach rewolucji. Więcej nieco zwątpi w sprawiedliwość rewolucji, gdy po rozbiciu rodzimej partyzantki antykomunistycznej w górach Escambray w 1965 roku reżim zaczyna setkami tysięcy zsyłać do łagrów bumelantów, katolików i homoseksualistów.

Ale wciąż zbyt wielu ludzi na świecie zaciska zęby, by nie utracić wiary, że Kuba to przystań sprawiedliwości społecznej i dziejowej, mimo swych wypaczeń wciąż lepsza od sowieckiego czy chińskiego komunizmu. Zbyt wielu ludzi nie rozczaruje jeszcze Fidel Castro, gdy poprze inwazję zbrojną Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Ale bardzo wielu traci wiarę w Fidela i rewolucję, gdy w 1971 roku reżim więzi i zmusza do poniżającej samokrytyki najwybitniejszego poetę rewolucyjnej Kuby Heberto Padillę. Następnych zniechęci ostateczna i całkowita sowietyzacja Kuby pod dyktando breżniewowskiego Związku Sowieckiego w latach 70. Gwiazda popularności rozbłyska jeszcze, gdy Fidel Castro objawi się jako bastion ideowego oporu przeciw fali brutalnych wojskowych dyktatur w Ameryce Łacińskiej w latach 70. Podoba się lewicy, że komunistyczna Kuba wspiera lewicowe partyzantki w Nikaragui czy Wenezueli czy interweniuje zbrojnie w Etiopii i Angoli. Wstrząsa za to zwolennikami Fidela Castro stalinowska jak z podręcznika rozprawa z najwybitniejszym generałem kubańskim, bohaterem z Angoli Arnoldo Ochoą i pułkownikiem Tony de la Guardią. Castro osądza ich i każe rozstrzelać, by ukryć masowy szmugiel kolumbijskiej kokainy do USA przez Kubę, którym trudnili się na jego własne polecenie.

TWARZ VI
Ostatni obrońca socjalizmu

Nędza kubańskiego komunizmu objawia się w całej nagości wraz z rozpadem Związku Sowieckiego. Z dnia na dzień pozbawiona ponad 7 mld dol. rocznych dotacji sowieckich gospodarka Kuby staje, przestaje działać, Kubańczykom zagląda w oczy nędza. Raz jeszcze wszechwładny dyktator żelazną ręką przywołuje kraj do porządku i ogłasza się ostatnim obrońcą socjalizmu po zdradzie towarzyszy sowieckich i kontrrewolucji w Europie Wschodniej.

Ostatnie dekady rządów Castro to wegetacja zrujnowanej wyspy, z której tysiącami co roku najodważniejsi poddani uciekają desperacko przez morze, na czym tylko się da. Dogorywającej gospodarce kraju z wielogodzinnymi wyłączeniami prądu, powszechnym brakiem wszystkiego, czego ludziom trzeba do życia, nie pozwalają zatonąć ostatecznie tylko miliardy dolarów zostawianych na wyspie przez zachodnich turystów oraz przysyłane rodzinom datki od uchodźców z USA czy Hiszpanii. A także miliardy dotacji od wenezuelskiego pupila Castro, naftowego krezusa Hugo Chaveza, który zastępuje Związek Sowiecki w maskowaniu krachu kubańskiego komunizmu. Ostatni zwolennicy Fidela Castro na świecie opuszczają go w 2003 roku, gdy wsadza na dziesiątki lat do więzienia jako zdrajców ojczyzny i agentów imperializmu 75 Bogu ducha winnych dysydentów niezależnego ruchu demokratycznego oraz rozstrzeliwuje trzech poddanych, którzy chcieli porwać łódź patrolową i uciec do USA.

TWARZ VII
Jedynowładca, komunista z wyrachowania, niszczyciel

Przez wszystkie te lata Kubą rządzi ten sam Fidel Castro. Ten sam Castro obiecuje wolność oraz demokrację i uzasadnia jej zastąpienie przez socjalizm. Ten sam Castro ogłasza, że Kubę wydźwignie do dobrobytu 10 mld ton cukru, oraz obwieszcza, że cukrowa monokultura to przekleństwo Kuby i każe zaorać ponad 60 proc. plantacji trzciny oraz zamknąć dwie trzecie wszystkich cukrowni. Ten sam Castro ogłasza w 1994 roku kubański NEP, czyli przywrócenie małej rodzinnej własności prywatnej oraz legalizację dolara,

by zaledwie kilka lat potem likwidować wszystkie prywatne przedsięwzięcia jako burżuazyjne przeżytki oraz wyjąć spod prawa obrót obcymi walutami.

Nie przez przypadek nie pisze nigdy ani słowa teoretycznej rozprawy o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, choć przez całe życie mówi o tym, żądając, by rodacy skandowali za nim „socjalizm i ojczyzna albo śmierć". Bo też Fidel Castro nigdy nie studiuje Marksa, Engelsa czy Lenina. Po komunizm sięga, bo jego totalitarny szkielet daje mu do ręki najlepsze narzędzie ustanowienia własnej absolutnej władzy nad życiem Kubańczyków. Za jego pomocą udowadnia sobie wszystko, co chce sobie udowodnić. A mianowicie, że nikt i nic nie jest go w stanie odsunąć od władzy, wszystko przewidział i wszystkim trudnościom, klęskom i spiskom sprostał. W dodatku, kiedy wydaje się, że umrze bezpotomnie i nikt nie poniesie dalej sztandaru, znajduje się spadkobierca i wyznawca tyleż żarliwy, co bogaty – Hugo Chavez, który dzięki bajońskim dochodom z ropy naftowej nie pozwala sczeznąć orwellowskiej utopii. Dotacje Wenezueli zastępują sowieckie, cofnięte przez Gorbaczowa, i podtrzymują zrujnowaną Kubę już kilkanaście lat.

Przy okazji Fidel Castro niszczy na Kubie wszystko, co jest do zniszczenia. I kiedy już z rewolucji nie pozostaje kamień na kamieniu i niczego nikomu nie musi udowadniać, jego misja dobiega końca. Dokonuje żywota. Z nudów i w poczuciu spełnienia.

Fidel Castro był jednym z siedmiorga dzieci Angela Castro, ziemianina i imigranta z hiszpańskiej Galicii, i Liny Ruz. Rodzice wcześnie oddali go do katolickich szkół w Santiago de Cuba

W rodzinnym majątku w Biran Fidel żył jak panicz

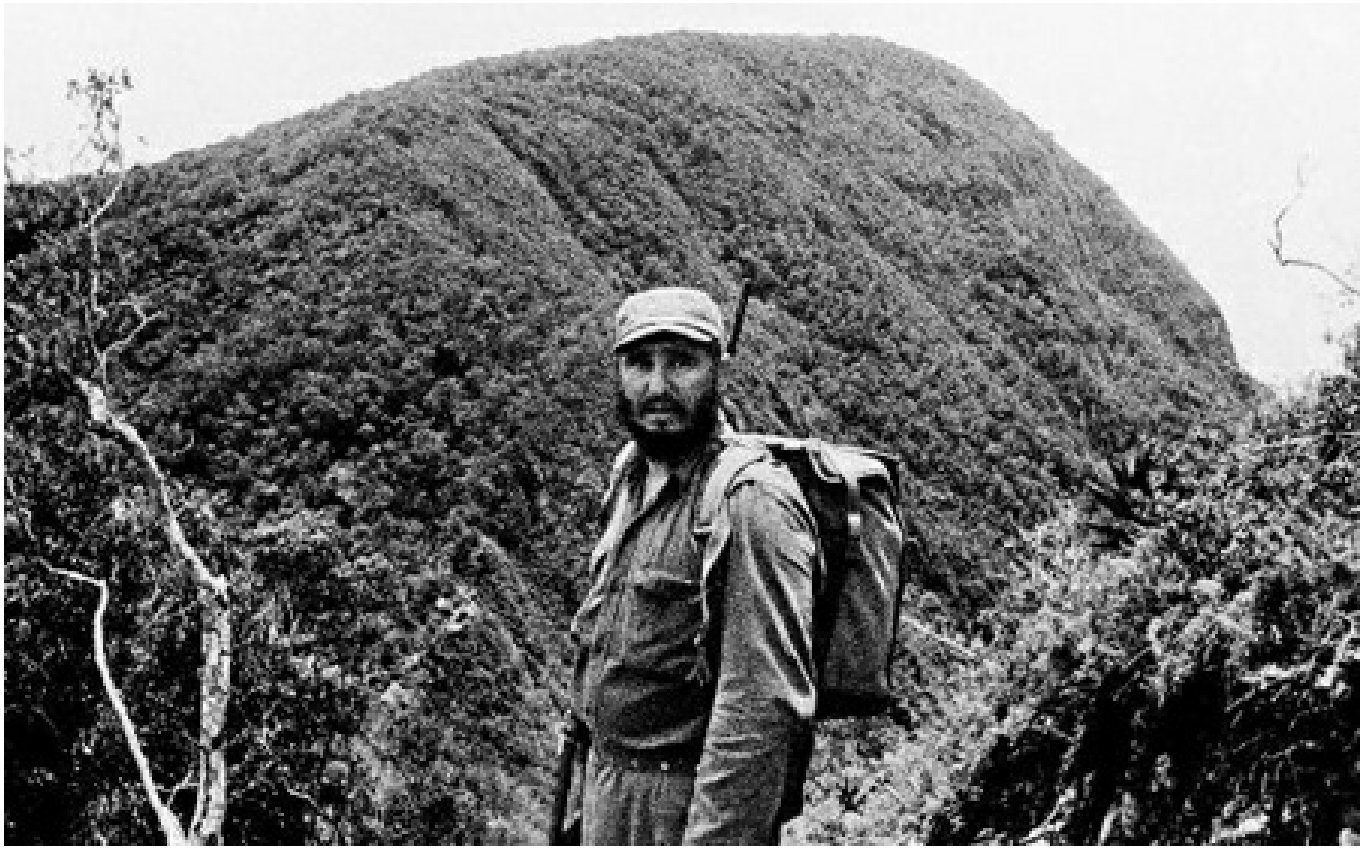

Swoją legendę Fidel Castro zbudował w czasie ponaddwuletniej partyzantki w wysokich górach Sierra Maestra na południowym wschodzie Kuby

Rewolucjoniści z Sierra Maestra zwani byli barbudos, czyli brodaci. Najpopularniejsi byli Camilo Cienfuegos (z lewej) i Fidel Castro

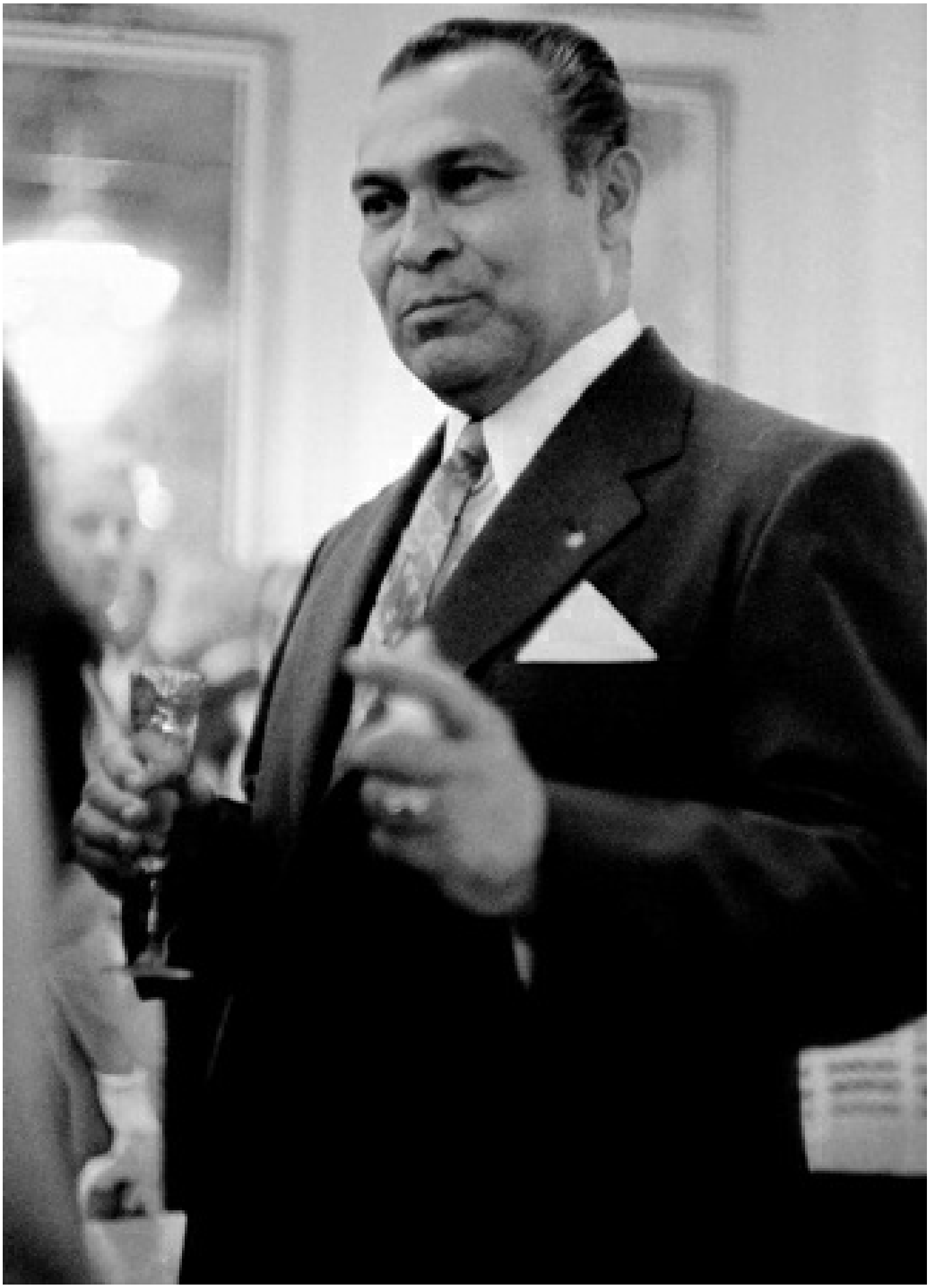

Dyktator Fulgencio Batista w czasie noworocznego przyjęcia 31 grudnia 1958 r. pożegnał się z gośćmi na bankiecie i uciekł najpierw na Dominikanę do kolegi dyktatora Rafaela Trujillo, a potem do Hiszpanii innego kamrata – generała Franco. Wywiózł z kraju ok. 100 mln dolarów

Młodszy brat Raúl Castro był od początku w cieniu Fidela, ale pozostał najmierniejszym z wiernych i najwierniejszym z miernych jego paladynów

Najbliższym towarzyszem broni Castro był od początku Argentyńczyk Ernesto Che Guevara, który otwarcie komunizował

Triumfalny wjazd partyzantów do Hawany 8 stycznia 1959 r. był dla Kubańczyków jak obietnica wolności i szczęśliwych czasów

Niedługo po rewolucji Fidel Castro pozbył się konkurentów we własnych szeregach i ogłosił przystąpienie do obozu realnego socjalizmu. Nikita Chruszczow stał się jego najważniejszym sojusznikiem

CZĘŚĆ II

Twarze wolnej Kuby

Diabeł w Hawanie
słowa i muzyka Willy Chirino

Do Hawany przybył diabeł, klnąc pod nosem wściekle,
po duszę Kubańczyka, bo żar dogasał w piekle.
By plan wykonać już, wciąż nowych trzeba dusz.

Guayaberę* wdział, cygaro wetknął w pysk

i ruszył Szatan w miasto jakby nigdy nic.
Wtem więcej tynfa wart, jak wryty staje czart.

To gra Cheito, co z trzech strun* iskry krzesze,
biegły jak pół-Bóg grajek, klękają przed nim rzesze.
Więc wyzywa go diabelskie plemię na udeptaną ziemię.

– Nie dasz mi rady, kumie, lepiej od ciebie gram.
Jak mnie zwyciężysz, złotą gitarę ci dam.
Lecz jak przegrasz, kpie, z duszą swą pożegnasz się.

A Cheito rzecze: – Dotrzymam ci pola.
Nie pękam, czarcie, niech się Boża dzieje wola.
Laur czy przegrana, przyjmuję twe wyzwanie.

Kapela się zjawia błyskiem, a Szatan jej solistą.
A jak zagrał, posłuchaj, mospanie.

(gra Diabeł)

– Dajesz sobie radę, grajek Diabłu powie:
– Ale nie ucz ojca, jak się dzieci robi.
Wolnego, jak grać trzeba, posłuchaj, kolego,
może z tej nauki nauczysz się czegoś

Chór: – Niech zagra Cheito, grajek nad grajkami,
co serca w górę dźwiga boskimi dźwiękami.

(gra Cheito)

Powoli łeb spuścił Antychryst niecnota
Porażkę uznaje, złorzeczeń nie miota.
– Jestem może łajdak, ale honorowy.
To złota gitara, twój instrument nowy.
– Nie trzeba, mówi grajek, nie chcę wcale tego.
Mam prośbę, jak nalegasz, weź jeńca innego.
Zabierz stąd ze sobą, bez rozgłosu, cicho
twego kuma, szubrawca, tę szuję, to licho,
co nami pomiata, katuje i włada,
co nam podciął skrzydła, tego szczura, gada.
A kiedy się z piekielną czeluścią przywita,
to wtedy, mój ty czarcie, wtedy będziem kwita.

Chór: Graj, Cheito, graj...

* *guayabera – biała, wyszywana karaibska koszula*
* *tres – trzystrunowa gitara kubańska*

Kto wiernie nie służył, kończył marnie. Hubera Matosa (z brodą na pierwszym planie), najzdolniejszego komendanta z Sierra Maestra, już rok po zwycięstwie rewolucji Fidel Castro posłał za kraty. Właśnie wiozą go na pokazowy proces w Hawanie wyreżyserowany przez Castro

HUBER MATOS

Bohater wymazany. **Dzieje zdrady**

Kanoniczna historia rewolucji kubańskiej, jakiej komunistyczna dyktatura naucza od ponad pół wieku kolejne pokolenia Kubańczyków, głosi, że Fidel Castro z pomocą pomniejszych pomagierów obalili tyrana Fulgencio Batistę i zaprowadzili ustrój ludowej szczęśliwości. W podręcznikach abecadła uczy się według ideologicznych ikon: „F" jak Fidel, „R" jak rewolucja.

Kiedy dyktatura upadnie, Kubańczycy przekręcą kartki historii i na odwrocie zaczną czytać inne dzieje. Poczesne w nich miejsce zajmie Huber Matos, bohater rewolucji, który zmarł 27 lutego 2014 roku na emigracji na Florydzie. Dotąd był z nich wymazany – niczym bolszewicy wymordowani przez Józefa Stalina w latach 30. XX wieku – albo spotwarzany jako zdrajca i agent CIA.

Jego życie jest jak rewers dziejów rewolucyjnej i porewolucyjnej Kuby. W jego losach Fidel Castro odbija się jak w krzywym zwierciadle, a jego spiżowy mit kruszeje.

Huber Matos zmarł na zawał serca w wieku 95 lat. Jego dawny przełożony, towarzysz walki i prześladowca 88-letni Fidel Castro przeżył go.

Matos nie doczekał się więc nagrody. Tyrania komunistyczna, której groźbę dostrzegł jako jeden z pierwszych, nie upadła. Właśnie za ostrzeganie przed nią omal nie poszedł pod mur, ale zapłacił za nie wieloletnią katorgą.

Po prawdzie nie miał prawa tak długo żyć.

– Słuchaj, Matos, jutro wychodzisz – powiedział mu strażnik więzienny Blanco Fernandez 20 października 1979 roku. – Nie zabijemy cię. Ale i tak niewiele ci życia zostało.

Więzień miał niewiele wątpliwości, że tak się stanie. Zaledwie kilka dni wcześniej został po raz kolejny zmasakrowany przez strażników.

Matos wychodził na wolność po 20 latach odsiadki w najcięższych więzieniach Kuby, po sześciu maratońskich głodówkach, wielokrotnych pobiciach oraz 5 latach męczarni w izolatce, gdzie truto go sadzą z piecyka na ropę. Po obejrzeniu jego płuc na zdjęciach rentgenowskich lekarz więzienny dawał mu pół roku życia. – Z tego już nie wyjdziesz – mówił. – Długo nie pociągniesz.

Wyszedł, choć długo jeszcze pluł sadzą. Do końca życia miał niesprawne ramię, wyrwane z barku przez strażników.

21 października Huber Matos wykąpał się, został nakarmiony i odwieziony pod strażą do ambasady Kostaryki w Hawanie. Mimo że Kostaryce, demokracji bez armii, pomagały w staraniach o uwolnienie Matosa rządy wielu krajów, intelektualiści z całego świata, między innymi wybitny brytyjski historyk Hugh Thomas, Fidel Castro nie wypuścił go przed upływem wyroku. Jednak w przeciwieństwie do innych, którym podobnie jak w stalinowskiej Rosji dodawano kolejne wyroki, by nigdy nie wyszli na wolność, wypuścił.

Tego samego dnia Huber Matos odleciał wraz z sędziwym ojcem pod eskortą agentów bezpieczeństwa na wygnanie. Nie pozwolono mu odwiedzić grobu matki, która zmarła, kiedy siedział. W San José przywitała go żona Maria Luisa i czworo dorosłych już dzieci, dziennikarze i emigranci kubańscy. Przywitał się z jednym z dorosłych synów, który dwa lata wcześniej cudem ocalał, gdy ostrzelali go agenci kubańskiej bezpieki.

W więzieniu Matos nie dał się złamać. Nie pozwalał się upokarzać, żądał statusu więźnia politycznego, protestował. Kilka razy był krok od śmierci. Może kiedyś archiwa dyktatury pokażą, czy ocalał wskutek niezwykłej odporności, czy dlatego, że Fidel Castro wolał nie mieć sławnego męczennika. Dyktator dbał o wizerunek w świecie i dozował prześladowania przeciwników. Także w późniejszych latach zwalniał skatowanych i dogorywających więźniów, zanim zmarli w celi.

Już w 1959 roku wszystko wskazywało na to, że Huber Matos skończy rozstrzelany pod murem.

Jego pokazowy proces odbył się w grudniu 1959 roku, rok po zwycięstwie rewolucji, według wzoru stalinowskich procesów z lat 30. Fidel Castro wzbogacił ponure inscenizacje sądowe odgrywane przez Andrieja

Wyszyńskiego o wiecowe elementy publicznego linczu i osobistej zemsty.

Fidela Castro nie zadowalała rola kata zza kotary, jak Stalina. Potrzebował sceny i publiczności, siebie w roli głównej. Nie wystarczało mu też ślepe posłuszeństwo i strach usłużnych sędziów. Chciał pokazać, że potrafi sprawić, iż ludzie mu uwierzą, że ma rację, którą uznają.

Przed rozprawą zwołał wiec, na którym domagał się kary śmierci. Tłum otumanionych jego tyradą ludzi wprawionych w pogromowy amok głosował przez podniesienie rąk, że zdrajca zasługuje na rozstrzelanie. Gdy na wiecu w Hawanie motłoch wrzeszczał: – Pod ścianę! – Castro kazał pod celą Matosa ustawić telewizor, by więzień miękł, widząc, jak naród się go wypiera.

W grudniu Castro wyznaczył pięcioosobowy skład tzw. trybunału rewolucyjnego oraz prokuratora, a salę teatralną w garnizonie wojskowym Columbia zapełnił 1500 wojskowych.

W kręgach władzy nie było zgody na rozprawę z Matosem. Bronili go ministrowie rządu i kilku komendantów, m.in. jeden z najważniejszych i najbardziej uwielbianych – Camilo Cienfuegos. Jednak w wąskim kręgu tajnego gabinetu faktycznie rządzących rewolucjonistów, do którego należeli bracia Castro i Che Guevara, ale nie Matos i Cienfuegos, kary śmierci domagali się i Raúl Castro, i Che Guevara.

Rozprawa rozpoczęła się 11 grudnia. W ciągu trzech dni prokurator oraz świadkowie oskarżenia, m.in. Raúl Castro, dowodzili ogromu zaprzaństwa oskarżonego: od przywłaszczenia sobie pistoletu maszynowego w Sierra Maestra, przez sabotaż reformy rolnej, po spisek zbrojny w Camaguey, gdzie po zwycięstwie rewolucji Matos został gubernatorem wojskowym. Matos zbijał zarzuty jeden po drugim niczym Danton. Oskarżyciele się kompromitowali, Matos błyszczał godnością, logiką i argumentami. Na koniec jego mowy wojskowa publiczność niespodziewanie wybuchła owacją.

Wtedy do akcji wkroczył Fidel Castro. Spodziewał się, że sądowy lincz bez niego nie pójdzie gładko, bo bratem pogardzał jako posłusznym, ale miernym intelektualnie przybocznym. Dobrze za to znał zalety Matosa. Awansował go do najwyższego stopnia komendanta po zaledwie czterech miesiącach w szeregach partyzantów, zrównując z Che Guevarą, Cienfuegosem i Raúlem, którzy mieli od niego znacznie dłuższy staż w górach. Rozprawę śledził z sąsiedniej sali i postanowił sam obsadzić się w roli oskarżyciela.

Wtargnął w eskorcie ochroniarzy na salę, podszedł do mikrofonu i zaczął przemowę oskarżycielską, którą w całości nakazał nagle transmitować przez radio. Nie tylko miotał oskarżenia i obelgi, podburzał sędziów oraz publiczność, ale sam wzywał świadków, a innym kazał zmieniać zeznania złożone w śledztwie.

Opowiadał niestworzone historie, pytał i sam sobie odpowiadał, przyjmował dramatyczne pozy, poniewierał oskarżonym jako oportunistą, krętaczem i zdrajcą, przeinaczał fakty i kłamał. Jako podłe kalumnie odrzucił zarzuty Matosa, że rewolucja oddala się od ideałów demokracji, w imię których Kubańczycy chwycili za broń, i skręca w stronę komunizmu. Mówił siedem godzin.

Matos przerywał mu kilkadziesiąt razy. Sąd przywoływał go do porządku, ale Matos raz po raz nadwyrężał impet oskarżeń.

Castro skończył mowę po północy i wyszedł. Transmisja została zakończona, rozprawa zamknięta, publiczność opuściła salę. Został tylko oskarżony.

Przed drugą w nocy sędziowie wracają na salę i wznawiają rozprawę bez publiczności i bez transmisji.

Prokurator oskarża Matosa i kilkunastu jego kolegów przez dwie godziny. Żąda kary śmierci. Potem przemawiają obrońcy.

O piątej zaczyna mówić Huber Matos. Raz jeszcze obala zarzuty, powtarza, że protestował wyłącznie przeciw grzebaniu demokratycznych dążeń rewolucji. Kończy, że jest gotów oddać życie w imię jej ideałów.

O siódmej rano oskarżonych odwożą do więzienia w twierdzy El Morro. Kiedy wsiadają do więźniarek, grupa wojskowych wrzeszczy: – Pod mur!

O czwartej po południu 15 grudnia 1959 roku zwożą ich z powrotem na ogłoszenie wyroku.

– Huber, rozstrzelają cię za to, że zdyskredytowałeś Fidela przed całym wojskiem – mówi mu żona Maria Luisa tuż przed rozprawą. – Raúl jest w furii. Widzimy się po raz ostatni.

– Chcą mnie zabić, owszem, ale Fidel się waha – odpowiada. – Wie, że wielu w wojsku mnie popiera.

Przewodniczący trybunału Sergio del Valle odczytuje wyrok. – Huber Matos: dwadzieścia lat więzienia.

Huber Matos, jeden z pięciu najważniejszych komendantów wojny partyzanckiej, najbliższy towarzysz broni Fidela Castro, Ernesto Che Guevary, Camilo Cienfuegosa oraz Raúla Castro, miał rację i szczęście zarazem. Fidel Castro nie chciał męczeństwa człowieka, którego sława była jeszcze bardzo świeża. Kuba miała w pamięci niezapomniane sceny z 8 stycznia 1959 roku, gdy karawana rewolucjonistów wjeżdżała do Hawany pośród rozradowanych tłumów. W dżipie na czele jechała trójca bohaterów: Fidel Castro, Camilo Cienfuegos i Huber Matos. Na retuszowanie zdjęć było za wcześnie.

Matosa Castro oszczędził, ale zniewagi nie zapomniał. Przez następne 20 lat znęcał się nad nim mściwie, ale znacznie szybciej przyznał mu rację.

Zaledwie kilkanaście lat po wyroku, w połowie 1961 roku, ogłosił, że rewolucja zmierza do ustanowienia komunizmu, a jej najbliższym sojusznikiem jest Związek Sowiecki.

Prawdziwą winą Hubera Matosa było bowiem od początku to, że nie godził się na totalitarny ześlizg rewolucji i nie wyznawał kultu nieomylnego wodza prowadzącego lud na barykady, ku świetlanej przyszłości. Swój opór i wątpliwości zgłaszał Fidelowi Castro od początku, ale ten je rozwiewał, zbywał i zapewniał, że od demokracji nie ma odwrotu, a komunistyczne ciągoty Raúla oraz Che Guevary sam powściągnie. Tak samo myśleli Camilo Cienfuegos, kilku ministrów i komendantów, jak Faustino Pérez czy szef głównej gazety „Revolucion" Carlos Franqui oraz prezydent, liberalny prawnik Manuel Urrutia.

Fidel Castro przez kilka miesięcy namawiał Matosa do wejścia do rządu. Chciał, by zastąpił na czele armii Cienfuegosa, którego bohemiana natura podrywacza, opoja i szaławiły dyskwalifikowała jako polityka. Matos był jego przeciwieństwem. Wykształcony, rozważny i systematyczny organizator świetnie się nadawał na filar nowej władzy. Nie nadawał się tylko na przybocznego, więc Fidel Castro chciał go wciągnąć do odpowiedzialności za rządzenie. Tłumaczył, że będzie przeciwwagą dla radykalnie marksizujących Raúla i Che.

Jeśli Matos nie chciał kierować armią, Castro proponował mu reformę rolną, która była sztandarowym hasłem rewolucji. Dzwonił do Matosa do Camaguey co tydzień, długo z nim rozmawiał i ściągał do Hawany. Matos jeździł, ale do wejścia do wąskiego kręgu prawdziwych kierowników rewolucji się nie kwapił, widząc, że wokół Fidela Castro krzepnie tajny dwór.

Wobec postępującej radykalizacji i wbrew coraz bardziej spychanemu do narożnika prezydentowi Urrutii, którego Castro ostatecznie odsunął od władzy w połowie lipca w wyniku teatralnego zamachu stanu (Fidel Castro podał się do dymisji i wymusił, by lud błagał go o powrót), Matos napisał list do Castro, zapowiadając, że odejdzie, jeśli nic się nie zmieni. Castro wezwał go na rozmowę do hotelu Hilton. Znowu zaklinał, by został, nie przyjmował do wiadomości zastrzeżeń, obiecywał, że pilnuje wolności. Przyrzekł, że kiedy Matos postanowi jednak odejść, rozstaną się jak przyjaciele.

Matos dał się przekonać na trzy miesiące.

20 października uznał, że ma dość i rano wysłał list do Fidela Castro z prośbą o dymisję.

Huber Matos pisał m.in.:

Companero Fidel,

Zgłosiłem dziś szefowi sztabu generalnego zamiar odejścia z armii (...).

Po pierwsze, nie chcę być zawadą Rewolucji i uważam, że musząc wybierać między przystosowaniem się albo skuleniem w kącie, by nie czynić jej krzywdy, jako rewolucjoniście przystoi mi jedynie odejść. (...)

Po trzecie, dla mnie Rewolucja może zwyciężyć wyłącznie ze zjednoczonym narodem, gotowym na wszelkie wyrzeczenia. Ten naród nie będzie zjednoczony i bojowy, jeśli nie połączy go program zaspokajający jego interesy i uczucia oraz kierownictwo zdolne do właściwego pojmowania problemów Kuby, nie zaś jako kwestii czy tendencji odpowiadających jedynie pewnej grupie czy wynikających z walki frakcji.

Jeśli Rewolucja ma zwyciężyć, to trzeba jasno powiedzieć, dokąd i którędy zmierzamy, bez plotek i intryg, bez wyzywania od reakcjonistów lub spiskowców każdego, kto uczciwie zgłasza podobne uwagi. (...)

Nie zamierzam urazić ani Ciebie, ani nikogo innego. Mówię, co myślę i co czuję, i jest to moje prawo Kubańczyka oddanego sprawie lepszej Kuby. Mimo że przemilczasz moją osobę, gdy mówisz o tych, którzy walczyli i walczą u Twego boku, prawdą jest, że czyniłem i czynię dla Kuby, co tylko potrafię. (...) Jeśli ktoś mi zarzuci, że kieruje mną ambicja, lub sugeruje, że spiskuję, to tym bardziej powinienem odejść, żałując przy tym, że nie byłem jednym z wielu towarzyszy, którzy padli w boju.

Moja decyzja jest nieodwołalna i proszę Cię o zgodę na odejście, bym mógł spokojnie wrócić do domu jako osoba cywilna i by moje dzieci nie musiały się dowiadywać na ulicy, że zdezerterowałem lub zdradziłem. (...)

Tego samego dnia wieczorem jego oficer łącznikowy przywozi z Hawany odpowiedź wodza. Dymisja przyjęta, niedługo przyjedzie ktoś, kto przejmie po nim dowodzenie okręgu w Camaguey.

Faktycznie jest inaczej. Fidel Castro z furią rozpętuje kampanię nienawiści i szykuje publiczny lincz. W nocy z Hawany dzwoni Camilo Cienfuegos i wzywa Matosa do Hawany. Ten obiecuje, że poleci pierwszym samolotem rano. Gdy Matos kładzie się spać, radio publiczne zaczyna go lżyć jako „psiego syna", zdrajcę i zamachowca. O czwartej rano budzi go jego zastępca kapitan Francisco Cabrera Gonzalez i mówi, że kazano mu przejąć szefostwo okręgu wojskowego. Przerażony informuje, co wyprawia propaganda. Radio podaje, że w Camaguey Matos podniósł zbrojny bunt. Fidel Castro podporządkował sobie osobiście wojsko na lotnisku oraz policję.

O szóstej dzwoni Camilo Cienfuegos i zapowiada, że leci do Camaguey.

Matos wysyła po niego adiutanta. Dwie godziny później Cienfuegos ląduje w asyście 20 uzbrojonych po zęby żołnierzy i rusza do kwatery okręgu, gdzie mieszka Matos. Ten i Cabrera Gonzalez nakazują swoim żołnierzom zachować spokój i nie stawiać oporu.

Cienfuegos wpada do domu Matosa: – Huber, zrozum, to nie moja wina, taki mam rozkaz. Fidel się myli, ale muszę się podporządkować. Masz kawę?

Rozmawiają. Potem idą do kwatery dowództwa. Tam czekają na dalsze rozkazy. Matos jest aresztowany.

W Camaguey ląduje Fidel Castro w eskorcie zbrojnej straży i ogłasza w mieście, że przyleciał zdławić bunt wojskowy zdrajcy. Dzwoni do dowództwa i żąda rozmowy z Cienfuegosem. Matos siedzi obok i słucha.

– W koszarach spokój. Nie ma buntu ani spisku, ani niczego podobnego. Ale oficerowie są wstrząśnięci. Nabroiliśmy. To jakaś pomyłka – mówi szef armii.

Fidel ruga go, każe czekać i rzuca słuchawkę.

Niedługo potem sam zjawia się na czele 4-tysięcznego tłumu i wpada do budynku. Awanturuje się z zebranymi oficerami sztabu Matosa, którzy żądają wyjaśnień. Wszystkich wyzywa od zdrajców. Każe wystawić mikrofon na balkon na pierwszym piętrze, wbiega na górę, mija w pędzie bez słowa siedzącego pod strażą Matosa i wychodzi do sprowadzonego tłumu. Ogłasza, że zdemaskował bunt stronników Batisty i dyktatora Dominikany Rafaela Trujillo pod przewodem Matosa. Żąda kary. Tłuszcza wrzeszczy: – Pod ścianę!

Matos siedzi w pokoju za jego plecami pod pistoletem wymierzonym przez głównego goryla Ramiro Valdésa. Chce wyjść na balkon i odpowiedzieć. Cienfuegos próbuje pohamować Fidela Castro, ale ten opędza się od niego i każe wyprowadzić Matosa. Razem z nim rzucają się do wyjścia jego oficerowie, wszyscy składają dymisję.

Karawana z Castro na czele odjeżdża z Matosem i jego kilkunastoma więźniami na lotnisko i stamtąd odlatuje do Hawany. Huber Matos idzie siedzieć do twierdzy El Morro.

Kilka dni później wojskowa awionetka z Camilo Cienfuegosem przepada gdzieś między Camaguey i Hawaną. Szczątków samolotu ani ciała bohatera rewolucji nigdy nie odnaleziono. Do końca życia Huber Matos wierzył, że Fidel Castro nigdy nie wybaczył mu nieposłuszeństwa i pozbył się wówczas obydwu potencjalnych rywali za jednym zamachem. Dwór Fidela oczyścił sobie drogę do samodzierżawia.

Huber Matos do konspiracji przeciw dyktaturze Batisty przystąpił zaraz po puczu w 1952 roku. Wykładał w wyższej szkole dla nauczycieli w położonym nad morzem mieście Manzanillo u stóp gór Sierra Maestra

w prowincji Oriente. Studiował pedagogikę w Santiago de Cuba, doktorat zrobił na uniwersytecie w Hawanie, przez kilka lat uczył historii w wiejskich szkołach w prowincji. Działał w Partii Ludu Kubańskiego, tzw. ortodoksyjnej, do której należał też Fidel Castro.

Knuł przeciw Batiście w swojej prowincji, poznał łączniczkę i kochankę Fidela Castro Celię Sánchez. Kiedy w grudniu 1956 roku niedobitki ze zdziesiątkowanego desantu Fidela Castro na pokładzie statku „Granma" zdołały się przebić w góry Sierra Maestra, Matos dostarczał pieniądze i żywność partyzantom okopanym w górach. Pomagał mu ojciec, który był rolnikiem w miejscowości Yara, użyczał swoich ciężarówek.

Wiosną 1957 roku Matos chciał przystąpić do partyzantów, ale Fidel mu odpowiedział, że na razie ochotników nie potrzebuje, przede wszystkim trzeba mu broni. Z bronią zostanie przyjęty.

Ścigany przez ludzi Batisty Matos schronił się w ambasadzie Kostaryki w Hawanie i stamtąd uciekł do San José. Tam konspirował z kubańskimi rewolucjonistami w kraju i na wychodźstwie, organizował dostawę broni, korespondował z Fidelem Castro za pośrednictwem emisariuszy.

Z pomocą prezydenta Kostaryki José Figueresa w tajemnicy gromadzi broń, wynajmuje pilota i samolot. 30 marca 1958 roku brawurowa ekspedycja ośmiu osób leci na Kubę z 5 tonami broni i amunicji. Lecąc nisko, spiskowcy mylą samoloty wojskowe i lądują w wyznaczonym miejscu. Samolot rozbija się na wyboistym polu, ale ludzie i ładunek są cali. Kilka godzin później w górskim obozie wita ich Fidel Castro. – Który to Huber Matos?

Ściska go serdecznie, nie posiada się z radości. – Teraz to wygramy wojnę – mówi.

Huber Matos kazał się pochować w Kostaryce, kraju, który go przyjął dwa razy, kiedy musiał uciekać z Kuby przed dwiema różnymi dyktaturami. Z obydwiema walczył i obydwie jednako chciały go unicestwić.

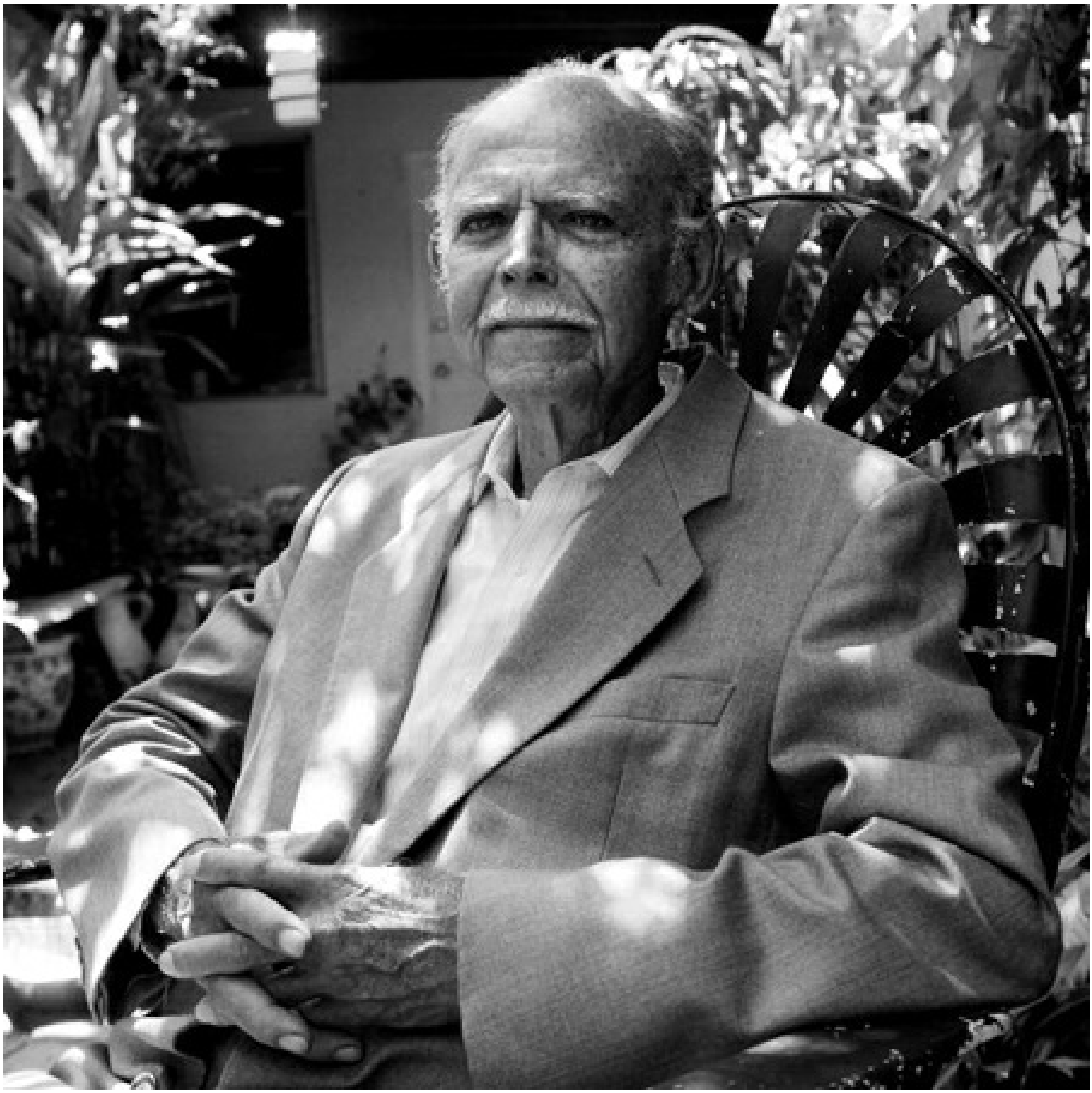

Huber Matos zmarł jako człowiek wolny w 2014 r. w Miami. Został pochowany w Kostaryce - stamtąd w 1958 roku poleciał na Kubę awionetką wyładowaną bronią, by przystąpić do rewolucji

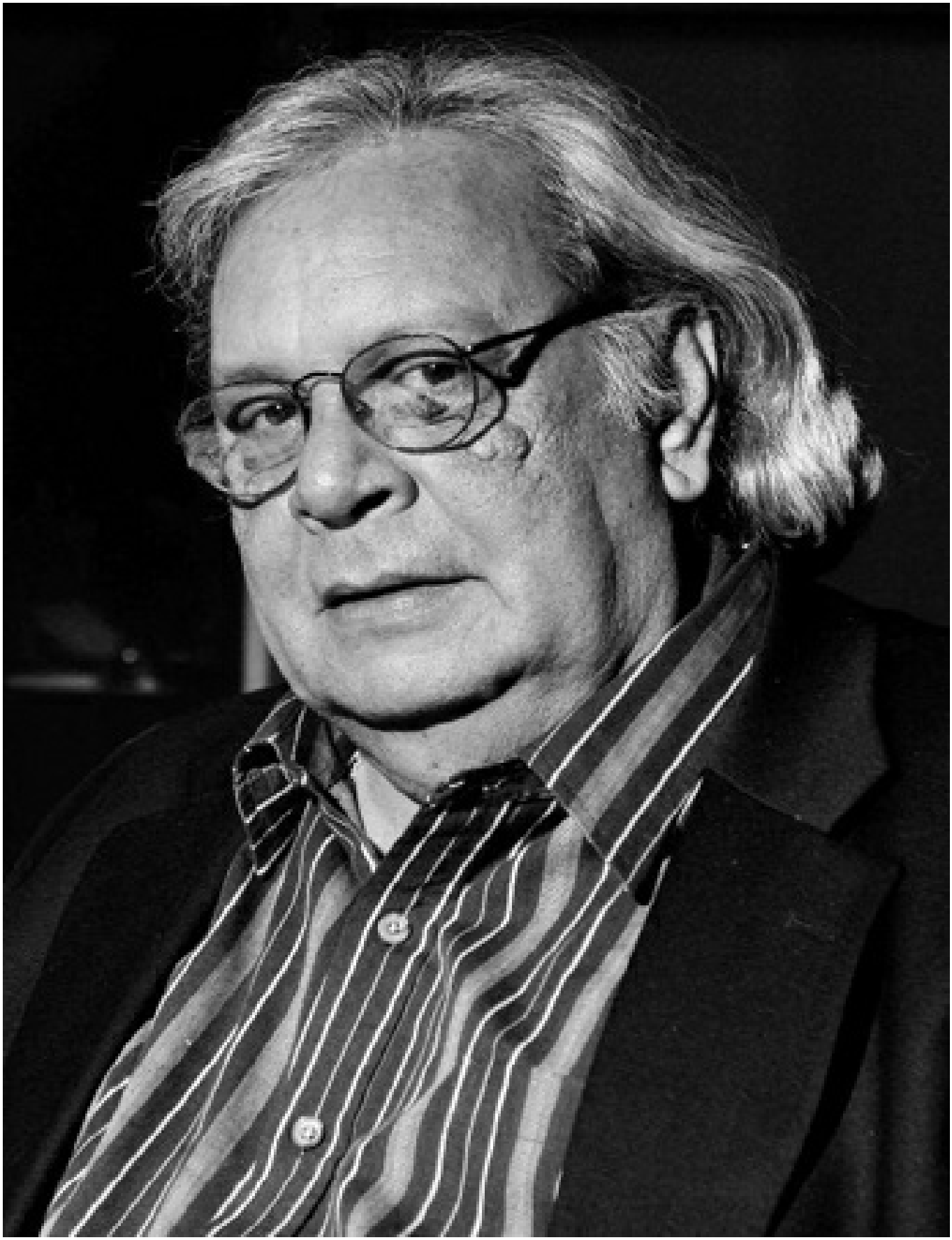

Raúl Rivero, jeden z pierwszych niezależnych dziennikarzy na Kubie, twórca agencji Cuba Press. Poeta, więzień polityczny, dziś emigrant

RAÚL RIVERO

Zwyczajny dysydent. **Geneza buntu**

Raúl Rivero ma gabaryty wieloryba, sterane latami straceńczego życia oraz więziennych przeżyć zdrowie i cierpką, ale szczerą twarz wolności. Jest sławnym poetą, wybitnym dziennikarzem i nieprzejednanym wrogiem komunistycznej dyktatury w swojej ojczyźnie

Mieszka teraz w Madrycie. Dla licznego kubańskiego wychodźstwa jest autorytetem. Nie za wrogość wobec dyktatury, bo tę wyznają wszyscy kubańscy emigranci. Zanim wyjechał, przebył cały tragiczny szlak swojego narodu. Posmakował udziału w święcie zwycięskiej rewolucji, zaznał czczej utraty złudzeń i plugawej goryczy więziennego upodlenia. Podziw jego rodaków budzi to, że Rivero wyszedł z tego wszystkiego bez nienawiści, z wiarą, że Kubę odbuduje pojednanie, a nie zemsta.

Spotykam Raúla Rivero w Madrycie, jest czerwiec 2008 roku. Pytam go, co dalej na Kubie po przekazaniu władzy przez chorego Fidela bratu Raúlowi.

– Fidel gardzi swoim bratem tak, że bardziej się nie da. Potrafi nim poniewierać bez litości. Jest o tym mnóstwo dowcipów na Kubie. Jeden idzie tak:

Do gabinetu Fidela wpada Raúl. „Mój Boże, ale upał!" – mówi od progu.

„Daj spokój, jesteśmy sami. Możesz mi mówić Fidel".

A o reformach Raúla, jak legalizacja telefonów komórkowych czy komputerów, Rivero mówi lekceważąco: – To dla elity, reszta cierpi prześladowania i wszechwładzę reżimu. Świat nie ma pojęcia, jak wygląda życie na Kubie. Obłuda nomenklatury nie zna granic. Na zewnątrz to jedno wielkie oszustwo propagandowe, za którym kryje się podziemna rzeczywistość. Królestwa lokalnych kacyków, ogromna władza i ogromne pieniądze. Podziemne enklawy kapitalizmu i rozpasanej konsumpcji. Czarny rynek wszystkiego z importu. Eleganckie buty, koszule, złote roleksy. Na prowincji dygnitarze i prywatni cwaniacy organizują nielegalne wyścigi konne i walki kogutów. Odbywają się przy takich okazjach wielkie festyny, gdzie piecze się prosiaki na rożnie, leje się rum i whisky. Oficerowie elitarnych sił specjalnych kradną z wojska ręczniki i sprzedają na lewo. Żony rewolucjonistów kradną niedostępne lekarstwa i sprzedają na czarnym rynku. Szef więzień w prowincji, gdzie siedziałem, chełpi się roleksem i nieskazitelnym pontiakiem z 1956 roku. Komendant rewolucji, szef MSW Ramiro Valdés, ukradł miliony ton cementu i wybudował sobie nad morzem przy pomocy wojska luksusową willę. Jego synowie mieszkają w Kanadzie.

Ci wszyscy ludzie nie zamierzają tego stracić, ale też nie mają żadnej ochoty na dochowanie wierności rewolucji, gdy zabraknie Fidela. Bez niego to musi runąć. Ale są wielkie pokłady krzywdy, nienawiści i odwetu. Temu trzeba zapobiec. Opozycja musi być przygotowana na otwarcie. Ludziom reżimu gotowym do zmian trzeba zostawić otwartą furtkę.

Raúl Rivero wychował się na wsi, w prowincji Camaguey. Rodzice mieli małe gospodarstwo, żyli skromnie, ale wystarczało im na niezłą szkołę katolicką dla Raúla w mieście Moron, gdzie chodziły dzieci klasy średniej. W Moron postacią był jego wuj i zarazem ojciec chrzestny, właściciel miejskiej gazety i lokalny korespondent dzienników ogólnokrajowych. Mały Raúl spędzał dużo czasu w jego redakcji, drukarni, wertował archiwum i czytał książki. Uczył się tak dobrze, że przeskoczył trzy klasy gimnazjum od razu do liceum. Idea walki z przemocą, niesprawiedliwością i chłopską biedą była piękna i szlachetna, a poparcie dla ruchu oporu wobec dyktatury Fulgencio Batisty oczywiste, ale knowania miejskich demokratów i zbrojny opór partyzancki w Sierra Maestra jakoś ominęły Raúla. Prochu nie powąchał.

Kiedy brodaci komendanci pod przewodem Fidela Castro wygrali, Raúl był w siódmym niebie i wspierał z zapałem każdy ich krok. W czasach desantu w Zatoce Świń zmobilizowany do milicji wiernie bronił ojczyzny. Do żadnej organizacji jednak nie wstąpił, do komunistów nie przystał, bo nie

lubił dyscypliny i szeregów. Pozostał za to wiernym i lojalnym towarzyszem podróży rewolucji.

W 1963 roku poszedł na historię na uniwersytet w Hawanie, a potem w latach 1965-69 na dziennikarstwo. Zaczął szybko pisać do gazety studenckiej, a potem do wielkich dzienników „El Mundo" i „Bohemia". Oddelegowali go też do rządowej agencji prasowej Prensa Latina, gdzie w oddziale propagandy na zagranicę Cuba International pisał korespondencje z życia prowincji.

Kiedyś zrobił wywiad z Vilmą Espin, żoną Raúla Castro. Napisał o niej „wysoka i ładna", wykształcona w Massachusetts. Zaraz go zawiesili na trzy dni, bo rzekomo obraził komendanta Raúla. Nie zwrócił na to specjalnej uwagi.

Egzekucje prawdziwych i domniemanych wrogów rewolucji bez sądu, pokazowe procesy towarzyszy Fidela Castro, którzy odważyli się krytykować go za autorytarne zapędy, masowe wywłaszczenia, wszystko, co wzbudzało sprzeciw niektórych dorosłych rewolucjonistów, Raúl usprawiedliwiał. Powód był zawsze ten sam, dyktował go Kubańczykom Fidel Castro. Za morzem czyhał śmiertelny wróg, któremu trzeba było czujnie stawiać czoła i dawać odpór. Jedność i zwartość szeregów ponad wszystko.

– Z oddali widać było, jak zaciskała się dyktatura. Dla nas, w środku, to postępowało niepostrzeżenie. Wciąż uczyliśmy się wszystko usprawiedliwiać. Czuliśmy się bohaterskimi bojownikami – opowiada.

– Nie raziło cię, że Castro bez pardonu wsadzał do więzień największych bohaterów rewolucji, bo odważyli się go krytykować? – dopytuję.

– Wiedziałem o sprawie Hubera Matosa – ciągnie Raúl – ale wierzyłem, że krytyka i sprzeciw to zdrada, bo oznaczają przyznawanie racji wrogowi. To była mieszanina głupoty, naiwności i oportunizmu, z czasem też strachu.

– No i próżności! To też muszę przyznać – dodaje. – Przecież nas publikowali, pisałem i widziałem swoje nazwisko. Tak komunizm kusi, kupuje twoją wolę i poparcie. Żeby utrzymać się na powierzchni, odruchowo piszesz tak, żeby zadowolić władzę, bo wiesz, co ona chce, żebyś pisał.

W 1969 roku Raúl złapał Pana Boga za nogi, dostał państwową nagrodę za tom poezji „Papel de Hombre". Miał 23 lata, a przewodniczącym jury był sam wielki Nicolás Guillén. Z wyjątkiem kilku wierszy miłosnych to była poezja jak najbardziej zaangażowana.

A z drugiej strony zdawał już sobie sprawę, że panuje myśl jedyna, że reżim cenzuruje historię i kulturę narodową. Że na milczenie, zapomnienie lub wygnanie, a nawet pogardę skazani są wielcy pisarze, jak José Lezama Lima, Agustin Acosta czy Guillermo Cabrera Infante. – Znosiliśmy to, chociaż znaliśmy ich wszystkich i podziwialiśmy!

W 1964 roku wyjechał do Portoryko wuj Raúla, jego ojciec chrzestny

i mistrz dzieciństwa z Moron. Z wyspy zaczęli uciekać też przyjaciele ze szkoły i studiów. Dochodziło do awantur.

– Miałem narzeczoną Migdalię z dobrej rodziny wiejskiej burżuazji. W 1970 roku, kiedy wyjeżdżali, powiedziała mi: „Pewnego dnia i ty będziesz musiał uciekać jak ja, zobaczysz" – wspomina Raúl i palcem ociera łzę w kąciku oka.

– Ponownie rozmawiałem z Migdalią w grudniu 2002 roku. Mówiła mi przez telefon: „Raúl, uciekaj, ale to już, bo oni cię zabiją!". Trzy miesiące później była obława. Wzięli mnie i skazali na 20 lat.

Oznak, że panuje bezwzględny zamordyzm i dyktatura, było aż nadto, ale Raúl wciąż nie pękał. W 1971 roku bezpieka aresztowała największego kubańskiego poetę Heberto Padillę za nieprawomyślne wiersze, czyli wywrotową działalność. Padilla był nie tylko uwielbianym na Kubie i za granicą poetą i intelektualistą, ale też twarzą rewolucji: zagranicznym korespondentem agencji Prensa Latina, dygnitarzem. Stał na czele Cubartimpexu, państwowego monopolisty, który decydował, jakie książki wolno sprowadzać na Kubę. W jego obronie protestowali: Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir, Alberto Moravia, Susan Sontag, Mario Vargas Llosa, Carlos Fuentes, Octavio Paz, Hans Magnus Enzensberger, Juan Goytisolo. W sumie 72 wybitnych światowych pisarzy i intelektualistów, w tym wielu wielbicieli rewolucji oraz Fidela Castro. Dyktator dał się łaskawie uprosić i zwolnił poetę z więzienia. Jednak za cenę upodlenia. Padilla musiał na publicznym zebraniu związku pisarzy wygłosić samokrytykę. Była to mieszanina upokarzającej żebraniny o łaskę, od której poeta nie mógł uciec, i szyderczej, histerycznej ironii, którą chciał swoje upokorzenie odkupić. Raúl Rivero był na sali, zapamiętał to haniebne widowisko do końca życia.

– Dla mnie od sprawy Heberto Padilli zaczął się strach. Jeśli ktoś taki może zostać tak zgnojony, to każdy może. Ze wszystkich sił wzbraniałem się przed przyznaniem, że to wszystko oszustwo. Bo musiałbym przyznać się przed sobą, że mnie zajebali od góry do dołu, że zmarnowałem całą młodość, że byłem skończonym durniem i idiotą.

Wtedy Raúl zaczął pić na potęgę. W przerwach, żeby nie zwariować, budował dom w Hawanie. A w latach 1972-73, żeby się wyrwać, dał się wysłać do Moskwy jako korespondent Prensa Latina. W ZSRR zobaczył metę, ku której zmierzała Kuba pod knutem Fidela Castro.

– To było coś okropnego! Niby przyjaźń internacjonalistyczna, szczęście i dobrobyt ludu. A wszystko to jedno wielkie kłamstwo, nędza i ucisk. Poznałem tam wielu zachodnich korespondentów, rozmawiałem z nimi o świecie, o ZSRR. Oprzytomniałem ostatecznie – mówi.

Wrócił przez Warszawę, gdzie zatrzymał się na krótko wezwany w zastępstwie korespondenta Prensa Latina, którego polscy komuniści wydalili, bo wypominał im brak rewolucyjnej internacjonalistycznej solidarności z Kubą, oraz przez Pragę.

– Na lotnisku w Pradze przeżyłem mocne chwile. Siedziałem i myślałem: może zostać i nie wracać. Ale przecież miałem na Kubie czteroletnią córkę i ojca, który był kierowcą w Prensa Latina. Jak zostanę, nie odpuszczą im – wspomina.

Po powrocie poszedł do Nicolása Guilléna, żeby mu powiedzieć, że nie chce już być dziennikarzem od bieżących wydarzeń. Przeszedł do działu kulturalnego agencji. – To było na przechowanie, prawie nic nie robiłem, hulałem.

W 1976 roku odszedł z agencji na dobre, ale wciąż bez trzaskania drzwiami. Miał już wszystkiego dosyć, widział nędzę przodującego ustroju, ale wciąż nie chciał zasadniczej awantury. Poszedł do szefa związku pisarzy Lisandra Otero i dostał kolejną synekurę, czyli etat. Właściwie nie robił nic, ale miał pensję. W 1980 roku chciał jeszcze wyjechać na placówkę korespondenta do Wenezueli, ale władze już go nie puściły.

– Odsunąłem się od wszystkiego. Zalewałem się w trupa. Zadawałem się z bandziorami, pijakami, kurwami, byle kim. Rozwiodłem się, ożeniłem i znowu rozwiodłem. W knajpach wszczynałem burdy. Wrzeszczałem na cały głos, że to wszystko gówno, wygrażałem, że dyktatura, że rządzą nami skurwysyny. Wymyślałem dygnitarzom i wszystko oczywiście do nich dochodziło. Carlos Aldana powiedział publicznie, że nigdy nie dostanę żadnej pracy. Alfredo Guevara powiedział, że jak mnie spotka, to mnie zastrzeli jak psa. Ja na to, że jak ja go zobaczę, to go maczetą posiekam. To była dzika awantura. Wszyscy w Hawanie o tym mówili.

– Biłem się. Sprzedawałem papierosy, używane buty, byle co z przemytu. Zamieszkałem z matką. Sprzedałem wszystko. Miałem jedną koszulę i jedne spodnie. A miałem już dwie córki z trzech małżeństw. Zmacałem dno. Tak przeżyłem osiem lat – Raúl mówi wolno, z oporem. – Wszystko się w moim życiu zawaliło. Byłem żebrakiem nr 1 w kraju. Na krawędzi samobójstwa.

Przełom nastąpił w 1989 roku. Reżim aresztował swojego największego bohatera wojennego generała Arnaldo Ochoę, skazał go za zdradę i rozstrzelał. Raúl Rivero uznał, że władza sięgnęła szczytu perwersji, zakłamania i zbrodni. Poszedł do ministra Abla Prieto i dał mu na piśmie, że zrywa z reżimem.

Wtedy też poznał Blancę Reyes, swą obecną żonę. W 1991 roku upadł Związek Sowiecki. Ustały dotacje. Nadeszło widmo gospodarczej katastrofy. Maria Elena Cruz Varela przyniosła mu do podpisania list. To był sławny List

Dziesięciu, pierwszy na Kubie publiczny protest opozycji podpisany przez osoby publiczne nazwiskami. Było tam żądanie uwolnienia więźniów politycznych, przywrócenia wolnego rynku na produkty rolnicze, apel o pomoc międzynarodową ONZ, by uniknąć głodu i epidemii, żądanie wolności wyjazdów za granicę oraz wolnych wyborów. Raúl podpisał bez wahania.

– Rozpętało się piekło. Napadli na nas jak wściekli. Wymyślali nam od agentów, a mnie osobiście jeszcze od pijaków i ćpunów. Sygnatariusze jeden po drugim wyjeżdżali z kraju. Wkrótce zostałem sam.

Powstawały wtedy pierwsze grupy opozycyjne wokół takich postaci, jak Gustavo Arcos, Elizardo Sánchez, Héctor Palacios. Raúl znał ich wszystkich, przyjaźnili się, ale do żadnych organizacji nie wstępował. Był zbyt niezdyscyplinowany.

Wtedy pomyślał o czymś, na co nikt przed nim nie wpadł. Chciał opisywać rzeczywistość Kuby taką, jaka była, i dawać o niej świadectwo za granicą. Postanowił wrócić do dziennikarstwa. Tym razem niezależnego. W 1991 roku z trzema kolegami założył w Hawanie klub dziennikarzy. Ale pomysł nie wypalił, bo nie sposób było przekazywać materiałów za granicę. Na rozmowę telefoniczną z USA czekało się na poczcie kilka dni.

W latach 1991-95, po rozpadzie ZSRR, na wyspie zabrakło benzyny. Żeby się utrzymać, Raúl kupił wóz konny, który robił za taksówkę w Moron. Przez dwa lata jeździł nim albo on sam, albo jego wuj wspólnik. Dzielili się zyskiem po połowie. Ale bezpieka go dopadła i zaczęły się groźby, szantaże. Musieli wóz i konie sprzedać.

W tym samym czasie mimo trudności komunikacyjnych zaczął wysyłać przez turystów pierwsze artykuły za granicę, do Hiszpanii, gdzie publikował je Carlos Alberto Montaner w swojej agencji prasowej. Zaczął na tym zarabiać.

– Z dnia na dzień przestałem pić. Przez następnych dziesięć lat nie wziąłem alkoholu do ust. Znalazłem sens w życiu. Odegrałem się na nich. Pokazałem, że nie dałem się zgnoić.

W 1995 roku Kuba uzyskała satelitarną łączność telefoniczną ze światem. Można było dzwonić za granicę z każdego telefonu. To był przełom, bo odtąd niezależne dziennikarstwo stało się praktycznie możliwe. Raúl założył pierwszą niezależną agencję prasową Cuba Press. Szybko miał w całym kraju 35 korespondentów, którzy przysyłali mu teksty do Hawany, a on słał je za granicę. Został korespondentem wielkiego dziennika „Miami Herald" na wyspie. Agencja miała własnego fotografa i laboratorium fotograficzne, wysyłali artykuły ze zdjęciami. Mieli też kamerę. Żeby wszystko było wiarygodne, Raúl filmował stand-uppery na bulwarze Malecon w Hawanie o piątej rano, kiedy bezpieka spała. Zaczął nawet organizować kursy

dziennikarskie.

Bezpieka rekwirowała faksy, wyłączała telefony. Wtedy Raúl zaczął skupować stare maszyny do pisania i wyposażył w nie wszystkich lokalnych korespondentów. W 2001 roku założył Stowarzyszenie im. Manuela Marqueza Sterlinga, zaczął wydawać czasopismo „De Cuba". Pierwszy numer zawierał list Adama Michnika z więzienia do ministra Czesława Kiszczaka z 1983 roku.

– Wyremontowaliśmy nawet jeden lokal w Hawanie, gdzie chcieliśmy urządzić szkołę dziennikarską, z klasą i zajęciami, ale nie odbyły się żadne zajęcia, bo kiedy już wszystko było gotowe, przyjechała bezpieka i zwinęła nam wszystko.

Pod koniec lat 90. Ramon Colas i Gisela Delgado uruchomili na Kubie biblioteki niezależne. Pierwsze działały np. w mieszkaniu Ricardo Gonzaleza Alfonso, naczelnego „De Cuba", który dziś siedzi w więzieniu. Raúl sam wyposażył jedną w swoje książki. Dostali czek na 10 tys. dol. i poszli z nim do państwowej dewizowej księgarni La Moderna Poesia, gdzie legalnie kupili książki do bibliotek za całą sumę. Bezpieka nie mogła nic zrobić.

Zaczęli organizować krajowe niezależne konkursy literackie na opowiadania i poezję. Przewodniczącym był Raúl. Wręczenie nagród organizowali nie tylko w Hawanie, ale i w miasteczkach na prowincji. Nagrodzone prace młodych literatów wydali w tomikach „Los ojos abiertos" (Z otwartymi oczami) i „Voces de Cambio" (Głosy za zmianą).

Opozycja była coraz śmielsza, działalność dysydentów i niezależnych dziennikarzy rozwijała się, zdawać by się mogło, niepowstrzymanie. Raúl był znany na Kubie i za granicą. Aż przyszła czarna wiosna 2003 roku. W wielkiej obławie jednego dnia bezpieka zgarnęła 76 niezależnych działaczy opozycji. Krótko potem w serii pokazowych procesów wszyscy zostali skazani na wieloletnie więzienie. Najwyższy wyrok – 30 lat. Raúl dostał 20. Spędził w więzieniu prawie dwa lata, w tym 11 miesięcy w karcerze. Wyszedł wskutek interwencji rządu Hiszpanii, króla Juana Carlosa i Gabriela Garcii Marqueza.

Wyrok nr 4 z roku 2003
Ludowy Sąd Prowincjonalny Hawana
Wydział ds. Przestępstw Przeciwko Bezpieczeństwu Państwa
Przewodniczący
Tomas Fernandez Malvarez

Sędziowie

Ramon Antonio Pérez Horta, Ivan Hechevarria Moreno, Aramis Castillo Blanco, Pelagio Cortina Lescalles

W mieście Hawanie, 5 kwietnia 2003 roku

Rozpatrzona w postępowaniu ustnym, jawnym i doraźnym sprawa nr 10 z roku 2003 o czyny wymierzone przeciw niepodległości i integralności terytorialnej państwa (...).

Skoro zostało dowiedzione, że oskarżeni Ricardo Severino González Alfonso i Raúl Ramon Rivero Castaneda, obaj nie zgadzając się z kubańskim procesem rewolucyjnym, powzięli zamiar przeprowadzenia czynów w celu zdestabilizowania i skompromitowania pomyślnego działania kubańskiego ustroju rewolucyjnego, jego instytucji oraz przywódców oraz jako że począwszy od roku 1990, sami nazywając się dziennikarzami niezależnymi, w celu skupienia kontrrewolucjonistów pracujących w służbie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej razem utworzyli Cuba Press, która zatrudniała elementy kontrrewolucyjne i której dyrektorem jest oskarżony Rivero Castaneda, a za której pośrednictwem rozpowszechniali fałszywe wiadomości o sytuacji w naszym rządzie. Jednocześnie obaj oskarżeni utworzyli 30 maja 2002 roku Stowarzyszenie Dziennikarzy Niezależnych im. Manuela Marqueza Sterlinga, z którego powstało czasopismo „De Cuba", a redaktorem naczelnym został González Alfonso. Za jego pośrednictwem dostarczali informacje rządowi Stanów Zjednoczonych w drodze doręczania ich Sekcji Interesów USA w Hawanie. W tym samym roku oskarżony González Alfonso założył w swoim domu bibliotekę, którą nazwał „Niezależną", z wielką liczbą książek natury wywrotowej otrzymanych w większości z Sekcji Interesów USA w Hawanie. Brał też udział w licznych spotkaniach z szefową Sekcji Interesów USA Vicky Huddleson i drugą sekretarz ds. kultury i prasy Miriam Mackay, od których otrzymywał wskazówki, co ma robić i jakich informacji udzielać. W kwietniu 2002 roku nawiązał kontakt ze stroną internetową Cubanet sporządzoną w celu publikowania dokumentów kontrrewolucyjnych tzw. niezależnej prasy kubańskiej i umieścił na niej kilka artykułów zawierających wiadomości zniekształcające rzeczywistość narodu kubańskiego. Współpracował także z dziennikiem „El Nuevo Herald", skąd otrzymywał 300 dolarów miesięcznie za swoje agresywne i fałszywe publikacje wymierzone w rząd kubański (...).

Skoro zostało dowiedzione, iż oskarżony Rivero Castaneda oprócz faktów już przytoczonych, począwszy od roku 2000 zaczął dostarczać informacje na stronę internetową Encuentro en la Red należącą do Międzynarodowego

Stowarzyszenia Prasy o charakterze destabilizującym państwo kubańskie, pracował jako płatny korespondent wywrotowej francuskiej agencji prasowej Reporterzy bez Granic, był autorem wywrotowych publikacji w czasopiśmie „Encuentro en la Red", za które dostawał pieniądze. Ponadto udzielał wypowiedzi na żywo antykubańskiemu Radiu Marti, rozgłośni całkowicie terrorystycznej, w których zawsze atakował rząd kubański. Pisał także dla Fundacji Hiszpańsko-Kubańsko-Amerykańskiej, której filii na Kubie jest członkiem, otrzymując pieniądze za swoje artykuły – zawsze negatywne o rzeczywistości kubańskiej. Podobnie dostarczał artykuły i pisma przywódcom organizacji kontrrewolucyjnych (...).

Zapoznawszy się z dowodami w czasie procesu, gdzie za pośrednictwem świadków, którzy zjawili się w liczbie sześciu jako sąsiedzi i którzy zaświadczyli, że widzieli kilkakrotnie, jak domy [oskarżonych] były odwiedzane przez samochody z tablicami dyplomatycznymi, a także liczne osoby narodowości kubańskiej i obcej, które pozostawały wewnątrz wymienionych nieruchomości niekiedy nawet w liczbie 15 lub 20 osób. Nie ma wątpliwości, że w tych mieszkaniach dochodziło do zebrań i świadkowie widzieli, jak [ich właściciele] otrzymywali paczki, walizeczki i koperty przywożone samochodami z tablicami dyplomatycznymi, oraz że działalność oskarżonych obliczona była na destabilizację państwa kubańskiego ze strony Stanów Zjednoczonych. (...)

Zważywszy, że udowodnione wyżej fakty stanowią przestępstwo umyślne i dokonane przeciw niepodległości oraz integralności terytorialnej państwa, wymienione w artykule 91 kodeksu karnego (...).

Zważywszy, że przy popełnieniu wymienionych przestępstw zachodzą okoliczności obciążające wymienione w artykule 53 punkty a, b, c, e, n i o, albowiem jest faktem, że [oskarżeni] faktycznie utworzyli dobrze zorganizowaną grupę zarówno w kraju, jak i za granicą w celu powiększenia osobistego majątku każdego z nich oraz że doszło do poważnych konsekwencji wskutek publikacji fałszywych wiadomości i faktów na temat prawdziwej rzeczywistości Kuby i jej osiągnięć (...).

Zważywszy, że celem wyroku nie jest jedynie ukaranie, lecz także przywrócenie u oskarżonych szacunku do obowiązującego prawa oraz do zasad socjalistycznego współżycia społecznego (...), kierując się socjalistyczną świadomością prawną i mając na względzie społeczną szkodliwość czynów oraz motywy oskarżonych, którymi były żądza zysku oraz wygodnego życia za pensje płacone przez Stany Zjednoczone.

POSTANAWIAMY: skazać oskarżonych Ricarda Severina Gonzaleza Alfonsa oraz Raúla Ramona Rivero Castanedę jako sprawców zamierzonego i dokonanego czynu przeciw niepodległości oraz integralności terytorialnej

państwa na 20 lat pozbawienia wolności (...).

Ponadto postanawia się także konfiskatę dóbr zakwestionowanych u oskarżonego Gonzaleza Alfonsa, tzn. faksu i telefonu marki Panasonic, telefonu marki Panasonic z automatyczną sekretarką oraz pamięcią, minimagnetofonu, maszyny do pisania, radia Tecsun 970, radia Grundig, kamery wideo, dwóch komputerów, skanera, aparatu fotograficznego, drukarki oraz innych przedmiotów, a także dóbr zakwestionowanych u Rivera Castanedy, a mianowicie radia marki Sony, magnetofonu z ładowarką na baterie, maszyny do pisania, komputera laptop, kamery wideo oraz innych przedmiotów (...).

tłum. MAS

WIERSZE RAÚLA RIVERO

Spóźniona modlitwa

Niech Bóg cię, Mario López, broni
I wiele innych na podwórzu ziół
Przed nikczemnością na stare lata
I niech sił ci doda, byś sama mogła wyplątać się z pętli.
Niech Bóg cię, Mario, broni,
Przed pokusami i nałogami
I byś poczuła się wolna od nienawiści
Zazdrości
I milczenia.
Niech Bóg cię broni przed męką
Złych wierszy
I prozą sklepów żelaznych,
a obdarzy wyrozumiałym lustrem,
żebyś stała się kobietą godzącą się
na brzydotę i bylejakość.
Niech Bóg cię, Mario López, broni,
Bo ty sama
Już nie dasz rady.

Remedium

Noc jest plamą niemal wieczystą.
Ja rozdzielam całą
Samotność świata.
Znajduję ratunek
Bo cień łabędzia puszczam na ścianę
I opowiadam mu o życiu Rubena Dari'o.
Poeta natychmiast obdarza nas
Złotym świtem.

Pory roku

Obudziłem się pogubiony
Listopad, szare chmury, zima na tarasie
Chciałem uczynić cię bardziej szczęśliwą
Niż pierwszego dnia
Kwiecień, mżawka, wiosna w Hawanie
Pomachałem więc z dachu
I powiedziałem błyskawicy:
Kocham tę kobietę
I muszę poświęcić się jej szczęściu.
Błyskawica oślepiająco
Podążyła swą świetlną drogą
I przekazała wiadomość.
Tego ranka opuściłem dom
I wiem, że był to
Jeden z najszczęśliwszych dni w twoim życiu.

Tłumaczył Carlos Marrodán Casas

Héctor Palacios, dawny urzędnik rządowy, potem jeden z nestorów ruchu dysydenckiego. Skazany na 25 lat więzienia w 2003 roku, wyszedł ledwo żywy i wyjechał na leczenie do Hiszpanii. Jako jedyny skazany dysydent z własnej woli wrócił na Kubę w 2008 r. i wznowił działalność opozycyjną

HÉCTOR PALACIOS

Dysydent niezłomny. **Drążenie**

Męka w castrowskim lochu zrujnowała ciało Héctora Palaciosa. Jego serce tłoczy tylko połowę krwi, płuca pracują na 40 procent, kręgosłup ma zniszczony, udar grozi mu w każdej chwili. Ale jest pogodnym i młodym duchem człowiekiem, jak na seniora kubańskiej opozycji przystało. Pewnie by taki nie był, gdyby nie o 20 lat młodsza żona Gisela Delgado. Tych dwoje uosabia to, czego nawet najbardziej sumienny totalitaryzm nie jest w stanie zniszczyć. Wolność i godność

Héctora reżim Castro wypuścił z Kuby warunkowo w listopadzie 2007 roku. Wyjechał z Giselą do Hiszpanii, gdzie lekarze przywracali go do życia. Wrócił na wyspę rok później, ale reżim już nie wsadził go z powrotem do celi.

– Nie pytaj mnie, jak przeżyłem więzienie, bo nie wiem – mówi mi Héctor. – Nie lubię wracać do przeszłości. Trzeba patrzeć do przodu. Ale opowiem.

Kiedy dziadek Alexisa de Tocqueville'a potknął się prowadzony na szafot w czasie rewolucji francuskiej, rzekł: – To zły znak. Rzymianin wróciłby do domu.

Gdyby Héctor mógł zobaczyć, rodząc się w 1943 roku w chłopskiej rodzinie w Escambray w środkowej Kubie, piekło, które miał przeżyć, może zawróciłby do łona matki. Ale zaczęło się sielanką.

Wieśniacy z Escambray byli biedni, ale żyli na swoim i mieli co jeść. Rodzina Héctora była liczna, pochodziła z Wysp Kanaryjskich. W sumie mieli 300 hektarów ziemi. Kilkudziesięciu członków rodziny pomagało sobie nawzajem. Było skromnie, ale szczęśliwie.

Dziś w Escambray nie ma ani chłopów, ani rolnictwa, tylko busz. Wszystkich, 150 tys. osób, wysiedlił Fidel Castro w 1968 roku, kiedy kończył dzieło niszczenia burżuazji. Żeby w górach nie zrodził się ruch oporu, jak jego własny przeciw dyktaturze Batisty, oraz jak ten, który powstał przeciw Castro w 1961 roku i który został krwawo zdławiony w 1965 roku.

Dzieciństwo Héctor przepracował na roli. W pobliżu nie było ani szkoły, ani kościoła. Nauczyciel i ksiądz odwiedzali chłopskie rodziny, wędrując po okolicy. – Miałem szczęście, bo nauczyłem się czytać i pisać. Ale do 15. roku życia o polityce nie wiedziałem nic.

Polityka przyszła do Escambray w 1958 roku, kiedy w domu rodziców Héctora ulokowała się partyzancka kwatera. On sam przyłączył się od razu. Brał udział w kilku potyczkach, zdobywał z Che Guevarą Santa Clara, do Hawany w styczniu 1959 roku wjeżdżał już jako porucznik armii powstańczej.

Triumf wolności, euforia, nowe życie. Héctor zrzucił mundur i poszedł pracować w stowarzyszeniu drobnych rolników. Kiedy w 1961 roku rewolucja odparła zbrojny desant uchodźców zorganizowany przez USA w Zatoce Świń, Castro ogłosił, że odtąd nie chodzi już o przywrócenie demokratycznej konstytucji, ale o socjalizm. Młodzieńcom jak Héctor nie robiło to różnicy. – Nie mieliśmy pojęcia, co to znaczy. Nie byliśmy ani komunistami, ani socjalistami, wszyscy byliśmy fidelistami. A on stoczył pierwszy zwycięski bój na całym kontynencie przeciw imperializmowi!

Héctor popierał Castro, mimo że w połowie lat 60. dokręcanie totalitarnego imadła rozbiło jego rodzinę na zwolenników i przeciwników reżimu. Ale Héctor był daleko, w Hawanie, pracował i uczył się na kursach wieczorowych, a wszystko zawdzięczał rewolucji. Nawet zdławienie ruchu oporu w Escambray, a potem zniszczenie życia jego rodziny w trakcie masowych wysiedleń nie zachwiało jego wiary. Tym bardziej że od 1968 roku brał udział w wielkim narodowym czynie, który miał uczynić Kubę mocarstwem.

W 1970 roku Kubańczycy mieli wyprodukować rekordowe 10 mln ton cukru. Powstał narodowy „Plan eksperymentalny trzciny cukrowej", a wśród kierujących nim znalazł się Palacios. Zniszczono setki tysięcy hektarów upraw

i pastwisk, które zamieniono w plantacje trzciny. Miliony urzędników, robotników i żołnierzy rzuciło swe zwykłe zajęcia i poszło ścinać trzcinę ku chwale ojczyzny i rewolucji. Cały kraj prócz plantacji trzciny stanął, świszczały tylko maczety żeńców.

Wszystko na nic. Cukru wyszło tylko 8 mln ton. Na pobojowisku zostało zniszczone rolnictwo, zarzucony przemysł, wyżęci ludzie. Zawiedziony wódz nie mógł pozwolić, by naród rozpamiętywał klęskę. – Castro wymyślił wtedy wojny rewolucyjne za granicą – opowiada Héctor. – Najpierw partyzanckie w Wenezueli, Nikaragui, Salwadorze, a potem regularne w Afryce, w Etiopii i Angoli. Posłał tam setki tysięcy ludzi.

Héctor wojska uniknął. Rewolucja potrzebowała go w gospodarce i z trzciny przesunęła na odcinek górnictwa. Został szefem kadr w ministerstwie górnictwa, a potem wiceministrem. Zaczął też studia wieczorowe. – Żyliśmy jak w kloszu. Zupełnie odcięci od świata. Mieliśmy tylko jednego przyjaciela – Związek Radziecki – i jednego wroga – Stany Zjednoczone.

Héctor podróżował służbowo. W 1976 roku był w Czechosłowacji, Polsce i w ZSRR, gdzie przez miesiąc studiował problemy syberyjskich kopalń. Realny socjalizm go nie zachwycił. Z Afryki zaczęli wtedy wracać weterani. O chwalebnej wojnie opowiadali zupełnie niechwalebne rzeczy, mówili o zbrodniach i masakrach. – To były straszne opowieści. Zaczęło mnie to brzydzić. A naczytałem się sporo, bo miałem już dyplom z psychologii i byłem na czwartym roku socjologii. Dopadły mnie wątpliwości.

Nadszedł rok 1979. Castro był przekonany, że rewolucja jest silniejsza niż kiedykolwiek. Postanowił dowieść tego światu, a zwłaszcza potężnej kubańskiej diasporze w USA. Dotąd Castro lżył ich jako sługusów imperialistów, zdrajców i robactwo. Teraz każda rodzina, która miała krewnego na wychodźstwie, miała go u siebie przyjąć. Wrogowie stali się przyjaciółmi. Castro zaprosił emigrantów, by przekonali się, jak dobrze żyje się na wyspie. I nastąpiło tragikomiczne qui pro quo.

– Przyjechało 60-70 tys. osób. Wysiedli z samolotów ludzie uśmiechnięci, zdrowi, pachnący, wykarmieni i dobrze ubrani. Przywieźli różne różności, których my na oczy nie widzieliśmy. W tym najbardziej wywrotowy ciuch świata – dżinsy. To był narodowy wstrząs. Zobaczyliśmy, jak oni żyją, a jak my.

Najpierw była radość, potem smutek rozstania – emigranci wrócili za morze, wyspiarze zostali. Prawdziwa głębia szoku cywilizacyjnego dała o sobie znać rok później, gdy grupa Kubańczyków staranowała samochodem bramę ambasady Peru i poprosiła o azyl. Po kilku godzinach na terenie

ambasady było kilkanaście tysięcy uciekinierów.

Castro nie spodziewał się, że naród go tak zawiedzie. Postanowił odciąć zdegenerowaną kończynę. Otworzył port Mariel i ogłosił, że komu się ustrój nie podoba, może się zabierać. Kubańczycy rzucili się tysiącami do Mariel. Gnała ich armia i policja; ich oddziałów specjalnych dyktator po raz pierwszy użył przeciw cywilom. Ścigała ich też nasłana przez policję polityczną tłuszcza „prawdziwych patriotów", którzy organizowali wyjeżdżającym wiece nienawiści. Z Florydy przypłynęła po zbiegów cała flota statków, łódek i motorówek. Do USA odpłynęło po lepsze życie sto kilkadziesiąt tysięcy Kubańczyków.

Na wyspie Castro nasilił terror. Służba bezpieczeństwa zaczęła pobierać systematyczne lekcje represji od KGB i Stasi. Dyktator rozbudował też armię i kupił wielkie ilości broni w ZSRR i krajach Układu Warszawskiego.

Héctor, którego rok wcześniej wycofano z górnictwa i rzucono na odcinek przemysłu lekkiego, skończył z wątpliwościami. – Poszedłem do ministerstwa, złożyłem dymisję i oddałem legitymację partyjną. Minister był wzburzony, przekonywał. Ale ja miałem dość.

Bezpieka sześć dni obrabiała go w Villa Marista, hawańskiej Łubiance. Potem go wypuszczono. – Z dnia na dzień stałem się nikim. Rozwiodłem się z żoną, z którą miałem dwójkę dzieci. Ona została przy partii. Nie miałem prawa pracować legalnie. Handlowałem, malowałem mieszkania, wynajmowałem pokój.

W latach 80. zaczęły docierać na Kubę wieści o „Solidarności", stanie wojennym, potem o Gorbaczowie i pierestrojce. Gustavo Arcos, weteran szturmu na koszary Moncada w 1953 roku, pierwszego zbrojnego buntu Castro przeciw Batiście, oraz Elizardo Sánchez zaczęli zbierać wokół siebie dysydentów. W 1983 roku Ricardo Bofill utworzył Kubański Komitet Praw Człowieka. Héctor przystał do nich: – Było nas wtedy na całej wyspie w sumie 10-15 dysydentów.

Często go zatrzymywano i przesłuchiwano, ale zawsze zwalniano. W 1989 roku założył liberalną organizację Radykałowie i Demokraci. – Chodziło o człowieka, prawa jednostki, prawo własności. Rehabilitowaliśmy liberalno-demokratyczny program, ten sam, z którym Castro szedł w 1953 roku na Moncada.

Na spotkaniu dysydentów Héctor spotkał Giselę Delgado, która od roku organizowała dyskusje buntujących się młodych.

Na to spotkanie Gisela przyszła zupełnie inną ścieżką niż Héctor. Nie znała czasów walki przeciw Batiście ani entuzjazmu 1959 roku, urodziła się sześć lat po rewolucji. Jej ojciec był chłopem, matka pochodziła z rodziny

rybaków. Rodzina ojca nigdy do zwolenników rewolucji nie należała. Od jej zwycięstwa cierpiała prześladowania; brat ojca był porucznikiem w wojsku Batisty i choć nie miał krwi na rękach, siedział w więzieniu za samą przynależność do armii. To wystarczało, by cała rodzina była napiętnowana. Ojciec Giseli mógł znaleźć tylko najgorsze zajęcia, był tragarzem w porcie. Z biedy ratowała ich pomoc rodziny ze wsi, która, póki wieśniacy mieli własną ziemię, przysyłała żywność. Ojciec powtarzał, że Castro to kat, łgarz i ciemiężyciel. – Rodzina matki, choć katolicka, była o Castro lepszego zdania, ale w tamtych czasach w społeczeństwie samczej kultury kobieta przyjmowała poglądy męża – opowiada Gisela.

W 1968 roku stryj wyszedł z więzienia i od razu wyemigrował do USA. To była kolejna plama na rodzinnym wizerunku.

Kiedy Gisela i jej rodzeństwo poszli do szkoły, tata zabronił im wstępować do pionierów i nosić czerwoną chustę, co od razu ściągnęło na dzieci wrogość. W dodatku chodzili do kościoła, rzecz jasna, przez zakrystię, nie głównym wejściem, by nie rzucać się w oczy. Kiedyś Gisela zapomniała zdjąć z szyi krzyżyk i w szkole rozpętała się awantura. Nauczycielka urządziła jej przed klasą moralny pręgierz, koledzy i koleżanki potępiali jej obskurantyzm. Rodzice musieli przenieść ją do innej szkoły. Powtarzali, że w szkole i na podwórku nie wolno jej opowiadać, o czym się rozmawia w domu. Bo oprócz pomstowania na Castro słuchali Głosu Ameryki; mieli radzieckie radio VEF, które doskonale odbierało krótkie fale.

Stosunki między rodziną ojca i matki były coraz gorsze. Wujowie ze strony matki wołali na Giselę „glistka", niby pieszczotliwie, ale jeden z nich był funkcjonariuszem straży przybrzeżnej i uciekających z wyspy nazywał zdrajcami, których należy topić. – Kiedyś ojciec się wściekł na niego i nawyzywał od kryminalistów. Potem zakazał rozmów o polityce na spotkaniach rodzinnych. A jak zmarli dziadkowie, to rodzina się całkiem rozpadła. I tak jest do teraz. Naprzeciwko mnie w Hawanie mieszka jeden mój wujek. Nie tylko nie odzywa się do mnie, ale daje swoje mieszkanie bezpiece, żeby nas śledzili.

Kiedy otwarto port w Mariel, rodzice chcieli wyjechać, ale jeden z braci Giseli był w wojsku i ojciec postanowił, że rodzina musi być razem. Rodzice wyjechali dopiero w 1999 roku, kiedy dzieci były dorosłe, razem ze starszym synem. Młodszy wyjechał dwa lata wcześniej. Gisela została sama.

Po szkole chciała studiować fizykę nuklearną na Ukrainie. Złożyła podanie w ministerstwie edukacji. Wtedy wszczęto lustrację rodziny. Wszystko znów się odezwało: i przeszłość wuja, i jego wyjazd do USA, i kontrrewolucyjne poglądy ojca, i religijne wychowanie; wyszły na jaw nawet zapisy tego, co się

mówiło w domu. Podanie odrzucono.

Gisela zaczęła pracować w biurze, chodziła na kursy komputerowe, zmuszono ją do zapisania się do Komitetów Obrony Rewolucji, ale prócz płacenia składek nie udzielała się. Wyszła za mąż w 1983 roku, dwa lata później urodziła córkę, ale rozwiodła się już po pięciu latach. Jej mąż nie chciał, by pakowała się w kłopoty polityczne, a ona nie zamierzała siedzieć cicho. Jej przyjaciele, którzy studiowali na Ukrainie, donosili o zmianach, o powstającym ukraińskim Ruchu. Po rozwodzie zapisała się na uniwersytet. Zaraz ją wyrzucili – z kolegami organizowała podziemne kółka dyskusyjne. W 1988 roku Kubę miał odwiedzić sprawozdawca ds. praw człowieka ONZ. Chcieli mu wręczyć list na temat ich łamania.

– Aresztowali mnie, kiedy szłam z listem na spotkanie. Przesłuchiwali osiem godzin, wyzywali od kurew, grozili odebraniem córki. Potem wzięli do domu na rewizję. Zabrali wszystko: książki, magnetofon, radio VEF. Jak protestowałam, jeden wrzasnął: „Rewolucja robi to, co jej się żywnie podoba!". Chcieli, żebym podpisała zobowiązanie, że zaprzestanę wrogiej działalności. Odmówiłam. Puścili.

Wtedy na spotkaniu Radykałów i Demokratów w jej własnym mieszkaniu poznała Héctora. W 1990 roku zamieszkali razem, ale ślub musieli przekładać dziesięć razy, bo co rusz zatrzymywała ich bezpieka. Razem zakładali kolejne organizacje – Akcję Obywatelską, Narodowe Zjednoczenie Liberalne.

Wtedy rozpadł się ZSRR, Kuba straciła 7 mld dol. dotacji, a reżim zachwiał się w posadach. Z nomenklatury zdezerterowało 500 osób, jechali służbowo za granicę i zostawali. Castro jednak nie popuścił: komunizm może sobie runąć w ZSRR, ale nie u niego. Zarządził „okres specjalny", zażądał wyrzeczeń, wzmógł represje. Héctor Palacios założył wtedy Partię Solidarności Demokratycznej nazwaną tak na cześć polskiej „Solidarności", liczyła cztery tysiące członków. Zaczął też zbierać rozproszoną represjami rodzinę. Aresztowano go w 1993 roku, dostał dwa lata.

– Tym razem widać było, że idą na ostro. Na przesłuchaniach ubowiec miał na stole rewolwer. Groził. Kiedyś zabrali mnie z celi o 2 nad ranem. Wsadzili do auta i powieźli gdzieś na pustkowie. Tam mnie wyciągnęli. Obok stała przygotowana trumna, był lekarz, pluton egzekucyjny. Cel, pal. Myślałem, że nie żyję. A tu nic. Wybuchnęli rechotem. „No, co? Spietrałeś się? Zeszczałeś się? Pokaż gacie!". Ale ja wtedy pierwszy raz pokonałem strach. Spodnie miałem suche i nawet kolana mi się nie trzęsły.

W 1996 roku kubańskie myśliwce zestrzeliły nad wodami międzynarodowymi trzy awionetki rozrzucające nad Kubą ulotki emigrantów

z Miami. Na całym świecie oburzenie było wielkie. Héctor, Gustavo Arcos, Oswaldo Payá, Martha Beatriz Roque, Vladimiro Roca, Elizardo Sánchez po raz pierwszy jawnie rzucili rękawicę dyktaturze. 24 lutego 1996 roku zwołali zebranie Rady Kubańskiej (Concilio Cubano), stowarzyszenia kilkudziesięciu organizacji dysydenckich. Żądali amnestii dla więźniów politycznych i przywrócenia demokracji. Przybyło 500 delegatów z całego kraju. Wszyscy poszli siedzieć.

– Trzymali mnie 11 dni. Cały czas mnie przesłuchiwali, siedziałem na kamiennej ławie i nie wolno mi było ani wstać, ani się położyć. Nie dawali spać. Zacząłem sikać krwią. Potem odwieźli do domu, nasłali bojówkę i zrobili wiec potępienia.

W tym samym roku Castro pojechał na szczyt iberoamerykański do Chile, gdzie niespodziewanie podpisał deklarację na temat demokracji i pluralizmu. Kiedy wrócił, Héctor Palacios ogłosił, że Castro to największy łgarz w dziejach Kuby, który sprzeniewierzył się wszystkim zasadom wolności i demokracji, od manifestu przed atakiem na koszary Moncada aż po szczyt w Chile. Zabrali go. Dostał trzy lata.

Dwa lata później przyjechał na Kubę Jan Paweł II. – Słyszał o mnie. Przed przyjazdem poprosił, by mnie zwolnili i umożliwili mu spotkanie ze mną. Ale ani mnie nie zwolnili, ani nie dali mu się ze mną spotkać. W celi ustawili mi jednak telewizor, bym mógł obejrzeć mszę, a zaraz po wyjeździe papieża puścili mnie. Mam od papieża medalik z Matką Boską z Caridad, przekazał mi go jeden biskup.

Po wyjściu Héctor utworzył Ośrodek Studiów Społecznych, który organizował warsztaty dla ponad stu różnych ugrupowań opozycyjnych. Ośrodek stał się jednym z głównych wehikułów akcji zbierania podpisów pod wymyślonym przez Oswaldo Payę Projektem im. Vareli, pięciopunktowym żądaniem rozpisania referendum w sprawie zwolnienia więźniów i przywrócenia wolności obywatelskich. Akcja odniosła niebywały w państwie policyjnym sukces. Mimo nagonki bezpieki ponad 11 tysięcy Kubańczyków, podpisując się imieniem i nazwiskiem, zażądało plebiscytu, a Payá zawiózł petycję wraz z kartonami podpisów do siedziby Zgromadzenia Narodowego. Castro petycję zignorował, ale kazał uchwalić zmianę konstytucji, która socjalizm ogłosiła nieodwracalnym.

W 1998 roku dyktator ogłosił, że to nieprawda, iż na wyspie jest cenzura: – Na Kubie nie ma książek zakazanych, brakuje tylko pieniędzy na ich zakup. Gisela Delgado i Ramon Colas, młody psycholog, chłopski syn i niezależny dziennikarz, postanowili złapać go za słowo. W prywatnych domach zaczęli zakładać sieć niezależnych bibliotek, pierwsza powstała w domu Giseli

i Héctora, miała 300 książek. – Ogłosiliśmy apel do społeczności międzynarodowej, ambasad krajów demokratycznych, by nam pomogli. Zaczęły napływać książki, czasopisma, taśmy – opowiada Gisela.

Po kilku latach biblioteka dorobiła się ośmiu tysięcy książek i taśm wideo oraz 30 tys. czytelników. Mimo rewizji i konfiskat bibliotek przybywało. – Zaczęliśmy organizować kółka samokształceniowe dla kobiet, odczyty o prawach człowieka. Pomagaliśmy przezwyciężyć strach, autocenzurę. W 2007 roku w niezależnym konkursie literackim wzięło udział 230 młodych poetów i pisarzy. Wydaliśmy ich „Głosy za zmianą". Dziś mamy ponad sto bibliotek, skorzystały z nich już dwa miliony ludzi.

Wyglądało na to, że ruch dysydencki będzie się rozlewał coraz szerzej, że ludzie przestają się bać, a reżim traci ideologiczny wigor. Nic z tego. Cios spadł 18 marca 2003 roku. Dyktator uznał, że dysydenci pomylili tolerancję ze słabością. Gdy światowe media były zajęte śledzeniem, jak USA atakują Irak, bezpieka Castro urządziła wielką obławę na dysydentów. W ciągu jednego dnia zatrzymano 75 osób, ze znanych uchronił się tylko Oswaldo Payá, pewnie dlatego, że właśnie dostał Europejską Nagrodę Praw Człowieka im. Sacharowa.

– Nalot na mój dom był niesamowity – opowiada Héctor. – Przyjechało kilkudziesięciu agentów. Obsadzili nawet okoliczne dachy z karabinami gotowymi do strzału. Zbiegło się kilkaset osób z sąsiedztwa. Zabrali książki, wszystko, jak leci, pakowali w worki. Przez dwa dni przesłuchali mnie 11 razy. Znowu pistolet na stole. Grozili karą śmierci. I znowu czułem, że chyba mnie rozstrzelają.

Mógł tak myśleć. Przed procesem siedział z dwoma handlarzami narkotyków oraz młodziutkim Murzynem, którego straż przybrzeżna zatrzymała, jak z dwoma kolegami próbował porwać prom pasażerski i zwiać nim do USA. Media na świecie trąbiły o terroryzmie, więc i Castro uznał niedoszłych porywaczy za terrorystów i kazał skazać ich na śmierć, mimo że nikomu w trakcie nieudanego porwania nie spadł włos z głowy. Sądzono, że to na pokaz, że w ostatniej chwili porywaczy ułaskawią. Adwokat zapewniał chłopaka, że kary śmierci nie będzie.

Kiedy do więzienia zgłosiła się matka porywacza i poprosiła o widzenie, powiedziano jej, by wróciła nazajutrz. – Chłopak był spokojny, cieszył się, że matka przyjdzie – opowiada Héctor. – Umył się, uprał buty, chciał schludnie matkę przywitać. O dziesiątej wieczorem przyszli po niego. Myśleliśmy, że na przesłuchanie. A rano przyszli po jego rzeczy. Zrozumieliśmy, że go zabili. Jak przyszła matka, powiedzieli, że wyrok wykonano. Byliśmy pewni, że teraz nasza kolej.

Dwa dni po egzekucji zaczęły się procesy 75 dysydentów. Héctora, skutego za ręce i kostki, wzięli na salę wypełnioną dwustoma agentami służby bezpieczeństwa. Każdy z oskarżonych miał na sali tylko jedną-dwie osoby z najbliższej rodziny. Adwokatów zobaczyli też dopiero na rozprawie.

– Byłem najstarszy. Radziłem kolegom, żeby nie rozmawiali ani z prokuratorem, ani z sędzią. Sam odmówiłem odpowiadania na pytania. Zgodziłem się zeznawać tylko przez adwokata. Przez godzinę oskarżałem reżim, że to nie żaden sąd, tylko komunistyczna zemsta, że nie reprezentują żadnego prawa. Próbowali mi przerywać, ale nie dałem. Nie bałem się, w środku byłem zimny jak kamień.

Proces trwał bez przerwy 26 godzin. Prokurator żądał dożywocia, sąd skazał Héctora na 25 lat. Pozostali dostali od 8 do 30 lat. Po wyrokach wszystkich wywieźli do więzień położonych jak najdalej od ich domów. Héctor trafił do zakładu o zaostrzonym rygorze „Kilometr Pięć i Pół" razem z sześcioma innymi skazanymi. Przez pierwsze pięć miesięcy nie miał prawa do odwiedzin.

Od razu podniósł bunt. Odmówił noszenia stroju więziennego, nie witał się ze strażnikami, odmawiał rozmowy z dyrektorem. Obiecali, że zobaczy Giselę, jeśli ją namówi, by przestała się awanturować. Bo Gisela zaraz po wyroku założyła z pozostałymi kobietami skazanych ruch Dam w Bieli i wyszła na ulicę protestować. Odmówił. Postanowili go złamać.

– Wsadzili mnie do lochu, niecałe półtora metra na półtora, z sufitem tak niskim, że nie mogłem się wyprostować, bez okien, bez wentylacji. W ziemi była dziura do załatwiania się. Było stale 50 stopni. Spałem zwinięty na podłodze z ustami przy szparze pod drzwiami, którędy dochodziła strużka powietrza. Chwilami myślałem, że nie żyję. Układ krążenia mi wysiadał. Pękały mi naczynia w nogach. Przestałem sikać, nie działały nerki, tylko się pociłem. Traciłem przytomność, bo jak się potem okazało, pękały mi naczynia w mózgu. Tak przeżyłem blisko trzy lata. Jak, nie umiem wytłumaczyć. Giselę widziałem tylko raz.

A Gisela nie ustawała w protestach. Wzywali ją i namawiali, by się uspokoiła. – Dyskutowałam z nimi. Ja mam swoje racje, wy macie swoje. Héctor robił, co uważał, wy go skazujecie. Dobrze, ale z jakiej racji się nad nim znęcacie? Nie macie na to żadnego paragrafu.

No to zabrali się i za nią. Jej córka miała iść na studia. Wzięli ją na przesłuchanie, wyzywali od imperialistycznych najemniczek, próbowali nakłonić, by się wyrzekła rodziców. Kiedy lżyli Héctora, broniła ojczyma, mówiła, że wszystko mu zawdzięcza i jest z niego dumna. W końcu przyjęli ją na informatykę. Poznała chłopaka, z którym zaczęła dyskutować o polityce.

Mówił, że jej rodzice wysługują się imperialistom. Zerwała z nim. Okazał się wtyczką bezpieki. Na uczelni ciągle ją wzywali i ostrzegali. Latem 2007 roku, kiedy skończyła trzeci rok, kazali podpisać lojalkę i że wybiera państwo, a rodziców się wyrzeka. – My tu kształcimy rewolucjonistów, nie zdrajców – oświadczyli. Odmówiła. Wyleciała ze studiów.

– Teraz jest w Meksyku – mówi Gisela. – Sama ją namówiłam. Musi korzystać z młodości, uczyć się. Nie chciałam, by miała takie życie jak ja. Mnie ze studiów wyrzucili najpierw w 1987 roku, a potem w 1996 roku ze studiów korespondencyjnych.

Kiedy Héctor dogorywał w karcerze, zabrano go do szpitala, by nie mieć trupa w więzieniu. Trafił do supernowoczesnej kliniki, gdzie teraz leczą Castro. Operowali go, wyciągnęli 24 kamienie żółciowe. Gdy jako tako przyszedł do siebie, zwolnili. Był grudzień 2006 roku – Wydali mi wrak człowieka, ale całą dokumentację medyczną zatrzymali – mówi Gisela.

Héctor ma zdrowie zrujnowane nieodwracalnie. Co chwila musi się kłaść z nogami w górze – serce nie daje rady pompować krwi do dolnej połowy ciała. Brakuje mu tlenu, bo płuca są sprawne w 40 procentach. Ma dwukrotną dyskopatię. W szpitalu w Madrycie wykryto coś we krwi, podejrzewają raka szpiku.

Nie sposób powiedzieć, jak zachowuje energię i pogodę ducha. Po wyjściu na wolność powołał Liberalne Zjednoczenie Republiki Kubańskiej złożone z 17 różnych organizacji. – Mówiłem wszystkim: musimy powoływać instytucje do rozmów z reżimem, bo do nich dojdzie. Na Kubie są cztery główne nurty opozycyjne: socjaldemokraci, liberałowie, chrześcijańscy demokraci i konserwatyści. To są już tysiące ludzi. Niech nikogo nie myli niezliczona liczba partyjek. Są rozdrobnione, bo łatwiej uniknąć represji. Kiedyś się połączą.

Jest pewien, że dyktatura się sypie. Objawy są liczne. Strażnicy więzienni zaczynają bąkać, że dręczą więźniów, bo im każą. W więzieniach zainstalowano telefony. Dygnitarze reżimu spotykają się z dysydentami, słuchają, pytają, potakują. Niektórzy mówią: możemy rozmawiać o wszystkim prócz Castro. Wysyłają sygnał, że oni są w porządku, żeby o tym pamiętać i w przyszłości dać im szansę. W ubiegłym roku reżim kazał zbierać postulaty od ludności. Zebrano 30 tysięcy i teraz je badają. Brat Fidela Raúl przebąkuje zaś, że ziemia należy się tym, którzy na niej pracują, że może część pensji trzeba wypłacać w dewizach.

– Już tylko fidelizm się trzyma. Jak świątek. Ale jak zabraknie Castro, wszystko trafi szlag. Jestem tego pewien – mówi Héctor. – A wtedy trzeba rozmawiać. Ale trzy rzeczy muszą zostać zagwarantowane. Po pierwsze,

musimy uniknąć chaosu, odwetu i przemocy. Po drugie, każdy musi mieć prawo wrócić na wyspę, nie ma mowy o dyskryminacji uchodźców. A po trzecie, nikt nie może stracić domu, prawa do edukacji i opieki zdrowotnej. Ale Kuba się dźwignie szybciej, niż ktokolwiek przypuszcza. Mamy blisko trzy miliony emigrantów. I wszyscy chcą na Kubie inwestować.

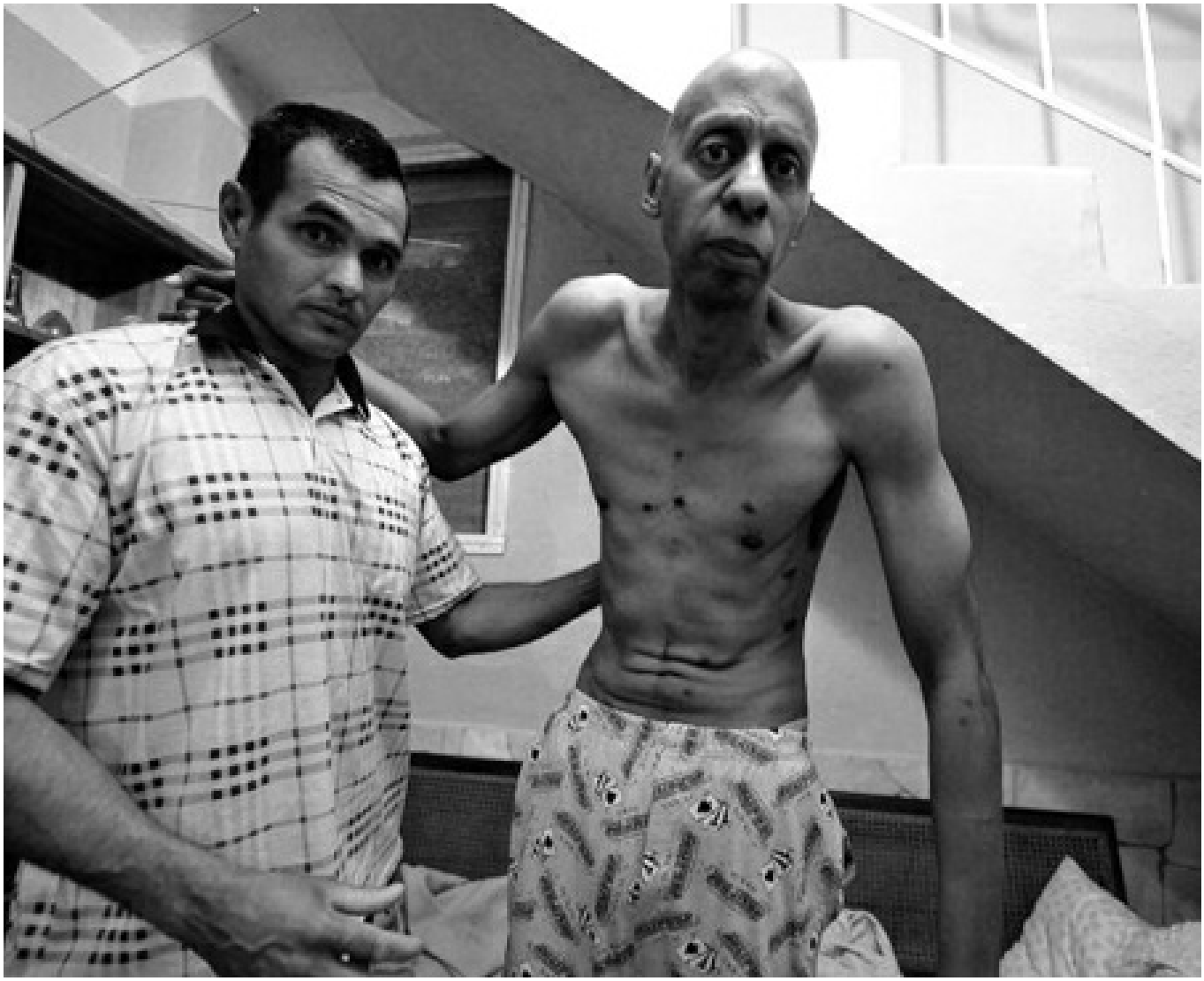

Gdy Guillermo Fari˜nas w 2010 r. prowadził jedną ze swoich licznych głodówek, omal nie skończyło się to jego śmiercią. Ale wygrał. Fidel Castro wypuścił kilkudziesięciu więźniów politycznych skazanych czarnej wiosny 2003 roku

GUILLERMO FARIÑAS

Oczy zagłodzonego. **Przebudzenie**

Nie Kościół i nie Hiszpania sprawiły, że z więzień wychodzą więźniowie polityczni. Doprowadzili do tego dwaj Kubańczycy, którzy zaryzykowali własne życie. Jeden już je stracił. Drugi – właśnie wyszedł z więzienia. Oby się przydał wolnej Kubie

Po długich negocjacjach z władzami kubański Kościół katolicki ogłosił, że dyktatura zwalnia więźniów politycznych. Na początek na wolność wyszło dwudziestu, choć musieli zgodzić się na emigrację do Hiszpanii. Później mają wyjść wszyscy dysydenci skazani w wielkiej obławie na dysydentów pamiętnej czarnej wiosny 2003 roku. Wolni mają być także ci, którzy wyjeżdżać z kraju nie chcą.

Rząd Hiszpanii obwieścił, że w ciągu kilku miesięcy Kuba zwolni w ogóle wszystkich więźniów politycznych, których do niedawna było blisko 200, i dlatego nadszedł czas, by Unia Europejska przywróciła z Kubą normalne stosunki dyplomatyczne.

To nie Kościół katolicki wyjednał u Fidela Castro współczucie dla ludzi gnijących latami w kazamatach na wyspie, choć jego humanitarna troska okazała się pożyteczna. Więzienie ludzi za niezgodę na ustrój jest sensem tej

dyktatury. Katolicy sami padali ofiarą jej totalitarnych zapędów, aż z biegiem lat Kościół katolicki na Kubie stał się słaby i bojaźliwy jak reszta Kubańczyków.

Również nie rząd Hiszpanii przekonał dyktaturę, że ludzie myślący inaczej nie zasługują na więzienie. Przecież ten sam rząd prosił bezskutecznie o to samo braci Castro właśnie po to, żeby Europa miała wreszcie powód, by złagodzić swoje stanowisko wobec Kuby.

Sprawcami przełomu stali się dwaj Kubańczycy, którzy powiedzieli reżimowi „dość" i w sprzeciwie zaryzykowali już nie wolność, ale życie.

Jeden, Orlando Zapata Tamayo, już nie żyje. W 2010 roku zagłodził się na śmierć w celi, protestując przeciw maltretowaniu go przez reżim.

Łysa czaszka drugiego z nich, wielkie oczy, wydatne usta oraz długi i chudy jak wyschnięty strąk fasoli nagi tors ilustrował doniesienia z Kuby niemal nieprzerwanie od lutego 2010 roku. W „Gazecie Wyborczej" okazywaliśmy podziw dla protestu człowieka, który godził się umrzeć za przykładem swego poprzednika, żeby inni już nie umierali za to tylko, że chcą żyć inaczej niż z łaski komunistycznej dyktatury.

Guillermo Fariñas domagał się wypuszczenia chorych więźniów politycznych. Odmawiał przyjaciołom, rządom zachodnim i biskupom proszącym, by nie umierał, bo jako waleczny obywatel przyda się Kubie bardziej niż jako bohaterski trup. Powtarzał, że są chwile, gdy kraj potrzebuje męczenników, których przykład wstrząśnie opinią publiczną i sumieniami.

Gasł z każdym dniem. Tracił przytomność z wycieńczenia. Lekarze ze szpitala w Santa Clara, gdzie został zaniesiony nieprzytomny, podtrzymywali go przy życiu, karmiąc dożylnie i lecząc z kolejnych infekcji. Reżim zaś odmawiał „poddania się szantażowi", milczał i czekał, aż Fariñas się podda. Kiedy ten nie pękał, zaczął liczyć zyski i straty.

W końcu bowiem Zapata Tamayo i Guillermo Fariñas wytrącili z letargu i kubański Kościół katolicki, i świat zewnętrzny. Nie było dnia, by media na świecie nie mówiły o głodówce drugiego i nie przypominały śmierci pierwszego. A gospodarcza katastrofa wyspy stawała się coraz jawniejsza.

I wtedy reżim uznał, że dalej mu się nie opłaca tkwić w uporze, że nie na rękę mu śmierć drugiego więźnia. Zapowiedzi kolejnych dysydentów, że przejmą pałeczkę głodowej sztafety, groziły kolejną lawiną potępień z zagranicy.

Guillermo Fariñas wygrał po raz pierwszy w swoim 48-letnim życiu, w którym nie zaznał innej rzeczywistości niż dyktatura zwana rewolucją. Powoli wracał do zdrowia. Gdy wyjechał na wózku inwalidzkim ze szpitala w Santa Clara, nie mógł chodzić.

Urodził się trzy lata po zwycięstwie wspaniałych brodaczy nad zdemoralizowaną armią dyktatora Fulgencio Batisty. Gdyby dziesięć miesięcy później Nikita Chruszczow posłuchał Fidela Castro i wystrzelił z wyspy rakietę nuklearną na Stany Zjednoczone, Kuba spłonęłaby w atomowej pożodze, a rewolucja na zawsze pozostałaby niepokalanym mitem. Stało się inaczej, a Fariñas miał doświadczyć i zaświadczyć, jak rewolucja wyrodnieje w tyranię.

Na razie jednak rodzice Fariñasa nadal w nią wierzyli. Jego ojciec pojechał walczyć jako ochotnik pod rozkazami Ernesto Che Guevary w szaleńczej, zakończonej klęską próbie wzniecenia wojny domowej w Kongu w 1965 roku.

Rewolucyjne powołanie rodzinne zaprowadziło Fariñasa już pod koniec szkoły średniej do szkoły kadetów, a potem jako 18-letniego kandydata na komandosa na studia w akademii ministerstwa obrony. Tam członków jednostek specjalnych szkolili oficerowie z bratnich armii rewolucyjnych: Chińczycy, Wietnamczycy i Koreańczycy.

Służbę pełnił m.in. w ochronie ambasady Peru, do której w kwietniu 1980 roku wdarło się 10 tys. Kubańczyków, prosząc o azyl. Fidel Castro zgodził się wtedy na wyjazd z kraju wszystkich, którzy chcieli, a sam dołożył jeszcze licznych zwolnionych pospiesznie więźniów kryminalnych. Na Florydę odpłynęło wówczas ponad 125 tys. Kubańczyków.

Fariñas patrzył na nich pewnie z pogardą, jak na zdrajców porzucających ojczyznę.

Fidel Castro potrzebował jednak komandosów nie tylko do ochrony ambasad przed inwazją własnych obywateli czy aby strzegli wyspy przed najazdem imperialistów. Chciał, by wzniecali wojny rewolucyjne za granicą. I tak internacjonalista Guillermo Fariñas pojechał na postkolonialną wojnę domową do Angoli, w którą Kuba włączyła się w 1975 roku. Został ranny, dostał kilka odznaczeń.

Potem poleciał do Związku Sowieckiego, gdzie w akademii wojskowej w Tambowie zdobywał dalsze komandoskie szlify. Na zdjęciach w papasze z gwiazdą malowniczo komponuje się z Niemcami z NRD, Syryjczykami, Wietnamczykami, Mongołami i Rosjanami.

I ta przygoda nie trwała długo. W czasie ćwiczeń został porażony gazem bojowym, trafił do szpitala, wrócił na Kubę. Po roku jako niezdolnego do służby zwolniono go z wojska.

Poszedł na studia, na psychologię, na uniwersytet prowincji Las Villas. Jak sam mówi, zaczął interesować się nieuznawanym przez komunistów Freudem, a w dodatku spodobały mu się, jeszcze mniej uznawane przez Fidela, głasnost' i pierestrojka, które akurat zaczęły się w ojczyźnie socjalizmu.

Dyplomowanym psychologiem zdołał jeszcze zostać w 1988 roku, ale już do konkursu na profesora akademickiego nie dopuszczono go z powodu niedostatecznej lojalności politycznej.

Nielojalności dowiódł rok później. Był sekretarzem związku młodzieży komunistycznej w szpitalu w Camajuani, gdy władze rozstrzelały za zdradę ojczyzny generała Arnaldo Ochoę, najwybitniejszego wojskowego kubańskiego, obsypanego laurami wodza wojny w Angoli. Fariñas nie uwierzył w zdradę generała, a władze ostatecznie uwierzyły, że na Fariñasie polegać nie można. Został wyrzucony ze związku oraz karnie przeniesiony do prowincji Sancti Spiritus. Stamtąd do szpitala w Hawanie, gdzie w 1993 roku pojawił się w asyście dziennikarzy sam Fidel Castro. Fariñas wezwał go wówczas, by zobowiązał się do oddania remontowanego szpitala do użytku w obiecanym terminie. Castro miał się wściec, że napomina go publicznie ktoś niewyznaczony do występu. A dyscypliny trzeba było pilnować tym ostrzej, że po rozpadzie ZSRR ostatecznie pozbawioną sowieckich dotacji Kubę dyktator ogłosił ostatnią wyspą prawomyślnego socjalizmu. Zarządził, że pierestrojki nie będzie, choćby Kubańczycy mieli jeść robaki.

Dla Fariñasa to musiało się skończyć nieszczęściem. Kiedy dwa lata później, w 1995 roku, oskarżył dyrektora szpitala o korupcję i sprzeniewierzenie pomocy z Europy, poszedł do więzienia na półtora roku. Za nielegalne posiadanie broni. Odebrano mu odznaczenia za Angolę. Potem dołożono kilka innych wyroków, m.in. za popieranie grupki dysydentów, entuzjastów Andrieja Sacharowa, którzy wciąż domagali się kubańskiej pierestrojki. Odbył wtedy pierwszą głodówkę protestacyjną.

Na warunkowym zwolnieniu z więzienia poznał dysydentów Raúla Rivero i Héctora Palaciosa, co ostatecznie zmieniło jego życie.

W 2002 roku Fariñas pobił się z agentem bezpieki. Wrócił do więzienia. Po kolejnej, 14-miesięcznej głodówce, władze znowu zwolniły go warunkowo.

Wówczas, wzorem Raúla Rivero, który w 1995 roku stworzył pierwszą niezależną agencję prasową Cuba Press i zaczął publikować za granicą, Fariñas założył we własnym domu z kilkoma przyjaciółmi agencję Cubanacan Press. Teksty wysyłał za granicę z kafejki internetowej Cyber Café w Santa Clara. Kiedy w 2006 roku bezpieka zagrodziła mu drogę do kafejki, ogłosił kolejną głodówkę z żądaniem powszechnego dostępu do internetu. Leżał w domu, głodując z ustami zaszytymi na znak protestu przeciw cenzurze i niewoli informacyjnej, a dramatyczne zdjęcia jego wychudzonego ciała i zaszytych warg obiegły wówczas świat po raz pierwszy. Wtedy też posypały się zagraniczne nagrody, m.in. Reporterów bez Granic i miasta Weimar.

Guillermo Fariñas spędził w więzieniu w sumie 11 lat. Głodówka

w obronie więźniów po śmierci Zapaty Tamayo była jego 23. Uczynił z niej swoją broń bezsilnego, który nie może bronić się inaczej, bo albo siedzi w więzieniu, albo w domu, niby wolny, lecz skazany na niebyt.

W lipcu 2010 roku odbyła się w Madrycie promocja jego książki „Mapa strachu na Kubie".

Fariñas pisze: „Totalitaryzm używa strachu jako narzędzia panowania nad masami. Kultura strachu łączy się z apatią, obojętnością, wyobcowaniem, poddaństwem, biernością, wygodnictwem, rezygnacją i osobistym interesem. (...) Kultura strachu zapanowała na Kubie wraz ze zwycięstwem rewolucji i zawładnięciem wszystkimi środkami komunikacji, ogarnęła całe społeczeństwo. Masowe rozstrzeliwania, wsadzanie do więzień, wypędzenia z kraju służyły terrorowi stosowanemu okrutnie jako narzędzie politycznej władzy".

Guillermo Fariñas wygrał pierwszą potyczkę z dyktaturą, gdy na wolność wyszli polityczni więźniowie. Ale pierwsze i najważniejsze życiowe zwycięstwo odniósł wcześniej, gdy kilkanaście lat temu pozbył się strachu. Prawdziwie wolni dziś na Kubie są ci, którzy już się nie boją. Jest ich wciąż niewielu, ale to oni pokazują drogę.

W lutym 2010 roku Fariñas napisał list do prezydenta Raúla Castro: „Panie Prezydencie, obu nas łączy jedno – urodziliśmy się na Kubie. Jako wyraziciele sprzecznych światopoglądów, Pan, jako komunista, i ja, jako antykomunista, obaj uważamy się za patriotów. To znaczy, że ojczyzna powinna być ponad wszystkim. Naszym obowiązkiem patriotycznym jest zapobiec kolejnym niepotrzebnym śmierciom, jak ta Orlando Zapaty Tamayo. Pańscy rzecznicy usprawiedliwiają prześladowania nas tym, że jesteśmy najemnikami. Oświadczam Panu, że żaden najemnik nie ginie dobrowolnie za swoją ojczyznę jak Zapata".

„Jaką krzywdę wyrządziły Kubańczykom te hymny partyzanckie, dzieje męczeńskie, pomniki bohaterów i bojowe hasła o śmierci za ojczyznę, ziemię, wolność albo co tam jeszcze, powtarzane przez wszystkie te lata!" – napisał Luis Cino, inny z mistrzów Fariñasa w niezależnym dziennikarstwie. „Nie przyszła czasem pora upomnieć się o Życie? Mówię to głośno i wyraźnie. Zupełnie nie zgadzam się z Fariñasem, gdy mówi, że Kuba potrzebuje męczenników. Dość już ich mieliśmy. Żeby naprawić ojczyznę, potrzebujemy bystrych, prawych i godnych ludzi. Guillermo jest jednym z nich. Trzeba go nam żywego".

Guillermo Fari˜nas, laureat Europejskiej Nagrody Praw Człowieka im. Andrieja Sacharowa. Symbol niezłomnego, niemal straceńczego oporu przeciw dyktaturze

Od kilku lat Kubańczycy coraz śmielej stawiają się władzy. Tu niosą portrety zmarłego z głodu w więzieniu Orlando Zapaty Tamayo

Stały motyw kubańskich losów pod dyktaturą: na czym się da, przez morze na Florydę

TYSIĄCE

Granie z reżimem. **Jawność i letarg**

Sprzeciwiać się Fidelowi Castro na Kubie to niemal praca syzyfowa. Trzeba mieć twardą skórę, by stawić czoło policji, propagandzie i apatii. A do tego wszystkiego z wyspy ucieka każdy, kto mógłby być sojusznikiem w tym sprzeciwie

W 2000 roku Fidel Castro wypuścił z więzienia trzech sławnych opozycjonistów, których sam skazał trzy lata temu za opublikowanie manifestu „Ojczyzna należy do wszystkich". Kilka dni później zaatakował klub świeckich katolików, którzy z wystawy polskiego plakatu powojennego uczyli się polskiej drogi od komunizmu do wolności. Obelgi były te, co zawsze: „sługusy imperializmu", „agenci CIA", „zapiekli kontrrewolucjoniści"...

Reżim, jak przystało na totalitarną organizację, w której naród i władza to jedna pięść wymierzona w pysk imperializmu, nie przeoczy żadnej działalności niezależnej. Castro, komitet centralny, armia, jawna policja i policja bezpieczeństwa oraz niezliczone komitety rewolucyjne, studenckie, osiedlowe, zakładowe pętają społeczeństwo. Z reżimem mają więc na co dzień do czynienia i biskupi, i księża, i dysydenci; ci z lewa, ci z prawa oraz ci, którzy – jak związek niewidomych – chcą coś zrobić sami, bez udziału

wszechorganizacji.

To zwykły kłopot wszelkiej opozycji w krajach totalitarnych – znany z Polski, Rosji sowieckiej i całego obozu realnego socjalizmu. Zwykły jest też kłopot, jaki opozycja ma z własnym społeczeństwem, które stara się sobie zjednać. Społeczeństwo wie o niej mało, często boi się lub nie chce wiedzieć więcej. Kręgosłup ma przetrącony.

Ale opozycja na Kubie ma też problem inny niż w krajach dawnego realnego socjalizmu. Mianowicie potężnego sąsiada, ale nie gnębiciela – jak Polacy, Czesi czy Węgrzy – lecz teoretycznego sojusznika, nieprzejednanie antycastrowskie Stany Zjednoczone. Ma też odleglejszego sprzymierzeńca: resztę Zachodu, która jednak sprzeciwia się amerykańskiej polityce izolowania Kuby. Otoczenie międzynarodowe jest więc raczej jej przychylne. To reżimowi Fidela Castro, skłóconemu nawet z większością latynoskich demokracji, brakuje sprzymierzeńców.

A jednak kubańskiej opozycji łatwiej nie jest. Kubańscy demokraci są zniechęceni, czują się osamotnieni i lekceważeni przez zachodnich polityków przyjeżdżających do Hawany, traktowani jak kwiatek w butonierce. Castro zaś, teoretycznie osamotniony, tryska wigorem i wyzywa cały wolny świat na udeptaną ziemię.

Ta geograficzna i polityczna wyspiarskość kubańskiego komunizmu to – paradoksalnie – źródło jego siły i skuteczności.

Grup opozycyjnych jest na Kubie co najmniej kilkanaście. W ich orbicie działa lub sympatyzuje z nimi kilka tysięcy osób. Niektóre z nich – jak zapewniają sami czołowi opozycjoniści: obrońca praw człowieka Elizardo Sánchez czy niezależny dziennikarz Raúl Rivero – są sterowane lub infiltrowane przez policję polityczną. Inne są tworzone ad hoc przez jedną lub parę osób po to tylko, by zaistnieć, nadać dla emigracyjnego Radia Marti kilka korespondencji telefonicznych i móc wyjechać za granicę na stałe – albo jako prześladowany opozycjonista, którego reżim chętnie się pozbywa, albo niekiedy w roli agenta do penetrowania emigracji na Florydzie.

Poważnym kubańskim dysydentom, którzy swojej misji upatrują w działalności w kraju, nie zależy wcale na ścisłej konspiracji. Przeciwnie, dążą do stworzenia ruchu opozycyjnego z otwartą przyłbicą; korzystają z doświadczeń środkowoeuropejskiej opozycji demokratycznej, m.in. polskiej i czeskiej.

Nie chodzi tylko o to, że konspiracja jest na komunistycznej Kubie niemożliwa. To jest banał od kilkudziesięciu lat. Chilijski pisarz i dyplomata Jorge Edwards był w Hawanie przez trzy miesiące w 1971 roku, żeby wznowić stosunki dyplomatyczne z ramienia rządu Jedności Ludowej Salvadora Allende.

W kubańskich wspomnieniach „Persona non grata" opisuje duszącą i natrętną inwigilację policji politycznej, którą chełpią się publicznie Fidel Castro i jego towarzysze. Żegnając dyplomatę, Castro zaprosił go na rozmowę do MSZ. Chmurny komendant w mundurze, z pistoletem u pasa, wygarnął mu od progu: – Rozczarowaliśmy się co do pana! Pan od początku otoczył się kontrrewolucjonistami! Zorientowaliśmy się w tym od razu. Jak pan widzi, nieśledzenie pana byłoby skrajną głupotą. Znam szczegóły wszystkich pańskich kroków!

W taki sposób beształ Jorge Edwardsa za kontakty z nieposłusznymi pisarzami, m.in. sławnym poetą Heberto Padillą.

Tak było już 30 lat temu – dziewięć lat po nieudanej ekspedycji w Zatoce Świń – gdy policyjną czujność można było od biedy usprawiedliwiać zagrożeniem amerykańską dywersją. Ale tak jest i dzisiaj, gdy amerykański imperializm jest już tylko obrzędową kukłą. Nie o stworzenie podziemia więc chodzi kubańskim opozycjonistom; przeciwnie – o pokazanie i rządzącym, i rządzonym, że strach można przezwyciężyć, że od ryzyka represji ważniejsze jest świadectwo.

Jawność to wspólna cecha wszystkich, z grubsza trzech, nurtów opozycji. Pierwszego – którego powołaniem jest sprzeciw wobec totalitaryzmu, obrona praw człowieka i świadectwo moralne. Drugiego – który dąży do stworzenia ideowej i politycznej alternatywy dla władzy Castro, gdy nieuchronna śmierć komunistycznego cezara osieroci rzesze jego pretorianów. Oraz tego trzeciego – działających o piętro głębiej „organiczników", którym nie chodzi o konkretną polityczną orientację, ale przede wszystkim o odbudowanie zniszczonej przez komunizm roli obywatela, a z czasem – społeczeństwa obywatelskiego, które już samo zadba o swoją polityczną reprezentację.

Obrońcy praw człowieka prowadzą kronikę represji, listy więźniów politycznych, pomagają rodzinom aresztowanych i skazanych; oświadczeniami i odezwami starają się zwalczać reżimowy monopol na informację i podtrzymać za granicą świadomość, że Castro nie reprezentuje wszystkich Kubańczyków. Taką dokumentacją zajmuje się przede wszystkim Elizardo Sánchez, przewodniczący Kubańskiego Komitetu Praw Człowieka, były komunista, wyrzucony z partii w 1968 roku za sprzeciw wobec sowieckiej inwazji na Czechosłowację, były więzień Castro, a dziś socjalista, który ma kilkudziesięciu współpracowników i informatorów w całym kraju. To on – razem z dawnym towarzyszem Fidela Castro w pierwszych walkach przeciw dyktaturze Batisty Gustavem Arcosem, jego bratem Sebastiánem Arcosem i Ricardem Bofillem – zakładał w 1986 roku pierwszy Komitet Obrony Praw Człowieka na Kubie.

Jeszcze kilka lat temu policja prześladowała Sáncheza, aresztowała i katowała. Dzisiaj „gorącym" represjom dała spokój, a to, że przed domem Sáncheza kamera nieustannie rejestruje jego licznych gości zagranicznych, jest – wobec jego jawnego działania – jawnym anachronizmem. Podobnie jak przed domem patriarchy kubańskiej opozycji Gustava Arcosa.

Jawnie działają najważniejsze dziś polityczne inicjatywy na Kubie: Partia Demokratycznej Solidarności Héctora Palaciosa i Fernanda Sáncheza, Partia Demokratyczno-Liberalna Osvalda Alonsa Valdésa czy Chrześcijański Ruch Wyzwolenia Oswalda Payá.

Jawne są główne ośrodki kulturalne i kształceniowe, utworzone pod patronatem Kościoła katolickiego – jak kierowany w diecezji Pinar del Rio przez Dagoberta Valdésa, jak hawańska Aula im. Bartolome de las Casas, dominikanina ojca Una, czy katolicy świeccy skupieni wokół pism „Palabra Nueva" i „Espacio", wydawanych przez kurię w Hawanie. Wszyscy lub prawie wszyscy ci działacze opozycji są znani za granicą, przyjmowani w ambasadach przez zachodnich polityków, a nawet od czasu do czasu wypuszcza się ich z wyspy.

Ale jawność, która przyniosła opozycji kubańskiej uznanie w świecie i wymogła na reżimie względną tolerancję, nie daje jej tego, co najważniejsze: dostępu do społeczeństwa. Wobec własnego społeczeństwa jesteśmy słabi – mówili mi wszyscy kubańscy demokraci.

Przezwyciężenie tej blokady jest dla kubańskiej opozycji najważniejszym wyzwaniem. A blokada jest podwójna. Po pierwsze, policja trzyma grupy opozycyjne w informacyjnej izolacji lub co najmniej okrążeniu. Gromkiego monopolu reżimowej telewizji i radia oraz wielkonakładowej „Granmy" i „Juventud Rebelde" nie są w stanie nadwerężyć kilkutysięczne nakłady pism katolickich: wydawanego w Pinar del Rio diecezjalnego tygodnika „Vitral" czy „Espacio" i „Palabra Nueva" w Hawanie ani przemycane z zagranicy ulotne odezwy partii politycznych.

Po drugie, głos opozycji zderza się z oporem samych odbiorców: strachem, brakiem wykształcenia i obywatelskiej świadomości Kubańczyków. Na Kubie nie ma społeczeństwa obywatelskiego, nie ma opinii publicznej, jest masa zastraszonych i zabieganych ludzi – powtarzali mi kolejno wszyscy: od młodego katolickiego intelektualisty Eduarda Mesy, jego starszego kolegi Dagoberta Valdésa, po Elizarda Sáncheza i katolickiego intelektualistę Oswalda Payę.

– Ponieważ nie ma opinii wewnętrznej, Castro może mieć w nosie

również opinię publiczną za granicą i jej naciski na uwolnienie więźniów politycznych czy zdemokratyzowanie kraju – mówi Elizardo Sánchez.

– Kiedy zaczynałem działalność jako świecki katolik w 1990 roku, to nie policja, ale znajomi i przyjaciele zaczęli do mnie dzwonić: uważaj, co robisz, napytasz sobie biedy. To nas obezwładnia – wyznaje Eduardo Mesa, redaktor naczelny „Espacio" i wykładowca społecznej doktryny Kościoła. – Do kilkuset osób w Hawanie dociera nasze nauczanie o sprawiedliwości, o własności, o prawach i obowiązkach obywatela, o godności człowieka. Ale z tego wszystkiego ludzie nie mogą robić użytku. Żyją pod nawałą telewizyjnej propagandy, przetykanej brazylijskimi telenowelami. Więc się zniechęcają.

To samo, innym językiem, mówi hiszpański dominikanin ojciec Una. W hawańskim kościele Letran wskrzesza kilkusetletnią tradycję studiów i nauki swojego zakonu, który w 1728 roku założył na wyspie pierwszy uniwersytet. Padre Una jest najdalszy od polityki; ma bibliotekę publiczną książek historycznych i beletrystycznych niedostępnych lub zastrzeżonych w zbiorach państwowych uczelni. Uczy Kubańczyków posługiwania się komputerami, angielskiego, teologii i doktryny społecznej Kościoła; prowadzi warsztaty krawieckie i tkackie. – Potrzebujemy miejsc spotkań i rozmowy, żeby prawda mogła zostać wyłożona, nie zaś narzucona, książka i dialog to nasze narzędzia oświecania człowieka – opowiada ojciec Una.

Miarą oporu otoczenia jest to, że przez pięć lat upartej działalności zgromadził ok. 200-300 studentów na swoich kursach. Przychodzą z wdzięcznością, oddychają innym powietrzem, ale nie jest ich wielu. Padre Una zaprasza też zawsze na wykłady, odczyty, koncerty i seminaria funkcjonariuszy wydziału ds. wyznań komitetu centralnego partii. Bywają rzadko.

Dagoberto Valdés – intelektualista katolicki, członek papieskiej rady Iustitia et Pax, szczególnie więc chroniony przed represjami, ale i dlatego szczególnie nienawidzony przez reżim – jest bardziej radykalny: – Na Kubie wyrządzono społeczeństwu i ludziom krzywdę antropologiczną – nie ma obywateli, jest masa. Kręgi, na które oddziałujemy, są bardzo wąskie, chociaż istnieje strefa potencjalnej do nas sympatii.

Jego protektor, biskup diecezji Pinar del Rio José Siro Bacallao wyjaśnia: – Proszę pana, widzieliśmy upadek wszelkich wartości i autorytetów. Ani patriotyzm, ani znajomość wielkich postaci z historii Kuby, ani nawet szacunek dla hymnu narodowego czy flagi... Całkowite wykorzenienie. Ludziom brakuje elementarnej ogłady i kultury. Nie umieją się zachować, przywitać, niekiedy posługiwać nożem i widelcem. Kto to ten facet przybity do pala? – pytali mnie młodzi ludzie, wchodząc do kościoła. Nie wiedzą, że nie są śrubkami

w mechanizmie państwa. No to zebraliśmy się osiem lat temu: księża, zakonnice, świeccy. I zaczęliśmy. Mamy warsztaty – m.in. żeby ich uczyć: „Jestem osobą ludzką". Jak abecadła. Nawet młodym brakuje chęci, żeby żyć inaczej. Nie przychodzą do nas wcale wierzący katolicy, ale ateusze albo po prostu ludzie.

Według księdza biskupa jest to skutek „instytucjonalnego zła": – Na wizytę papieża w 1998 roku reżim odpowiada teraz swoją rewolucją kulturalną. Organizuje obozy dla młodzieży szkolnej. Sypialnie są celowo mieszane. Nauczyciele rozdają dzieciom prezerwatywy. A nam w diecezji zakazano wożenia ludzi autobusami na msze, nabożeństwa czy procesje. Żeby nie było między ludźmi komunikacji.

Spustoszenia kulturalne 40 lat komunizmu sprawiają, że Ośrodek Kształcenia Obywatelsko-Religijnego przy kurii w Pinar del Rio (podobnie jak Aula im. Bartolome de las Casas w Hawanie) jest wyspą wytchnienia od przemocy, osaczenia i blagi. Odprężeni, życzliwi sobie ludzie trzymają się tu prosto. Ośrodek jest w istocie alternatywną szkołą światopoglądu lub zgoła życia, zarzewiem duchowej swobody, inną Kubą w miniaturze niż Kuba Fidela Castro. Młodzi prawnicy, ekonomiści, historycy, nauczyciele, plastycy przychodzą tu popołudniami, żeby wykładać na kursach i redagować pisemka o prawie, regułach gospodarki rynkowej, malarstwie, rzeźbie, grafice, psychologii i pedagogice, literaturze i historii. Jest nawet pismo dla dzieci i osobne dla młodzieży oraz gazeta rockowa „Ilusion".

Ośrodek uczy, że Kuba nie zaczęła się od rewolucji i że przed nią nie panowała bynajmniej tylko przemoc, niewola i nędza. Na spotkaniu z młodym autorem książki poświęconej publicznym debatom na temat epidemii cholery w XIX-wiecznej, jeszcze kolonialnej Kubie pewien lekarz wstał i bez wstydu oznajmił, że pierwszy raz dowiaduje się, że medycyna, profilaktyka, troska o zdrowie publiczne nie zaczęła się w 1959 roku. Na studiach uczono inaczej.

W pracę ośrodka angażuje się może kilkadziesiąt, kilkaset osób, jego publikacje docierają może do kilku tysięcy. Większość dorosłych Kubańczyków od kilku już pokoleń nie zna innego świata niż ten wbijany do głowy przez propagandę. Mimo to większość wcale nie wierzy reżimowi, nie czci Fidela Castro ani rewolucji i nie chce komunizmu. Równie powszechne jak ucieczki z kraju do USA są na hawańskiej ulicy kpiny tych, co zostają; drwiny z oficjalnej ideologii, z rytualnego potępiania kontrrewolucyjnych „glist" z Miami, które „porwały" w USA Eliána Gonzáleza. Do takich żartów wystarczy zdrowy rozsądek i poczucie humoru. O wiele trudniej przyswoić sobie wartości obcej kultury i żyć według nich we wrogim otoczeniu.

Kubańscy opozycjoniści są zgodni – ideologicznie reżim jest martwy. W rzeczy samej nie mówi wcale poddanym, że komunizm jest lepszy od kapitalizmu; niezależnie od tego, jak często powtarza to Castro. Wszak tysiące Kubańczyków od lat głosują w tym plebiscycie – wiosłami. Reżim Castro opiera się na wymuszaniu bezsilności. Jego obrzędy – masowe wiece, marsze, wielogodzinne mowy przywódcy – służą nie przekonywaniu ludzi do racji reżimu, lecz ugruntowaniu wrażenia jego niezłomności i siły – tego, że „oni się przed niczym nie cofną".

Eduardo Mesa opowiada o pewnej zakonnicy ze zgromadzenia św. Teresy z Kalkuty, która pytana o warunki działalności charytatywnej i humanitarnej w Indiach i na Kubie bez wahania odrzekła, że łatwiejsze ma w Indiach, bo co prawda tam ludzi będących w okropnej nędzy nie brakuje, ale może ich swobodnie leczyć, opatrywać, karmić i pocieszać.

To powszechne dziś przeświadczenie, że „nic się nie da zrobić, przynajmniej tak długo, jak żyje Castro", ogranicza społeczny zasięg opozycji. Kuba zastygła dziś w jakimś umysłowym rigor mortis. Wyrwać zeń kraj jest bardzo trudno, bo dyktatura ma też niezawodny zawór bezpieczeństwa, z którego nigdy przedtem żaden inny komunistyczny reżim nie korzystał w takim stopniu: fora ze dwora, komu się nie podoba.

NRD wymieniała co najwyżej szpiegów z Zachodem, ale do zbiegów przez mur strzelała bez pardonu; uciekać trzeba było czasem w kolumnach głośnikowych jak Nina Hagen. Strzelali do znużonych życiem w obozie socjalistycznym oficerowie straży granicznej w Czechach i na Węgrzech, zapędzając się niekiedy aż na terytorium Austrii. ZSRR wypędzał czasem co sławniejszych kontestatorów, jak Aleksandra Sołżenicyna, albo nimi handlował, jak Władimirem Bukowskim. Może tylko Polska, ze swoją bardziej liberalną polityką paszportową, dawała większej liczbie ludzi odetchnąć od siermiężnej codzienności.

Na Kubie od lat jest inaczej. Kiedy nagromadzi się zmęczenie i sprzeciw – Castro otwiera granice. Zrobił to już na masową skalę trzykrotnie – w latach 1964, 1980 i 1995. Na łeb na szyję, głównie do USA, wyjechało wtedy kilkaset tysięcy Kubańczyków. Od kilku lat po 20 tysięcy rocznie emigruje do USA legalnie. – Młodzież nie myśli o niczym innym, jak tylko o tym, jak by tu wyjechać – skarży się biskup Siro Bacallao.

Ten kontrolowany „upust złej krwi" wychodzi reżimowi na zdrowie, a opozycji bokiem. Uciekają najbardziej wykształceni, najbardziej przedsiębiorczy, najodważniejsi, najmłodsi albo w sile wieku. Uciekają adwokaci, inżynierowie, lekarze, artyści. Wolą wolność dostać, nawet jeśli to oznacza ryzyko, niż się o nią codziennie, żmudnie i beznadziejnie dobijać.

Wszyscy Kubańczycy, którzy – przeciwnie – walczą o wolność na wyspie, wbrew beznadziei i pokusie lepszego życia za granicą, są zgodni, że to wykrwawianie się społeczeństwa osłabia sens ich własnego oporu. Szef niezależnej agencji prasowej Cuba Press Raúl Rivero skarży się, że o ile jeszcze w listopadzie 1999 roku miał 34 pracowników i współpracowników, o tyle dzisiaj 10-12. Reszta nie trafiła do więzień, ale wyjechała, bo miała już dosyć. – Emigracja jest permanentna. Wyjeżdżają najlepsi. Opozycja jest „sztafetowa", brakuje jej konsekwencji i ciągłości – mówi Dagoberto Valdés.

Zaledwie garstka została z pokolenia, które sprzeciwiło się komunizmowi jeszcze w latach 80. lub wcześniej, witało narodziny „Solidarności" – jak mówi Oswaldo Payá – „z drżeniem i nadzieją", a potem niecierpliwie czekało na kubańskie owoce gorbaczowowskiej pierestrojki, które nigdy nie dojrzały: Gustavo Arcos, Elizardo Sánchez, Héctor Palacios i sam Payá.

Opozycja ma też kłopot z reżimem. Nie chodzi o represje, do czego jest przyzwyczajona, lecz o naturę wodzowskiego komunizmu Fidela Castro. Na Kubie nie ma nawet co liczyć na dialog z ewentualnymi reformatorami, rozmiękczaczami reżimu, bo nie wiadomo, czy w ogóle są ani gdzie ich szukać. Sam Castro z rozpadu komunizmu w ZSRR i Europie wyciągnął wniosek przeciwny do spodziewanego. Nie poszedł w ślady europejskich komunistów, którzy przemienili się w postkomunistów i socjaldemokratów, ale uznał, nie bez racji, że wszelka reforma prowadzi do upadku jego władzy, a ponieważ tylko o nią mu chodzi, zatrzasnął kraj w skorupie ortodoksji. Próbuje teraz rozniecić w Kubańczykach nacjonalizm zdradzonej przez wszystkich ofiary, ostatniego herolda socjalistycznej nowiny, stawiającego samotnie czoło najpotężniejszemu imperium w dziejach świata.

Nikt na Kubie nie przygotowuje demokratycznej transformacji – powtarzają Dagoberto Valdés, Osvaldo Alonso, Elizardo Sánchez i Oswaldo Payá. W całym byłym komunistycznym świecie kraje otrząsnęły się z martwoty, rozwijają się, społeczeństwa uczą się swobody, a dawni opozycjoniści bywają prezydentami, premierami czy ministrami albo przynajmniej są wolnymi ludźmi. Na Kubie zaś przeciwnicy Castro są zniechęceni, czują się skazani na rolę samotnej „opozycji świadectwa moralnego".

I tak jak Fidel Castro jest obok Kim Dżong Ila ostatnim Mohikaninem komunizmu, tak opozycjoniści kubańscy są ostatnimi jego samotnymi ofiarami. – My nie prowadzimy polityki, bo z tym reżimem na razie niemożliwe są jakiekolwiek pertraktacje czy targi – tłumaczy Dagoberto Valdés. – Fidel to jedyny komunista, który nie paktuje z nikim, nie negocjuje transformacji. Jest jak Iwan Groźny. To prawdopodobnie jeden z najbardziej niezależnych

reżimów w dzisiejszym świecie – dodaje Elizardo Sánchez.

Ostatnie złudzenia demokratów co do zamiarów Castro prysły po wizycie papieża w styczniu 1998 roku i szczycie iberoamerykańskim w Hawanie w listopadzie 1999 roku. Papież nie zdołał namówić dyktatora ani do otwarcia się na świat, ani do uwolnienia więźniów politycznych. Tolerancja wobec opozycji w czasie przygotowań do szczytu w Hawanie, która przyniosła niespotykany rozkwit opozycyjnych inicjatyw, znikła, gdy tylko goście się rozjechali. Fidel zaostrzył kodeks karny i nastąpiła nowa fala aresztowań i wyroków.

Zignorowany został 55-stronicowy manifest części dysydentów, tzw. platforma umiarkowanej opozycji z września 1999 roku, przesłany władzom w jasnych perswazyjnych zamiarach. Nabiedzili się socjaldemokraci, chrześcijańscy demokraci, socjaliści i liberałowie, by przekonać Fidela, że nie należy już więcej zakłamywać historii kraju, że w warunkach globalizacji, po upadku komunizmu w ZSRR trzeba pomyśleć razem z emigracją i opozycją nad łagodnym odejściem od dyktatury, ustanowieniem zdrowej gospodarki, zaprzestać represji. Odpowiedzią było wściekłe przemówienie, w którym Castro po raz pierwszy wymienił z nazwiska kilkudziesięciu „kontrrewolucjonistów" i „sługusów imperializmu". I represje.

Opozycja na wyspie nie wie, jak traktować potężną kubańską emigrację w USA. Jej demonizowanie przez Castro od dawna jest bezskuteczne, skoro rzesze Kubańczyków wciąż wyrywają się w morze. Opozycjoniści przeczuwają naturalnie, że to emigranci z Florydy pomogą odbudować zniszczoną wyspę, przywiozą kapitały i kulturę demokratyczną i prawną. Ale nieufność i obawy budzi ich finansowa zasobność i polityczna arogancja wobec rodaków żyjących na wyspie. Emigracja patrzy na nich jak na słabeuszy, tchórzy, kapitulantów; wielu wybitnych i dzielnych dysydentów traktuje wręcz jak agentów Castro.

Co będzie, gdy nadejdzie wolność? Czy bogaci i wyniośli emigranci z Miami nie przykryją nas czekami i czapkami? I czy wobec tego na odzyskanej wolności nie skorzystają przede wszystkim ci, którym żyło się dobrze na wychodźstwie, a cenę skoku w wolność zapłacą ci sami, którzy płacili cenę niewoli? Czy nie przywróci to podziału na pierwszą i drugą kategorię obywateli – tym razem wolnej Kuby? Te obawy rodzą u niektórych dysydentów takie pomysły jak np. kilkuletnia kwarantanna na uzyskanie pełni praw obywatelskich czy praw wykupu majątku państwowego dla wracających do wolnego kraju emigrantów. Mówi mi o tym Fernando Sánchez z Partii Demokratycznej Solidarności, ale jego kolega liberał Osvaldo Alonso oponuje, że tego robić nie wolno.

Dagoberto Valdés wie doskonale, że „krajowi" muszą szukać dróg do emigrantów. Nadzieje pokłada nie w pokoleniu „dinozaurów", czyli Kubańczykach zbiegłych krótko po rewolucji. Przez lata przewodził im zmarły kilka lat temu Jorge Mas Canosa, potężny szef Fundacji Kubańczyków Amerykańskiego Pochodzenia (CANF). Dla porozumienia z krajem ci ludzie są straceni. Mają osobistą sprawę z Fidelem Castro, nie rozumieją rodaków z wyspy, szanują tylko uciekinierów. – Ale młodsi i mniej ideologicznie zapiekli emigranci coraz częściej chcą słuchać, co mamy do powiedzenia, zapraszają m.in. mnie do dyskusji – mówi Dagoberto Valdés. Nadające z Miami i powszechnie na wyspie słuchane Radio Marti jest coraz częściej forum, gdzie spotykają się krajowcy z emigrantami.

Stosunek do emigracji jest pochodną stosunku do Stanów, które swój potężny cień rzucają na wyspę od ponad stu lat, tzn. odkąd interwencja amerykańska pomogła Kubańczykom uwolnić się od kolonialnej zależności od Hiszpanii. Mimo że zohydzanie Ameryki już od dawna Fidelowi Castro nie wychodzi, a dolar jest od kilku lat podstawową walutą na wyspie, to jednak kubańskim opozycjonistom kłopot sprawia sztywne trzymanie się przez USA embarga na handel z Kubą. Stosują je od 1961 roku wszyscy amerykańscy prezydenci, podczas gdy z tym samym reżimem handluje reszta krajów Zachodu.

Wielu opozycjonistów wierzy, że zniesienie embarga odebrałoby reżimowi podstawę, na jakiej buduje od 40 lat kompleks oblężonej twierdzy. Tym samym dyktatura straciłaby resztkę prawomocności, jaką jeszcze może mieć w oczach poddanych, i zostałaby zmuszona do jakiegoś manewru.

Oswaldo Payá Sardinas sadza mnie w swoim mieszkaniu w centrum Hawany; długo i cierpliwie rozplątuje kłopoty kubańskiej opozycji. Jest najwyraźniej ze wszystkich kubańskich demokratów świadom słabości, na jaką cierpią oni sami i popierający ich retorycznie Zachód. I najdobitniej ze wszystkich odrzuca obezwładniający syndrom „zakładnika długowieczności i wigoru Fidela Castro".

Więziony w obozie pracy w latach 1969-72 za katolicyzm, maltretowany i upokarzany, od początku nie miał złudzeń co do natury reżimu Castro – w odróżnieniu od większości dzisiejszych kolegów z opozycji o rodowodzie lewicowym. Mimo że od dawna jest zaangażowany w ruch laicki w Kościele katolickim, który zaczął się w latach 1985-86, jest krytyczny wobec publicznej roli instytucjonalnego Kościoła na Kubie. – Między intelektualistami a hierarchią od początku istniały napięcia. Hierarchia katolicka na Kubie uważała w latach 80., że polski Kościół się myli, obierając drogę starcia z komunizmem. Uważała, że komunizm stopniowo opanuje Amerykę Łacińską

i że trzeba się do tej rzeczywistości przystosować. To nie tyle było echo popularnej w Ameryce Łacińskiej teologii wyzwolenia, ile realizm. Koniecznym punktem odniesienia miała być rzeczywistość kubańskiego komunizmu.

Oswaldo się nie zgadzał. Będąc członkiem świeckiej rady pewnego hawańskiego biskupa i wydawcą jednokartkowego „Ludu Bożego", uważał, że swobodę wyznania i wolność słowa trzeba sobie wziąć, a nie czekać, aż reżim je przyzna. Kiedy jego Chrześcijański Klub Myśli Kubańskiej został przez hierarchię wypchnięty z Kościoła, uznał, że laikat musi robić politykę o inspiracji chrześcijańskiej na własny rachunek. W 1988 roku założył Ruch Chrześcijańskiej Solidarności, dzisiaj przekształcony w Chrześcijański Ruch Wyzwolenia, przyjęty do chadeckiej międzynarodówki.

Uparcie broniąc zasady, że wolność się bierze, a nie dostaje, Oswaldo Payá przekracza granice, jakie duża część opozycji uznaje za nieprzekraczalne. Przede wszystkim odrzuca strategię przetrwania i czekania na śmierć Castro. – To przeciwieństwo wyzwolenia. To narkotyk. Kubańczycy muszą się obudzić, zanim umrze Castro. Muszą stworzyć ruch obywatelski i zaproponować, jak ma wyglądać kraj już teraz.

Tłumaczy, że reżim Castro nauczył się czegoś z doświadczeń Europy Wschodniej, że już trwa przekazywanie nomenklaturze władzy gospodarczej, wojskowej i politycznej. Pomaga w tym Europa Zachodnia i Kanada, które chętnie wchodzą z kapitałami w spółki mieszane z rządem Castro. Oswaldo odrzuca argument, że dolary rozmiękczają i demoralizują ideologicznie reżim od środka. Tłumaczy, kiedy tylko może, zagranicznym politykom, którzy spotykają się w Hawanie z opozycją, że bezwarunkowe dawanie pieniędzy, spółki joint ventures to przedłużanie żywota reżimu i sypanie przepaści między społeczeństwem a nową oligarchią. To grozi w przyszłości nową despocją albo wojną domową.

– Zachód, jeśli chce być z nami solidarny, musi poprzeć wyraźne rozwiązanie, którego chcą Kubańczycy, a nie czekać, aż reżim coś zrobi – mówi twardo.

To rozwiązanie to Projekt im. Vareli. Chadecy chcą mianowicie rozpisania na Kubie referendum, w którym Kubańczycy zagłosują nad wprowadzeniem wolności słowa i zrzeszania się, swobody zakładania przedsiębiorstw prywatnych, amnestią dla więźniów politycznych oraz wolnymi wyborami. Żeby wyjść z pułapki, w której opozycja na próżno prosi głuchy rząd o reformy, Oswaldo Payá chce, by plebiscytu, czyli zasadniczej reformy kraju, zażądali na piśmie, poświadczając to żądanie obywatelskim przykładem sami Kubańczycy. – To nie ma być petycja kilku opozycjonistów do władz, ale

obywatelska, pokojowa walka o plebiscyt, do obywatelskiego nieposłuszeństwa włącznie, jeśli to konieczne – mówi Oswaldo.

Jego projekt to odbudowa stosu pacierzowego, który Kubańczykom przetrącono. To leczenie antropologicznej rany. Do tego projektu chce też przekonać i wciągnąć diasporę kubańską w Miami, co pomoże przekroczyć wzajemną nieufność. – To także oferta dla tzw. umiarkowanych we władzach, jeśli tacy są. Niech się zastanowią, bo potem może być za późno.

Oswaldo Payá nie chce biernie czekać na zgon faraona. Nie wiadomo bowiem, co po nim nastąpi, jeśli sami Kubańczycy nie wyprostują grzbietu i nie postanowią, jak chcą wówczas żyć i jak we wspólnym kraju współżyć z reżimowymi sierotami po Castro i odrzuconymi przez niego uchodźcami.

Yoani Sánchez była jednym z wielu niezależnych dziennikarzy, którzy pisali

poza cenzurą. Ale pierwszą, która zdobyła internet. Jej blog „Generación Y” uczynił ją sławną w świecie. Dziś kieruje jeszcze pierwszą niezależną gazetą kubańską w sieci – „14ymedio”

YOANI SÁNCHEZ

Ja tylko pytam: **Dlaczego?**

Jest jak rewers dzisiejszej Kuby. Jej skromność przeciwko bucie braci Castro. Swoboda i młodość przeciwko starczemu uwiądowi komunistycznej satrapii

– Natura dała mi atletyczną posturę i cierpką twarz wolności – mówił Georges Jacques Danton. Miał na myśli swoje zwaliste ciało i oszpeconą w dzieciństwie gębę, ale w istocie zależało mu na podkreślaniu swoich zasług dla wolności, równości i braterstwa, które proklamowała francuska rewolucja 1789 roku. Katowi na szafocie przypomniał, by po raz ostatni pokazał ludowi jego ściętą głowę, bo „jest tego warta".

Yoani Sánchez jest kruchej budowy, a jej ujmujący uśmiech nie ma w sobie nic gorzkiego. Jej zasługi dla kubańskiej wolności, równości i braterstwa są łagodniejszej natury, ale nie mniej doniosłe niż Dantonowskie dla francuskiej.

To tym bardziej imponujące, że nie wymachuje naganem jak Wiera Zasulicz, nie ordynuje gilotyny dla wrogów ludu jak jakobin czy kordelier. Jej jedyną bronią jest ciche słowo, którym mozolnie piłuje kraty.

Piszę o Yoani Sánchez w „Gazecie", od kiedy w 2008 roku jej

internetowy dziennik „Generación Y" zdobył na świecie sławę, jakiej wcześniej nie zyskało żadne inne pisemne świadectwo zza żelaznej kurtyny, którą Fidel Castro spuścił na wyspę z początkiem lat 60. Czytam ten dziennik z niesłabnącą przyjemnością.

Yoani należy to najmłodszego pokolenia Kubańczyków, którzy mają odwagę sprzeciwiać się reżimowi. Najstarsi przeciwnicy dyktatury zbiegli na wygnanie, poszli do więzienia lub odeszli. Kiedy Yoani zaczynała się buntować, kilkudziesięciu starszych dysydentów gniło w więzieniach po obławie i hurtowych procesach czarnej wiosny 2003 roku. Garstka ocalała na wolności, próbując przypominać światu, że po upadku Związku Sowieckiego Kuba jest ostatnią totalitarną skamieliną na zachodniej półkuli.

Sánchez nie pamięta dyktatury Fulgencio Batisty ani słynnej demokratycznej rewolucji przeciw niemu w 1959 roku, która dwa lata później zmieniła się w totalitarną tyranię Fidela. Jej imię na literę Y to znak dekady lat 70., kiedy u szczytu utopii utrzymywanej sowieckimi dotacjami Kubańczycy nadawali dzieciom imiona brzmiące podobnie do radzieckich komsomolców Yuniesky, Yadinnis, Yilka, Yusleibis, Yuri czy Yoani.

Yoani nazywa to pokolenie „Why" (ang. wymowa litery Y), bo jego naiwni przedstawiciele pytają często o rzeczy, zdawałoby się, oczywiste.

Wychowała się w czasach, gdy opozycja demokratyczna na wyspie była wątła i rozproszona, panował kaganiec państwowych mediów, a strach i rezygnacja ludzi wobec wszędobylskich ideologicznych patroli władzy skazywały garstkę niepokornych na samotność.

Urodzona w 1975 roku adeptka filologii hiszpańskiej na uniwersytecie w Hawanie już na studiach w drugiej połowie lat 90. okazuje nieposłuszeństwo. I to w czasie, gdy nadzieje pierestrojki, polskiej „Solidarności", a potem wschodnioeuropejskiej wiosny ludów z przełomu lat 80. i 90. rozbiły się o mur kubańskiego komunistycznego bunkra. Potem emigruje, ale zaraz wraca i rzuca rękawicę reżimowi.

Zakrawa to na cud, ale cudem nie jest. Raczej dowodem, że nie ma takiej opresji, która wytrzebi w ludziach wolę niezależności. Że nie ma takiego strachu, którego człowiek nie potrafi pokonać, ani marazmu, z którego nie umie się otrząsnąć.

Pracę magisterską „Słowa pod uciskiem" napisała w 1990 roku o literaturze iberoamerykańskiej pod dyktaturą. Ameryka Łacińska rodziła wojskowych tyranów równie łatwo jak wybitnych pisarzy. Świat uciemiężony, nieprzedstawiony, który w połowie lat 70. ubiegłego wieku opisywali w naszym wesołym realsocjalistycznym baraku Adam Zagajewski i Julian Kornhauser, po drugiej stronie Atlantyku w jego znacznie okrutniejszej wersji

prawicowych militarnych tyranii opowiadali wielcy prozaicy: Augusto Roa Bastos, Miguel Angel Asturias, Mario Vargas Llosa, Alejo Carpentier, Gabriel Garcia Marquez. Zdawało się, że taka słuszna ideologicznie praca powinna się podobać. Ale czynownicy frontu ideologicznego Castro usadzeni na odcinku humanistyki pojęli w lot, że magistrantka czyni prowokacyjne aluzje do Kuby. Pracę zatwierdzili ledwo, ledwo.

Akademickie środowisko i posady urzędowego literaturoznawcy nie były dla niej. Krótko pracowała jako redaktor pomniejszego pisma, po czym stanęła na własnych nogach; to zuchwalstwo w warunkach komunistycznego monopolu na pracę. Zaczęła uczyć zagranicznych turystów hiszpańskiego, co dawało godziwsze utrzymanie niż państwowa posada. Miała już wtedy kilkuletnie dziecko z mężem dysydentem, kilka lat wcześniej wyrzuconym za krnąbrność z rządowej gazety „Juventud Rebelde".

– To były czasy, kiedy inżynier wolał być taksówkarzem, nauczyciel – portierem w hotelu, a za ladą sklepową stawał neurochirurg albo fizyk – pisała potem Yoani Sánchez.

Nie była bojownikiem antykomunizmu. Jak niejeden Kubańczyk przed nią, miała dość życia ukradkiem. W 2002 roku wyemigrowała do Szwajcarii. W Zurychu odkryła komputery, internet i nowe powołanie: przemawianie własnym głosem za pomocą nowego środka przekazu, który władzy jest znacznie trudniej kontrolować niż drukowany samizdat. Po dwóch latach, wbrew dobrym radom przyjaciół, wróciła na wyspę.

Z emigracji wówczas prawie nikt nie wracał. Zaledwie rok wcześniej Fidel Castro posłał do więzienia 75 opozycjonistów, niezależnych dziennikarzy i pisarzy. Wszyscy dostali w pokazowych rozprawach doraźnych wyroki od 8 do 31 lat więzienia. Nękana i wykrwawiana opozycja, osłabiana ucieczkami z ziemi bez nadziei, wydawała się przetrącona na długie lata. Na wolności pozostała garstka znanych za granicą i chronionych tą sławą dysydentów. Przekaz dyktatora był jasny: żadnych złudzeń.

Wkrótce po powrocie Yoani Sánchez wraz z mężem Reinaldo Escobarem założyli pismo „Consenso", portal DesdeCuba, a w 2007 roku własny blog „Generación Y".

Pisała potem, że zrobiła to „z tchórzostwa", by „móc mówić to, czego mi zabraniano w sferze obywatelskiej". Internet był Kubańczykom wzbroniony, dostępny wyłącznie ścisłej nomenklaturze, pomysł wydawał się więc skazany na klęskę. Ale Yoani się udało. Już rok później miała milion wejść na swoją stronę, „Generacja Y" stała się znana w świecie, a władze zachodziły w głowę, jak ona to robi, nie mając internetu w domu ani wstępu do hoteli, gdzie z sieci korzystali cudzoziemcy.

Od 2008 do 2011 roku dostęp do jej bloga na wyspie za pośrednictwem lokalnych serwerów był zablokowany. Kubańczykom, którzy zdołali wejść do sieci, wyświetlał się biały ekran. Uprzywilejowanym z nomenklatury, którzy omijali lokalne łącza, groziła kara za wchłanianie wrogich treści.

Tymczasem sypały się nagrody: w Hiszpanii, USA, Niemczech, Szwajcarii, Argentynie, Meksyku. O jej blogu donosiły: „New York Times", „Time", „Newsweek", „Washington Post", „El Pais", „Die Zeit", CNN, Al-Dżazira, Reporterzy bez Granic. Żadnej nagrody nie mogła odebrać, bo władze nie pozwalały jej wyjechać. Komentowała kolejne odmowy, których dostała kilkanaście:

– Ta zaborcza logika państwa-tatusia uważa, że nie zasługuję na wyjazd za karę za blog i trzeba wytarmosić mnie za uszy za to, że uważam się za człowieka wolnego – pisała kilka lat temu. – Ale i tak pójdę tam, usiądę w zapchanej poczekalni, by domagać się moich praw. Pewnego dnia ta maszyneria służąca zarabianiu pieniędzy i egzekwowaniu ideologicznej prawomyślności przestanie istnieć.

– Pani nie zezwala się na wyjazd – usłyszałam w biurze paszportowym. Zażądałam podania przyczyn, ale urzędniczka służyła wyłącznie za mur między mną a jej ukrytymi szefami. Przypomniałam sobie słowa szefa Związku Pisarzy i Artystów Kuby, że wszyscy Kubańczycy mają prawo podróżować, z wyjątkiem tych, którzy są w konflikcie z prawem. Nie zdołałam sobie przypomnieć ani jednej sprawy karnej. Nawet szybkowar, który mi sprzedano na kredyt, spłaciłam, choć popsuł się po dwóch miesiącach. Nigdy nie byłam skazana, a jednak jestem skazana na nieopuszczanie wyspy. Wyrok wydał wszechmocny prokurator, którym jest państwo. Ten sam sędzia zabronił wyjeżdżać staruszce siedzącej obok mnie, bo jej syn „zdezerterował z misji lekarskiej" za granicą. I chłopczykowi czekającemu za rogiem, bo jego ojciec sportowiec startuje teraz pod inną flagą.

– Czasem wkładam okulary optymizmu, które przez chwilę pozwalają mi widzieć pałace tam, gdzie są ruiny, przywódców, którzy wiodą nas ku zwycięstwom, choć w rzeczywistości doprowadzili nas na skraj przepaści, i mężczyzn urzeczonych moimi włosami, choć wiem, że to tajniacy, którzy mnie śledzą. Potem okulary wyrzucam z balkonu. Może ktoś jeszcze zechce ich użyć, by odmienić sobie rzeczywistość.

W 2008 roku, kiedy Hiszpania nagrodziła ją wyróżnieniem im. Ortegi y Gasseta za niezależne dziennikarstwo, wyróżnił ją też Fidel Castro, karcąc w telewizji, mimo że większość rodaków nie miała pojęcia, że Yoani istnieje: – Ta młoda Kubanka robi krecią robotę w neokolonialnej prasie dawnej hiszpańskiej metropolii [chodzi o dziennik „El Pais"], która jej za to płaci.

Odpowiedziała dyktatorowi wpisem pod zdjęciem starego telewizora: „Niektóre rekwizyty epoki sowieckiej wciąż nie chcą odejść. Napada na mnie osoba o nieskończenie większej władzy niż moja, dwukrotnie ode mnie starsza".

Jej mąż wypomniał Castro, że zagraniczne nagrody dla jego żony to nic w porównaniu z nagrodami, które dyktator seryjnie przyznaje w imieniu narodu kubańskiego „zdrajcom, sprzedawczykom, dyktatorom i mordercom, takim jak: Leonid Breżniew, Nicolae Ceauşescu, Todor Żiwkow, Gustav Husak, Janos Kadar, Mengistu Haile Mariam, Robert Mugabe, Heng Samrin czy Erich Honecker".

Mimo tej szermierki słownej oraz mniej subtelnych codziennych represji bezpieki internetowy dziennik pokolenia pytających „dlaczego?" rozwijał się nieprzerwanie. Yoani znajdowała wciąż nowe kanały, by czytano go na całym świecie.

Po trzech latach władze zastąpiły knebel wojną ideologiczną. Na tajnej konferencji MSW uznano, że kubańscy blogerzy to „cybernajemnicy i cyberagenci imperializmu". Sterowani z piwnic służb wywiadów i wysłani „na wojnę permanentną jako wrogie forpoczty" chcą doprowadzić do wstrząsów społecznych na Kubie, „jak wcześniej dopięli tego na Ukrainie w 2004 roku czy w Iranie w 2009 roku".

– Z pojęciem dywersji ideologicznej mieliśmy już do czynienia w latach 70. To był eurokomunizm, słuchanie Beatlesów, recytowanie poezji i noszenie długich włosów. Za to wyrzucano z partii, ze studiów, nawet stawiano przed sądem – napisali wówczas Reinaldo i Yoani. – Kubańska blogosfera to nie twór imperializmu amerykańskiego, ale owoc wielu zjawisk, jak krach socjalizmu, sprzeciw obywateli, zwłaszcza młodych, wobec reżimu, rozwój technologii. Władza to wie, ale okłamuje własnych funkcjonariuszy. Po co?

Biografia Yoani biegnie od tamtej pory dwoma torami. Yoani pisze i działa. Pisze, co myśli i czuje. Postępuje zgodnie z tym, w co wierzy i wyznaje. Od lat nie opuściła żadnej okazji, by wesprzeć innych niepokornych rodaków, nawet jeśli dla niej samej oznacza to ryzyko.

Kilka lat temu w przebraniu blond wampa, w grubych okularach zmyliła bezpiekę pod swoim blokiem w Hawanie i wślizgnęła się na zamkniętą konferencję o wrogich internetowych knowaniach imperializmu w redakcji rządowego czasopisma „Temas". Na sali wstała i zerwawszy perukę, przemówiła: – Po co ta cała gadanina o zagrożeniach internetu? To zwykła cenzura. Kubańczycy nie mogą nawet wejść na stronę na Wyspach Kanaryjskich, by sprawdzić akty urodzenia hiszpańskich przodków, którzy stamtąd przypłynęli na wyspę. Nie mogą wejść na stronę „Spotkania"

poświęconą kulturze kubańskiej na wyspie i na emigracji. Ani na mój blog cenzurowany od półtora roku.

Potrząsała peruką i mówiła: – A ja muszę tak się tutaj przedzierać, żeby zgubić szpicli pod moim domem. Dlaczego wirtualna Kuba musi znosić tę samą cenzurę, tę samą przemoc i piętnowanie osób myślących inaczej niż władza, które znosi Kuba rzeczywista?

Na międzynarodowym festiwalu sztuki w Hawanie podeszła do mikrofonu i wypaliła: – Nie czekajmy dłużej, aż nam pozwolą używać internetu! Przeskoczmy ten mur! – wołała. Autorzy happeningu postawili jej wtedy na ramieniu białego gołębia. Było to nawiązanie do historycznej sceny, gdy 8 stycznia 1959 roku na ramieniu Fidela Castro, przemawiającego na pierwszym wiecu po wkroczeniu do Hawany, usiadł biały gołąb i wprawił w zachwyt setki tysięcy ludzi. Teraz też rozległy się oklaski, a kolejni mówcy wołali: – Wolność! Niech żyje demokracja!

Reżim zareagował wybuchem wściekłości na „prowokację przeciw rewolucji" ze strony „osobników pozostających w służbie antykubańskiej maszynerii propagandowej", którzy wyrażają „zgrane żądania wolności i demokracji", „obrażając artystów kubańskich i zagranicznych, którzy przyjechali, by okazać rewolucji swoją solidarność".

Podobne brewerie nie zawsze uchodziły jej płazem, czasem kończyło się gorzej niż propagandowymi połajankami. Kiedyś agenci bezpieki porwali ją z miasta w biały dzień, pobili i wyrzucili na ulicę. Jeden z oprychów wrzeszczał: – Doigrałaś się! Koniec twoich błazeństw!

Przez kilka dni chodziła o kulach, po czym opublikowała zdjęcia agentów zrobione telefonem komórkowym.

– Jak Kubrick czy Tarantino będę dawać świadectwo istnienia tych stworzeń, które nas śledzą i prześladują – napisała. – Tych istot ciemności, które niczym wampiry żywią się naszą ludzką radością i wpajają nam strach biciem, groźbami, szantażem. Stworzeń wytrenowanych w przemocy, które nie przewidziały, że ich twarze zostaną pochwycone aparatem, telefonem komórkowym czy źrenicą uważnego obywatela.

Urządziła promocję zbioru opowiadań „Boring Home" przyjaciela i dysydenta Orlando Luisa Pardo, które wcześniej odrzuciło państwowe wydawnictwo jako wrogą propagandę. Książkę można było ściągnąć z jej bloga i portalu DesdeCuba. Na happeningu na skwerze w Hawanie rozdawano zaprzyjaźnionym pisarzom i korespondentom prasy zagranicznej egzemplarze tomu, czytano go na głos. Grała grupa rockowa Porno para Ricardo, wielokrotnie karana za antypaństwowe piosenki. Yoani już wcześniej zaprotestowała przeciw kolejnemu aresztowaniu lidera grupy Gorki Aguila.

W przerwie koncertu urzędowego barda Pablo Milanesa rozwinęła transparent i wznosiła nieprzewidziane okrzyki. Została poturbowana.

– Sprawa Heberto Padilli [poety zakazanego i zaszczutego w końcu lat 70., któremu 10 lat później dyktatura pozwoliła wyemigrować] wciąż rzuca cień na kulturę kubańską. To już tyle lat, a wydaje się, że minęło kilka chwil. Autorzy na indeksie, zakazane książki, kiermasze dla prawomyślnych, kultura w rękach instytucji i garstki ludzi, którzy decydują, co się ukaże. Tamten nazywał się Heberto, ten dzisiaj Orlando – napisała potem w dzienniku.

W grudniu 2011 roku, kilka dni po śmierci byłego czechosłowackiego i czeskiego prezydenta Vaclava Havla, napisała: „Havel odszedł, a my dopiero wchodzimy na drogę, którą on przebył kilkadziesiąt lat temu".

Castro też ogłosił żałobę. Opuszczone do połowy masztów flagi i hymny państwowe czciły pamięć zmarłego dzień wcześniej dyktatora Korei Północnej Kim Dżong Ila. Dla Havla, który już jako prezydent wiele zrobił dla sprawy wolnej Kuby, wspierając akcje pomocy czeskiej organizacji Ludzie w Potrzebie dla dysydentów i zgłaszając do pokojowego Nobla kandydatury kubańskich dysydentów, reżim nie miał ani słowa. Dla Castro Havel był jednym z „zawodowych kontrrewolucjonistów" i „lokajów USA".

Cztery lata temu Yoani Sánchez złożyła hołd zmarłej przywódczyni sławnych Dam w Bieli, które od czarnej wiosny w 2003 roku walczyły o wolność mężów i wszystkich więźniów politycznych. Laura Pollán i Damy były atakowane, szarpane i obrzucane wyzwiskami na wiecach nienawiści organizowanych przez zdrowe siły rewolucji. Zmarła w szpitalu w Hawanie w niejasnych okolicznościach. Bezpieka pilnowała kliniki i przerzucała jej trumnę z auta do auta, by wywieźć ciało, unikając manifestacji żałobnej.

– Jeśli oddanie zmarłemu czci przydaje honoru, to lżenie go – hańbi – napisała Yoani. – Jak teraz czują się te kobiety, które zwożono pod jej dom, by obrzucały ją wyzwiskami? Co sobie myślą bojówkarze, którzy ją poturbowali? Laura odeszła, nie ma jej i ani jeden oliwkowy mundur nie jest czysty na tle nieskazitelnej bieli jej sukienki.

Yoani Sánchez jest nie tylko obywatelem wbrew zakazowi obywatelstwa. Jest bystrą i wrażliwą publicystką, kronikarzem, pisarką. Nie potępia, nie poucza, nie ciska pamfletami, nie demaskuje, nie oskarża, nie zagrzewa. Jest wolna od nienawiści.

Pisze spokojne, czasem melancholijne miniatury, szkicuje obrazy codzienności kubańskiej, które – choć skupione na potocznym szczególe – nie brzmią trywialnie, lecz pokazują zakryty sens zdarzeń. Składają się na raport z okupowanego kraju, który mówi więcej niż gniewny protest.

Jak podpis pod zdjęcia dwóch bliźniaczych bułek na balkonie jej

mieszkania na 12. piętrze bloku w Hawanie:

– Dla sceptyków, którzy myślą, że nic się nie zmienia, oto zdjęcia mojego chleba na kartki z lipca ub.r. i maja tego roku. Główna różnica to nie wygląd. Pomiędzy tymi zdjęciami jest kilku zarządców piekarni wyrzuconych za malwersacje, kilka zebrań, na których rozliczano za skargi na jakość produktu. Oraz rosnące przekonanie, że oto ostatecznie już zapomnieliśmy, jak się piecze chleb.

Albo dwa zdania pod panoramą Hawany spowitej smogiem z kominów fabrycznych:

– W podręczniku geografii dla szóstej klasy jest zdjęcie ilustrujące zanieczyszczenie środowiska w krajach kapitalistycznych, już nie pamiętam, czy z Londynu, czy z Berlina. Ale to jest jakoś podobne.

Yoani nie krzyczy, że Kuba to więzienie. Od hasła, choćby słusznego, silniejszy jest obraz i trafne słowo:

– Szczęśliwi chłopi, 19 maja 2008. Do plecaków włożyli konserwy, kilka świec i stary aparat fotograficzny Zenit. Pojechali pociągiem do Santiago de Cuba i w sobotę rano poszli w góry. Chcieli dojść do Baracoa, nocą rozbić obozowisko w górach i kochać się w szałasie z bezwstydem swoich siedemnastu lat. Drugiego dnia zobaczyli chłopa prowadzącego muły. Wahali się, czy go zagadnąć, ale zwyciężył argument jego: Spytajmy, gdzie jest najbliższe domostwo. Ona, rozsądniejsza, chciała ostrzec, że góry już nie są takie same jak dawniej, gdy chłopi dzielili się z każdym obcym tym, co mieli, choćby to było mało.

W końcu podeszli, a mulnik od razu ich upomniał: Co wy tu robicie? Po górach nie wolno łazić bez pozwolenia. Na wycofanie się było za późno. Nie mieli innego wyjścia, jak pójść z chłopem do najbliższej osady, gdzie zarzucono ich pytaniami. Miejscowy nauczyciel kazał im nie ruszać się, dopóki nie przyjedzie policja. Chciał wiedzieć, kto im podsunął pomysł pójścia w góry Sierra Maestra. Ona na to, że zen, energia kosmiczna, ćwiczenia tai-chi, łączność z naturą. Nie uwierzył. Wieczorem przyjechał szef posterunku. Musieli powtórzyć, że chcieli tylko pójść na wycieczkę, spać pod drzewami i dojść do Baracoa. Zabrano ich na komisariat do Santiago de Cuba i wsadzono do autobusu do Hawany. Podczas długiej podróży powrotnej wciąż wspominali mieszkańców tamtej zagubionej w górach wioski, którzy mówili policjantom: Zabierzcie ich stąd. Są jacyś podejrzani. Komu przychodzi do głowy łazić po górach!

Po 20 odmowach wyjazdu za granicę, kiedy w 2013 roku wreszcie pojechała na objazd świata i odbiór zaległych nagród, Yoani Sánchez czuła się jak gość na własnym weselu:

– Na czym polega różnica? Na zapachach, temperaturze, pomyślałam na początku. Potem uderzały mnie odgłosy właściwe każdemu miejscu, szarość zimowego nieba albo ciemna barwa rzeki płynącej gdzieś w Europie. Co tu jest inaczej? Cogodzinne bicie w kościelne dzwony... Domy tak stare, że przy nich stara Hawana wygląda na młodą. Ale nie, to nie mrowie nowoczesnych samochodów ani sygnał wi-fi dostępny na każdym kroku, ani kioski pełne gazet czy półki pełne towarów... Nie one stanowią o różnicy.

– Naprawdę inne jest to, co wolno, a czego nie wolno. Odkąd wysiadłam z samolotu, czekam, aż ktoś mnie zgani, podejdzie i skarci: „Nie wolno". Szukam strażnika, który krzyknie: „Zabrania się fotografować!". Albo srogiego policjanta, który wrzaśnie: „Obywatelko! Dowodzik proszę!". Albo urzędnika, który mi zastąpi drogę: „Wstęp wzbroniony!".

– To jest największa różnica. Nie widzę nad sobą zapalonej na stałe czerwonej lampki zakazu, nie słyszę gwizdka, który mnie przyłapuje na czymś nielegalnym, nie mam stałego poczucia, że wszystko, co zrobię albo pomyślę, zaraz może mi zostać zakazane.

Yoani Sánchez czuje, jak boleśnie podzielony jest jej naród, rozdarty między 11 mln wyspiarzy a 2,5 mln emigrantów kilku pokoleń, wypędzonych lub zbiegów. Na Kubie i wśród uchodźców w USA czy Hiszpanii powtarza to samo: Kuba jest jedna i należy do wszystkich Kubańczyków. Zaciekłym emigranckim antykomunistom potrafi powiedzieć – i sprawić, by grzecznie słuchali – że amerykańskie embargo handlowe, które namiętnie popierają, jest niesprawiedliwe, bo bije w rodaków na wyspie. Rodakom i władzom powtarza, że wyspa to także ojczyzna wypędzonych, rzekomo wyrzutków i zdrajców.

Podczas podróży po świecie młody pasażer spytał ją w pociągu w Niemczech, skąd pochodzi:

– Z Kuby – odpowiedziałam. Zwykle rozmówca próbuje wówczas pokazać, jak dużo wie o moim kraju. Najczęściej ludzie reagowali: „Aha, Varadero, jasne. Rum i salsa". Czasem tylko tyle, że Buena Vista Social Club. Ale ten młodzieniec nie miał dla mnie frazesów ze świata turystyki czy muzyki. Poszedł dalej: „Jesteś Kubanką? Ale z której Kuby? Kuby Fidela Castro czy Kuby z Miami?".

– Spłoniłam się. Zjeżyłam się jak kot. Wyleciał mi z głowy cały mój ubogi niemiecki. Z moim najlepszym akcentem z centrum Hawany odparłam: „Posłuchaj, chłopcze, jestem Kubanką od José Marti".

System się sypie. **Odwaga**

MACIEJ STASIŃSKI: Jak wygląda Kuba w 2014 r., po 55 latach komunizmu? Dyktatura wciąż trzyma się krzepko?

YOANI SÁNCHEZ: Nie. Reżim nadal ma pełnię władzy, ale stracił ideologiczny zapał. Jego dygnitarze i urzędnicy w nic nie wierzą. W tym sensie traci broń i wojsko. Większość tych, którzy mu służą, nie chce się angażować w żadne akcje, próbuje się migać, żeby ich nikt nie zauważał. Inni jawnie odchodzą, choć pod różnymi pretekstami – a to zdrowie, a to wiek. Nigdy dotąd nie było takiej fali oddawania legitymacji partyjnych.

Mieszkam w bloku zbudowanym dla ludzi związanych z aparatem propagandowym reżimu: dziennikarzy, reżyserów itd. Spotykam na klatce reżysera, który mi mówi, że właśnie oddał legitymację, bo już siły nie te. Ale ja wiem, że nie o to chodzi. A on wie, że ja wiem i kim jestem.

Najbardziej wymowny wydaje mi się przypadek pewnego kamerzysty, który wstał na zebraniu partyjnym i powiedział: „Towarzysze, nie mogę być dalej w partii, bo żeby utrzymać rodzinę, musiałem łamać prawo. Kupowałem na czarnym rynku i załatwiałem różne rzeczy na lewo". Towarzysze się zdziwili: „Przecież wszyscy musimy tak robić". A on: „Otóż to. To jest właśnie najważniejszy powód, dla którego nie mogę zostać w takiej zakłamanej partii, gdzie co innego się mówi, a co innego robi". Dzisiaj ten kamerzysta mieszka już w Miami. Szczury opuszczają tonącą łódź.

Skąd ta utrata wiary wewnątrz reżimu?

– Z jednej strony to zużycie biologiczne. Pokolenie rewolucji 1959 roku

odchodzi albo odeszło. Z drugiej – najwyżsi wodzowie Fidel i Raúl Castro nie dorobili się następców. Gorzej: jeśli którykolwiek z ich młodszych podwładnych kiedyś się wyróżnił, został wywalony w czystkach.

Dyktatura straciła monopol informacyjny i kulturalny. Nie chodzi tylko o internet, do którego dostęp ma na razie mało Kubańczyków. Na Kubie, zwłaszcza w Hawanie i dużych miastach, istnieje dziś drugi obieg informacji, rozrywki, filmów itd. To się nazywa „pakiecik". Ludzie rozpoznają się z daleka, handlują „pakiecikami" na każdym kroku, gadają ze sobą, są na bieżąco z wydarzeniami. Bo to są pliki z wiadomościami z mediów w Miami, artykułami prasowymi, muzyką, filmami, skeczami kabaretowymi nagrane na pendrive'y lub CD. Potem podłączają to w domu do komputerów albo komórek.

Nie oglądają już państwowej telewizji. Np. dzieci pytane na lekcjach o kolejną propagandową akcję w TV, w której do czegoś wzywano i kogoś potępiano, nie wiedzą, o co chodzi, bo u nich w domu już nikt tego nie ogląda.

Kiedyś symbolem pozycji społecznej była szansa pojechania na wakacje do ZSRR albo innego kraju z tzw. obozu socjalistycznego. Ci turyści wracali i już na lotnisku szpanowali pluszowymi misiami. Potem, w latach 1980-90, misie zastąpiły magnetofony kasetowe – pokazywali je tak, żeby wszyscy widzieli.

Teraz symbolem statusu jest płaski telewizor plazmowy. W ostatnim roku dużo podróżowałam za granicę. Kiedy wracałam, widziałam, że na każdego Kubańczyka przypada jedna plazma.

Napływ komórek, komputerów, pendrive'ów, telewizorów itd. w połączeniu z obiegiem niezależnej informacji tworzy mieszankę wybuchową. Władza traci władzę nad Kubańczykami. Kiedyś Fidel Castro utrzymywał mobilizację ludzi, hałasując bezustannie, hipnotyzował ich, gadał godzinami przy każdej okazji, pomstował na spiski imperializmu. Teraz nie mówi nic. Przemawia raz na rok, i to krótko. I Kubańczycy mają spokój i czas, żeby się rozejrzeć wokół i zobaczyć, jak naprawdę wygląda kraj, w którym żyją.

Reżim musi sobie zdawać sprawę, że traci poparcie i monopol. Ma w końcu bezpiekę.

– Zdaje sobie sprawę. Na razie czeka na wyniki swoich reform, których wciąż nie widać. Na Kubie już pół miliona osób pracuje na własny rachunek, we własnych minifirmach, niezależnie od państwa. Ale efekty gospodarcze są

słabe.

Prywatni przedsiębiorcy nie mają kredytów, nie ma rynku hurtowego, nie można swobodnie importować. Podatki są za wysokie. Od kilku lat można prywatnie uprawiać ziemię i sprzedawać żywność. Ale nie ma maszyn, nawozów, narzędzi. I żywności wcale nie przybywa, ceny nawet wzrosły, zamiast spaść.

Nowa ustawa o inwestowaniu przez kapitał zagraniczny jest bardziej liberalna, ale nie daje gwarancji i nie budzi zaufania, które mogłoby sprowadzić tu inwestycje. Nie wystarczy, że jedna komórka organizmu, gospodarka, będzie zdrowa, jeśli reszta jest chora. Tak mi w Warszawie powiedział wasz kapitalista Jan Kulczyk, kiedy zapytałam, czy zainwestuje na Kubie. Jest turystyka, ale 3 mln turystów rocznie na Kubie to mało jak na Karaiby.

Rząd wymyślił, że zbuduje wielki port handlowy, Puerto Mariel. To miało być cudowne rozwiązanie, kubański Hongkong. Ale nie będzie. Za każdym razem, kiedy rząd stawia na jedną cudowną receptę, przychodzi klęska. Fidel Castro wymyślił karłowate krowy, które dają dwa razy więcej mleka, szybkowary z Chin, które zaoszczędzą połowę energii elektrycznej itd.

Rząd zdaje sobie sprawę, że Wenezuela, która dotuje Kubę, może się zawalić, i szykuje jakiś plan B. Ale nie wie, co zrobić. Gra na czas. Wie, że w roli sponsora Chiny nie zastąpią Wenezueli i ZSRR. Dlatego próbuje rozmawiać o wznowieniu stosunków z Unią Europejską. Ale Unia jest ostrożna, stawia warunki.

Jednak najgorsze jest coś innego. Po ponad 50 latach komunizmu na wyspie zerwany został ciąg zjawisk, które rządzą życiem jednostek i społeczeństwa: praca – wysiłek – korzyść. To będzie trudno odtworzyć.

Jeśli Wenezuela zawiedzie, będzie katastrofa?

– Z pewnością. To kilka miliardów dolarów dotacji rocznie. USA nie zniosą embarga. Handel przez port Mariel nic nie da, bo każdy statek, który tu przypłynie, przez pół roku nie ma prawa dobijać do portów w USA. A Ameryka jest najbliżej i handel z nią byłby najważniejszy.

Dygnitarze reżimu widzą, co się święci, i szukają zabezpieczenia swoich interesów za granicą: kupują ziemię w Argentynie, zakładają firmy, handlują pod przykrywką firm państwowych. Niedawno widziałam mleko w proszku z Nowej Zelandii. Zapytałam koleżankę, która ma znajomości: „Sprowadzamy mleko z drugiego końca świata?!". „Cicho, to firma syna jednego generała, który ją tam założył za państwowe pieniądze i zbija majątek".

Dlaczego władze, które chciały kilka lat temu wprowadzić model chiński – kapitalizm bez wolności i demokracji – nie mogą tego zrobić?

– Bo brakuje Chińczyków. To inna kultura i obce wartości. Kilka tysięcy lat poddaństwa wobec władzy centralnej. Kuba należy do kultury zachodniej, liberalnej, nie poddańczej. Gdyby spróbowała tej drogi w latach 90., kiedy się rozpadł ZSRR, może by się udało. Ale wtedy pojawił się drugi dobroczyńca – Wenezuela. Teraz jest za późno. Władzy nie wystarczy już czasu na wprowadzenie tego modelu. Bracia Castro nie mają wiernych następców. Nikt już w nic nie wierzy, wszyscy chcą sobie tylko napchać kieszenie.

Pozostaje model Rosji Putina. Dziki kapitalizm pod kontrolą władzy, póki się da. Niedawno syn Raúla Castro Alejandro podpisał w Moskwie porozumienie o współpracy wywiadów i sił specjalnych. A tego samego dnia, gdy władza zaczęła rozmowy z Unią, w Hawanie był szef MSZ Rosji Ławrow – wizyta „towarzysza Ławrowa" znalazła się na pierwszej stronie „Granmy", organu komunistów.

Rosjanie budują na Kubie bazę telekomunikacyjną. To oczywiście nie to samo, co baza rakietowa w 1962 r., ale jednak demonstracja. Putin chce zaszkodzić USA, więc kupuje sobie sojuszników. Kuba już poparła inwazję na Krym, tak samo Wenezuela. Słowo „aneksja" zaczęło u nas w propagandzie mieć nagle znaczenie pozytywne. A dotąd kojarzyło się z imperializmem USA! Kubie to pasuje, bo ma się na kim oprzeć. Ale Rosja, inaczej niż kiedyś ZSRR, nie weźmie sobie na plecy takiego utrzymanka. Za ciężki tobół.

Oczywiście Rosja nie zainstaluje u nas rakiet. Ale gdyby doszło do konfliktu z USA i Zachodem, to Kuba stanie po stronie Rosji. Wtedy da sobie spokój także z Unią. I z całą pewnością reżim raz jeszcze rozpęta represje wewnętrzne, jak to robił w przeszłości za każdym razem, kiedy wybuchał jakiś konflikt na świecie, np. po inwazji na Irak w 2003 r., kiedy nastąpiła czarna wiosna – obława na dysydentów. Taka reakcja, kolejna próba wzięcia ludzi za mordę, jeszcze może nastąpić.

Skoro władza kruszeje, obszar wolności się rozszerza, to w jakiej kondycji jest opozycja demokratyczna?

– Przeżywamy dobry moment, ale i trudny. Scena obywatelska się odradza: są niezależni dziennikarze, blogi, portale, ale też kultura alternatywna, happeningi, zespoły hiphopowe i rockowe. A że władza od razu zaczęła tych artystów opluwać i demonizować jako degeneratów, wyzwoliła odruch

sympatii i natychmiast przybyło im publiczności. Inni przekonali się, że też tak mogą.

Rozmnożyły się także grupy jawnie opozycyjne, ale tu już jest problem – jest ich za dużo i są rozdrobnione. Przy czym nasiliło się ostatnio następujące zjawisko: ktoś zakłada taką grupkę, robi sobie zdjęcia, kontaktuje się z emigracją, pokazując, że jest opozycjonistą albo niezależnym dziennikarzem, ale kiedy się stanie trochę znany, a bezpieka go zatrzyma i przesłucha, zaraz wyjeżdża za granicę i prosi o azyl polityczny jako prześladowany. I wielka szkoda, bo to akurat są osoby bystre, dynamiczne, tyle że robią te fałszywe minikariery, żeby wyjechać i urządzić sobie życie na emigracji. Szeregi nam topnieją.

Pojawia się też w opozycji nasz własny syndrom wodzowski: każdy chce być szefem i nie chce drugiemu ustąpić ani się z nim dogadać. Infantylizm. Bywa, że ktoś nie chce przystąpić do jakiejś organizacji, bo jest w niej np. Rodriguez, a on z tym Rodriguezem nie chce mieć nic wspólnego.

Poza tym podziemna działalność stwarza swoje własne wynaturzenia. Tajność, podejrzliwość czy zwykła zazdrość sprawiają, że nie tylko utrzymuje się atomizacja, ale także brakuje wewnętrznej demokracji, dyskusji, przejrzystości finansowej, bo wszyscy pilnują zazdrośnie swoich dotacji.

Opozycji trudno też porozumiewać się ze sobą z banalnych powodów: braku łączności, trudności z poruszaniem się między miastami, zatrzymań czy podsłuchów. W takich warunkach trudno się dyskutuje i szuka wspólnego języka. A opozycja musi się nauczyć kultury porozumienia, osiągania minimalnej zgody choćby co do najważniejszych spraw. W dodatku bezpieka znakomicie nauczyła się infiltracji i intryg. Przecina kontakty, szczuje, potrafi nawet grać na ludzkich uczuciach. Na to idzie 80 proc. energii jej funkcjonariuszy i to umie naprawdę dobrze.

Dotychczasowe opozycyjne formy walki też się zużywają. Zbieranie podpisów pod petycjami kiedyś wymagało wielkiej odwagi. Ale dzisiaj już nie tak bardzo i w dodatku jest bezskuteczne. To samo dotyczy strajków głodowych, które przestają robić wrażenie na władzy.

No i są w końcu spory zasadnicze. Czy reformy Raúla Castro naprawdę coś zmieniają, czy to kosmetyka? Szykować się do rozmów z władzami czy nie? Rozmawiamy czy walczymy, aż reżim upadnie? Ulica czy strategia i myśl polityczna? Z jednej strony mamy takich działaczy jak Dagoberto Valdés, intelektualista, czy Daniel Ferrer, szef Unii Patriotycznej, najważniejszej partii, a z drugiej bojowników nieprzejednanych, jak Berta Soler z Dam w Bieli. Ci drudzy nie zdają sobie sprawy, że ich uliczne marsze i protesty są ważne m.in. dzięki temu, że działają niezależni dziennikarze, dysydenci czy Komisja

Obrony Praw Człowieka. To taki uliczny absolutyzm. Jakby myśleli, że pod wpływem ulicy reżim się podda i odejdzie. Przecież trzeba będzie rozmawiać i jeśli mają nastąpić prawdziwe zmiany, dać jakieś gwarancje ludziom władzy.

Tymczasem niewielu się zastanawia, jak ma właściwie odbyć się ta demokratyczna transformacja. Tak jak w Polsce czy Hiszpanii? Dagoberto dużo nad tym myśli, ale inni nie bardzo.

Dowiodła pani, że można pozostać człowiekiem wolnym w kraju zniewolonym. Jak tę wolność dziś uprawiać i jak się ona przejawia?

– W 1994 roku mój mąż był przez trzy miesiące w Niemczech. Wrócił, idziemy ulicą i widzę, że wszyscy na nas patrzą. Zastanawiam się dlaczego – może to jakieś ciuchy wystrzałowe czy woda kolońska, której u nas nie ma?

I nagle zdaję sobie sprawę, że on po prostu patrzy innym w oczy, jak człowiek wolny. I oni to widzą. Ja zaczęłam od tego, że postanowiłam sobie kiedyś, że każdego dnia wstanę z łóżka odrobinę wolniejsza. Najpierw pierwsze drobne publikacje niezależne, potem coraz więcej.

Każdy przejaw wolności, każde niezależne zachowanie od razu zderzają się z kratą. Najpierw trzeba być wolnym w tym, co się myśli. Potem w tym, co się mówi i robi. I musisz mieć gdzieś taktykę bezpieki. Oni zawsze przychodzą i mówią: „Wszystko o tobie wiemy. Mamy swoich informatorów, nic nam nie umknie". To paraliżuje. Ale oni wcale wszystkiego nie wiedzą. I kiedy zdasz sobie z tego sprawę, to zrywasz knebel z ust.

Poza tym władza jest sztywna i zhierarchizowana. Oni się zbierają, głowią, postanawiają, wydają polecenia i to trwa. Nie są elastyczni i każdy boi się samodzielności. A my jesteśmy szybcy i zdecydowani. Podejmujemy decyzję w jednej chwili i tak samo szybko działamy. Największy ciężar zrzucasz z siebie, kiedy myślisz i mówisz jak człowiek wolny – a inni o tym wiedzą i ty wiesz, że oni wiedzą.

Teraz ludzie coraz częściej się wściekają, krytykują i głośno protestują, kiedy coś im się nie podoba. Kiedy widzą, że bezpieka kogoś łapie i tarmosi, wyciągają komórki i filmują.

Byłam w warsztacie, w którym naprawiają komórki. Młody chłopak pracuje na własny rachunek. Nagle wpadł policjant i po chamsku zażądał: „Dawaj papiery, dowód, pozwolenie". A chłopak na to: „Może grzeczniej. Bo ja mam licencję, pracuję legalnie, płacę podatki i to za moje podatki ty będziesz pisał te swoje kwity". Żadnego strachu. Do niedawna nie do pomyślenia!

Dziś Kubańczyk na ulicy inaczej się nosi, inaczej idzie i inaczej patrzy, zwłaszcza w Hawanie. Dziś ma w uchu kolczyk. A kiedyś mu go zrywała

bezpieka.

Szczelina w kubańskim murze. **Wolność**

Yoani Sánchez, która mimo prześladowań i oszczerczych kampanii od 2007 roku prowadzi sławny blog „Generación Y", w 2014 roku uruchomiła pierwszy niezależny dziennik w państwie braci Castro. „14ymedio" będzie się ukazywał w internecie, bo w warunkach totalnej kontroli druk niecenzurowanej gazety jest niemożliwy. Dziennik redagują Yoani i jej mąż Reinaldo Escobar z zespołem siedmiu młodych ludzi. Tytuł wspierają sławni pisarze, politycy i dziennikarze, m.in. Mario Vargas Llosa, Fernando Savater, Lech Wałęsa i Adam Michnik.

Wydanie internetowej gazety poza cenzurą to wyczyn w kraju, w którym na 11 mln mieszkańców przypada niespełna 800 tys. komputerów, dostęp do sieci ma zaledwie 5 proc. ludzi, w większości z nomenklatury, a ceny usług internetowych są zaporowe. Kubańczycy mogą korzystać z publicznych kafejek internetowych, ale godzina surfowania kosztuje ok. 5 dol., podczas gdy miesięczna pensja to 20 dol.

Prawdziwy zasięg wolnego słowa jest jednak większy, bo ludzie masowo i skutecznie omijają bariery. Niecenzuralne treści – wiadomości, artykuły, książki, filmy, skecze, piosenki – przekazują sobie komórkami oraz na pendrive'ach. Właśnie tak będzie dystrybuowane „14ymedio".

Pierwsze trzy numery przyniosły wiadomości i reportaże, jakich nie znajdzie się w państwowych mediach. Materiał z nocnego dyżuru pogotowia w Hawanie pokazuje skrywaną stronę życia na wyspie: ofiary bójek, napadów, gwałtów i pijackich burd. Również zabitych.

Inny artykuł odkrywa fatalny stan służby zdrowia, w której brakuje lekarzy, pielęgniarek oraz lekarstw i sprzętu, bo państwo masowo eksportuje lekarzy do innych krajów, na czym zarabia rocznie kilka miliardów dolarów.

Wywiad z niegdyś nagradzanym, a dziś prześladowanym pisarzem i dziennikarzem Angelem Santiestebanem, którego skazano za przemoc domową w sfingowanym procesie, pokazuje, jakich metod ima się reżim, by uciszyć niezależnych twórców.

Władze oczywiście zablokowały dostęp do gazety. Czytelnicy klikający stronę www.14ymedio.com są przekierowywani do reżimowego portalu, w którym Yoani Sánchez jest opisywana jako „agentka imperializmu" i najbogatsza Kubanka. Jednak ominięcie blokady nie jest trudne – wystarczy zainstalować program umożliwiający anonimową nawigację.

ELIZARDO SÁNCHEZ

Osiem i pół. **Braterstwo**

Elizardo Sánchez jest weteranem kubańskiej opozycji demokratycznej. W końcu spełnił marzenie, które pielęgnował od pół wieku. Poznał w Warszawie Karola Modzelewskiego, którego napisany razem z Jackiem Kuroniem „List otwarty" z 1964 roku zaprowadził go w szeregi wczesnych przeciwników dyktatury Fidela Castro i do więzienia. Poszedł na grób Jacka Kuronia

Elizardo Sáncheza znam od kilkunastu lat. Poznałem go w Hawanie w 2000 roku. Opowiadał mi wówczas, jak samotni czują się kubańscy dysydenci znużeni bezczynnością zastraszonego społeczeństwa zapędzonego do kąta przez wszechobecną i wszędobylską bezpiekę oraz ogłuszanego tyradami niezmordowanego dyktatora Fidela Castro, najbardziej suwerennego jedynowładcy współczesnego świata. I jak Adam Michnik tłumaczył mu do trzeciej nad ranem, żeby zajmował się prawami człowieka i unikał rywalizacji ideologicznej w szeregach dysydentów.

Pozostał temu wierny i od prawie 30 lat kieruje Komisją Praw Człowieka i Pojednania na Kubie, którą założył w 1987 roku i która powiadamia świat o prześladowaniach dysydentów przez dyktaturę komunistyczną. Od lat 60.

i 70. on i jego koledzy – Gustavo Arcos i Ricardo Bofill – z zapartym tchem śledzili kiełkujący ruch opozycyjny przeciw dyktaturze w Polsce. Zaczynali od lektury „Listu otwartego" Kuronia i Modzelewskiego z 1964 roku, spoglądali na bunt studencki w marcu 1968, zdławiony bunt robotniczy w grudniu 1970, potem z nadzieją kibicowali powstaniu KOR-u w połowie lat 70., opłakiwali niedokończony przełom pierwszej „Solidarności" z 1980 i wreszcie świętowali nadejście wolności w 1989 roku.

Podczas gdy u nas kolejne zrywy pchały kraj ku ostatecznemu kryzysowi, który pod koniec lat 80. XX wieku przyniósł w końcu rozpad dyktatury i odrodzenie demokracji, na Kubie coraz bardziej kostyczny Fidel Castro wciąż dzierżył i dzierży w śmiertelnym uchwycie 11-milionowy naród, a sam wydaje się bez mała nieśmiertelny. Dysydenci kolejnych pokoleń odchodzili, wyjeżdżali, uciekali z wyspy wypędzani lub zrezygnowani. W ich miejsce pojawiali się nowi, młodsi, a Elizardo, rocznik 1944, trwał jak latarnik na posterunku, raz na wolności, raz w więzieniu, zawsze śledzony, znieważany, prześladowany. Był wielokrotnie aresztowany, przesłuchiwany, ciężko pobity i skazywany na więzienie.

Ile trzeba mieć uporu i samozaparcia, by prawie pół wieku stawać okoniem dyktaturze, która ani na chwilę nie zwalnia uścisku? I pomimo że otuchy nie dodaje żaden zbiorowy bunt rodaków.

Elizardo napisał do mnie, że wybiera się po raz pierwszy do Polski na zaproszenie Instytutu Lecha Wałęsy. „Mam dwa marzenia – pisał. – Poznać Karola Modzelewskiego i odwiedzić grób Jacka Kuronia".

– Czytał „List otwarty"? – prof. Karol Modzelewski nie dowierza, gdy dzwonię, że jego słynny sprzeciw wobec dyktatury dotarł na Kubę w latach 60. i był tam z wypiekami na twarzy studiowany. Profesor był widocznie wzruszony: – Jasne, że się z nim spotkam.

Kiedy październikowego ranka weszliśmy od mieszkania prof. Modzelewskiego na warszawskich Bielanach, Elizardo w przedpokoju bez słowa objął profesora: – Niech Pan wybaczy, ale ten uścisk to w imieniu wszystkich dysydentów kubańskich.

Elizardo opowiedział, że pierwszą kopię „Listu..." przywiózł na Kubę gdzieś w 1965 roku Ernest Mandel, działacz trockistowskiej IV Międzynarodówki z Brukseli, który przyjechał na wyspę zaproszony przez Ernesto Che Guevarę.

– Byliśmy działaczami młodzieżówki partii komunistycznej, ale właśnie nam ją Fidel Castro rozwiązał na początku lat 60. Czytaliśmy „List..." i coś piąte przez dziesiąte rozumieliśmy, znaliśmy angielski akademicki z książek – opowiadał Elizardo. – A Pan, kiedy wstąpił do młodzieżówki komunistycznej?

– pyta.

– Gdzieś w 1952, jak miałem 15 lat. Po liście wyrzucili mnie z partii – mówi Modzelewski.

– Pod koniec lat 60. ktoś przywiózł na wyspę wersję hiszpańską „Listu..." wydaną w Paryżu przez Ruedo Ibérico (wydawnictwo hiszpańskiej emigracji republikańskiej założone we Francji za czasów dyktatury generała Franco) – mówi Elizardo. – To było dla nas objawienie.

Opowiada, że kopie „Listu..." były bezwzględnie ścigane przez bezpiekę kubańską, konfiskowano podczas rewizji w prywatnych mieszkaniach, a ich kolejne egzemplarze dysydenci przepisywali jak u nas w samizdacie.

Karol Modzelewski: – Mam nadzieję, że nie przyczyniłem się do prześladowań?

Elizardo Sánchez: – Owszem.

– Ile?

– Osiem i pół roku odsiadki.

– To jesteśmy kwita – Karol Modzelewski wyciąga dłoń, którą Elizardo ściska ze wzruszeniem. – Tyle samo, co ja. Jacek Kuroń siedział pół roku dłużej, dziewięć lat.

– Ja miałem szczęście, że tylko osiem i pół roku. Wielu moich kolegów odsiadywało po 20 czy 30 lat.

Elizardo poprzedniego dnia odwiedził więzienie na Rakowieckiej. Pytał, gdzie siedział Modzelewski i Kuroń. Dyrektor dokładnie nie wiedział, ale wskazał na cele w korytarzu w jednym z pawilonów.

– To był pawilon trzeci. Zaprosili mnie tam w 2003 roku na 100. rocznicę zbudowania więzienia – ciągnie Modzelewski. – Kiedyś było piękne, z surowej czerwonej cegły. Teraz je zeszpecono tynkiem. Otwarto je za czasów cara Mikołaja II i od razu posłużyło po rewolucji 1905 r.

– Rakowiecka to była wasza Łubianka? – pyta Sánchez.

– Do 1956 roku tak, jako katownia MBP, ale potem przekazano je Ministerstwu Sprawiedliwości i było zwyczajnym więzieniem, z pawilonem specjalnym dla politycznych w gestii MSW.

– My też mamy swoją Łubiankę w Hawanie. To Villa Marista.

Modzelewski opowiedział Elizardo, jak 10 lat temu na Rakowieckiej pokazano mu więzienne dokumenty przechowywane w gablocie, m.in. dwie opinie o sobie, z miejsca pracy w Zakładzie Historii Materialnej Uniwersytetu we Wrocławiu oraz dzielnicowego milicjanta z Wrocławia. Cytuje z pamięci dzielnicowego: „Wynajmuje służbowe mieszkanie dwupokojowe, gdzie zamieszkuje z żoną, jej dzieckiem z pierwszego małżeństwa i psem. Nie utrzymuje kontaktów ze środowiskami przestępczymi. Działa aktywnie

w NSZZ »Solidarność«"...

Elizardo się śmieje.

Modzelewski opowiada, jak na koniec odsiadki przeniesiono go do więzienia w Wołowie dla recydywistów, przed którym go ostrzegano.

– Niebezpiecznie było? U nas też tak robili z politycznymi – pyta Elizardo.

– Dyrektor dał mi na początek pojedynkę i powiedział, żebym napisał podanie, to mnie zostawi w niej na całą odsiadkę, bo z recydywistami lepiej nie – śmieje się Modzelewski. – Ale pokazałem mu wyrok, że ja też jestem recydywistą. Jak zobaczyłem, że się mnie boją, to sam się przestałem bać. I z recydywistami było w porządku. Mieli pełny szacunek.

Elizardo mówi, że na Kubie jest tak samo. Kryminalni szanują politycznych. I wtrąca, że za dyktatury Batisty, obalonego przez rewolucję, było na wyspie 14 więzień. Za Castro jest ich ponad 200.

Karol Modzelewski opowiada, że rewolucją kubańską szczególnie fascynował się Jacek Kuroń. – Rewolucjoniści brodacze, Castro, Che Guevara. Jacek był wtedy instruktorem harcerstwa i członkiem PZPR. Był na spotkaniu z kubańskim ministrem edukacji Armando Hartem w czasie jego wizyty w Warszawie. Hart był luzakiem. Klepał po plecach Kuronia, a po brzuchu ministra Tułodzieckiego. Kuroń był zachwycony swobodą Kubańczyka.

Profesor wyjaśnia Sánchezowi, że „List otwarty" dziś razi w Polsce językiem marksistowskim. I że Milovana Dżilasa, od którego zostały zaczerpnięte kluczowe pojęcia, jak komunistyczna biurokracja jako nowa klasa panująca, nikt dzisiaj nie czyta.

– U nas nie razi. Odwrotnie. Jest wciąż aktualny – odpowiada Sánchez. – Proszę pamiętać, że u nas komunistyczny totalitaryzm kończy właśnie 55 lat. U was był 40. Dla nas pojęcia centralnej biurokracji i nowej klasy panującej oraz nieuchronny bunt robotników przeciw reżimowi to kategorie wciąż rewolucyjne. „List..." nadal nie stracił aktualności. Dziś jeszcze opisuje naszą rzeczywistość i jest czytany.

– To znaczy, że dla reżimu Castro ten język jest nadal groźny? Że reżim odbiera go jako zakwestionowanie swojej prawomocności? – pytał Modzelewski.

– Dla niektórych najstarszych weteranów z najwyższej nomenklatury jeszcze tak. Młodych już nie.

– A gospodarka na Kubie wciąż krąży wokół cukru? Bunt robotników to perspektywa realna?

– Już nie. Kuba już nie stoi na cukrze. Reżim zarabia na masowym eksporcie lekarzy i innych specjalistów, których wynagrodzenie w dewizach dostaje od innych rządów. Drugim źródłem dochodów są miliardy dolarów

przysyłane z zagranicy rodzinom na wyspie przez ponad 2,5 mln emigrantów. I turystyka. Kuba nie produkuje, nie ma nowoczesnego przemysłu.

– W Polsce było zupełnie inaczej. Ale to znaczy, że jak reżim na Kubie upadnie, to będzie katastrofa.

– Będzie chaos.

Zapada cisza. Elizardo ogląda książkę „Zajeździmy kobyłę historii. Wspomnienia poobijanego jeźdźca", za którą Modzelewski dopiero co dostał nagrodę Nike. Z przejęciem wertuje zdjęcia sprzed kilkudziesięciu lat.

Może ją kiedyś przeczyta, jeśli ją przetłumaczą na hiszpański. – Na włoski na razie nie chcą, bo za dużo w niej o Polsce – wyjaśnia autor.

Elizardo ściska egzemplarz z dedykacją, kiedy ponownie obejmuje profesora w przedpokoju na pożegnanie.

– Kiedy opowiem kolegom, że Pana spotkałem, nie dadzą mi spokoju.

Dzień później Elizardo zapalił świeczkę na grobie Jacka Kuronia. Był poruszony: – W końcu spotkałem się z nimi oboma. Jednym żywym, drugim zza grobu. Ale oba spotkania były tak samo ważne.

I jeszcze na grobie ks. Jerzego Popiełuszki. – Nie jestem wierzący, ale on był dla nas jak brat.

YOANI SÁNCHEZ, ELIZARDO SÁNCHEZ, DAGOBERTO VALDÉS

Paczuszka rozwala komunizm. **System się wali**

Totalitaryzm spowodował na Kubie antropologiczne straty. Wytworzył analfabetów politycznych i obywatelskich. Kulturę pisklaka, który czeka, co mu dadzą. Panuje wszechobecne zepsucie. Reżim pomstuje, że „jineteras" idą do łóżka z turystami. Ale to tylko prostytucja od pasa w dół. A wszyscy Kubańczycy biorą udział w prostytucji od pasa w górę

MACIEJ STASIŃSKI: Każde z was znam od lat. Rozmawialiśmy wiele razy. Mówiliście, że problemem Kuby jest zastój. Że reżim się nie zmienia, trzyma za mordę, a społeczeństwo nie jest w stanie mu się przeciwstawić. Czy dzisiaj coś się wreszcie zmienia na Kubie?

YOANI SÁNCHEZ: Tak. Najciekawsza jest utrata monopolu informacyjnego przez reżim. Od niedawna istnieje zupełnie nowe zjawisko – „pakiecik". To jest porcja treści audiowizualnych ściągniętych z sieci, które krążą

w nielegalnym czy pozaoficjalnym obiegu na całej wyspie. Są nagrywane na przenośne nośniki pamięci, jak pendrive'y, i przekazywane sobie przez ludzi. Zawierają wszystko: od wiadomości politycznych z wolnego świata poza zasięgiem cenzury, artykuły publicystyczne z zagranicznych mediów hiszpańskojęzycznych, np. emigracji kubańskiej w USA czy Hiszpanii, filmy, muzykę, telenowele latynoskie, telewizyjne programy rozrywkowe, wszystko tam jest. Zupełny miszmasz. To rozprowadzają wszyscy i nikt. To masowy ruch społeczny i obieg, nad którym władze zupełnie nie są w stanie zapanować. Wiemy o naradach na najwyższych szczeblach władzy, podczas których dygnitarze z nomenklatury wściekają się, że „pakiecik" psuje im szyki i korumpuje społeczeństwo, a oni nic nie mogą z tym zrobić. Napisałam o tym tekst pt. „Fuenteovejuna", nawiązując do słynnego dramatu hiszpańskiego Lope de Vegi pod tym samym tytułem („Owcze źródło"). Tam chodzi o lincz na okrutnym panu feudalnym w kastylijskim miasteczku Fuenteovejuna w XV wieku. Sędzia przesłuchuje mieszkańców, próbując ustalić, kto zabił. – Kto zabił komendadora? – pyta. Odpowiada mu chór: – Fuenteovejuna, panie! – A kto to jest Fuenteovejuna? – To my wszyscy jak jeden.

Tak samo jest z „pakiecikiem". On jest powielany i krąży za sprawą wszystkich i nikogo. A reżim jest bezradny.

Dam przykład. Jak Kubańczyk ma szansę wyjechać za granicę, to rodzina i znajomi zarzucają go prośbami, żeby koniecznie im coś przywiózł, czego nie ma na wyspie, od ciuchów i kosmetyków po elektronikę. Byłam raz w Granadzie w Hiszpanii, ściągnęłam dla kogoś z internetu 64 wykłady naukowe z portalu TED i przegrałam na kartę pamięci. Po powrocie, jakieś sześć tygodni później, zjawia się w moim bloku w Hawanie „pakieciarz", czyli kurier, który sprzedaje „pakieciki". W tym, co mi przywiózł, pośród wielu innych rzeczy, było kilka wykładów z TED, które sama ściągnęłam.

DAGOBERTO VALDÉS: U mnie w Pinar del Río, na zachodzie kraju, „pakieciarz" przyjeżdża na rowerze z plecakiem raz na tydzień, we wtorki. Przywozi „pakiecikiem", daje mi go na godzinę, żebym zgrał, po czym przyjeżdża i zabiera go dalej. To kosztuje jedno peso wymienialne, czy jednego dolara. Takich „pakieciarzy" w moim mieście jest 30. To jest nowoczesny samizdat, jaki znacie z czasów komunizmu u was. Tylko nie jest to tekst przepisywany na maszynie przez kalkę, ale powielany zapis komputerowy. Technologia rozsadza reżim oraz jego system cenzury i kontroli.

Ale jak to może mieć masowy zasięg, skoro, żeby to szybko zgrać i wykorzystać, trzeba mieć dobry i szybki komputer?

YOANI SÁNCHEZ: „Pakiecik" zawiera ok. 1 terabita zawartości. To dużo, ale do tego ludzie używają telewizorów plazmowych, niekoniecznie komputerów, bo plazmy mają wejścia USB i twarde dyski. Import plazm na Kubę jest oszałamiający. W tym roku ludzie sobie sprowadzili około pół miliona plazm, a w ciągu ostatnich dwóch lat – prawdopodobnie ok. 2 milionów. Cena spadła do tysiąca cus, czyli peso wymienialnych. To jest najbardziej pożądana rzecz na Kubie. Ludzie mogą nie mieć pralki czy lodówki, ale muszą mieć plazmę. Kubańczycy przestali oglądać telewizję oficjalną, choć reżim próbuje ich zatrzymać, nadając atrakcyjne filmy po trzy jednego wieczora. Oglądanie telewizji oficjalnej, do niedawna jedyna rozrywka domowa, już nie jest „cheo", czyli nie jest cool, wyszło z mody. Reżim się zorientował i wprowadza ograniczenia na przywóz plazm.

ELIZARDO SÁNCHEZ: To sprawia, że nasza transformacja demokratyczna, chociaż jeszcze się nie rozpoczęła, będzie inna niż w Polsce i Europie Wschodniej. Przebiegnie za pośrednictwem i za sprawą nowoczesnej technologii.

DAGOBERTO VALDÉS: Utrata monopolu informacyjnego i medialnego ma jeszcze jeden skutek. Do niedawna korespondenci agencji i mediów akredytowani w Hawanie byli podstawowym źródłem informacji o tym, co się dzieje na wyspie. Reuters czy AP pisały: „Bezpieka pobiła na ulicy Yoani Sánchez" albo „Rozbiła marsz Dam w Bieli". Dziś te agencje piszą: „Jak podaje dziennik »14ymedio«, bezpieka pobiła Damy w Bieli".

Zagraniczni korespondenci też stracili monopol na informacje niezależne. Wcześniej zabierano im akredytacje, kiedy informowali świat o tym, co się dzieje. Teraz oni sami są zależni od niezależnych źródeł kubańskich.

YOANI SÁNCHEZ: Mamy niezależny portal Voces de Cuba. Tam jest 50 linków do różnych niezależnych miejsc w sieci. Codziennie zasięgam kilka razy informacji u 165 niezależnych użytkowników Twittera. To jest dla mnie podstawowe źródło informacji o tym, co się dzieje w moim kraju.

Jak się zmienia położenie społeczeństwa, postawa reżimu i ich wzajemny stosunek?

DAGOBERTO VALDÉS: Tak zwani zwykli ludzie odczuwają coraz bardziej skutki kryzysu. Wszystko drożeje i wszystkiego ciągle brakuje. Ludzie przestają jednak narzekać na braki czy drożyznę, ale zaczynają winić system, czyli ustrój. Przedtem czekali na przystanku ponad godzinę na autobus i narzekali: – Guagua (autobus) nie jeździ. Jak wody nie było, mówili: – Trzeba powiedzieć administracji, że nie ma wody.

Teraz w każdej sprawie mówią: – System się wali, nic nie działa.

W dodatku ludzie przestali się bać. Pomstują na ustrój głośno i otwarcie na ulicy. Nie boją się, że przyjdzie milicja i aresztuje.

Ale wzrosła też przestępczość i przemoc. Awantury i bójki wybuchają między ludźmi z byle powodu. Ludzie mają dość.

ELIZARDO SÁNCHEZ: Coraz więcej ludzi chce z Kuby uciekać. Tak było zawsze, że uciekali – przez morze, nielegalnie czy legalnie – i zawsze to był sposób Fidela Castro na upuszczenie „złej krwi", Camarioca, Port Mariel, balseros (tratwiarze). Ale nigdy jeszcze o ucieczce za wszelką cenę nie marzyło tylu Kubańczyków co dzisiaj. Z Meksyku i krajów Ameryki Środkowej przez Meksyk ucieka do USA mnóstwo ludzi, ale takiego potencjału emigracyjnego jak Kuba, w stosunku do liczby mieszkańców, nie ma chyba nigdzie. Ludzie mają w nosie, czy są reformy, czy można coś zmienić. To marzenie o wyjeździe jest z jednej strony paraliżujące społecznie, ale z drugiej konserwuje reżim, skoro samo społeczeństwo nie szuka zmian, tylko chce uciec jak najdalej.

DAGOBERTO VALDÉS: Co do samej władzy, to widać w jej szeregach nowy syndrom: rozczarowanie tzw. reformami. Raúl Castro rządzi od sześciu lat. Kiedy obejmował władzę po chorym Fidelu, ludzie mówili: – No, teraz, za Raúla, to będzie lepiej!

Teraz widać, że tzw. reformy Raúla (dostęp do towarów niedostępnych, jak telewizory, poszerzenie sektora prywatnego, ułatwienia dla rolników indywidualnych itd.) to kosmetyka i w niczym nie naruszyły istoty ustroju i nie przyniosły poprawy gospodarczej, nie poprawiły atmosfery społecznej i nie zmieniły polityki o jotę. Reformiści, którzy chcieli głębszych zmian, są rozczarowani, zamilkli albo zostali usunięci. Trudno jest nam ich często zidentyfikować, ale takie wiadomości przenikają z kręgów władzy pocztą pantoflową, plotkami, czyli za pośrednictwem tzw. Radia Bemba. Wiemy, że prawie wszyscy intelektualiści reżimowi, inteligentni ludzie władzy prywatnie mówią: – Nic nie działa. Klapa. Mają syndrom zmian, które wciąż nie nadchodzą. Władza utknęła w błocie i koła buksują w miejscu. Agonia trwa.

YOANI SÁNCHEZ: Łatwiej nam wskazać tych twardogłowych, którzy żadnych zmian nie chcą, bo ci występują publicznie, jak: José Ramón Machado Ventura, Esteban Lazo Hernández albo Miguel Díaz-Canel czy Fidel. Zresztą sam Raúl Castro, który na początku ciągle występował i zapowiadał reformy, ostatnio przestał się pokazywać. Nie ma nic do powiedzenia.

ELIZARDO SÁNCHEZ: Przewodniczący związku pisarzy Miguel Barnet jedno mówi publicznie, a zupełnie co innego prywatnie i powszechnie krążą

o tym plotki. Kiedyś tak nie było. Podwójna gadka była niemożliwa. Był taki minister Roberto Robaina z MSZ. On był pupilem Fidela Castro, jego politycznym synem. Kiedyś był w Madrycie z wizytą i rozmawiał z hiszpańskim kolegą Ablem Matutesem. Opowiadał, że sytuacja jest fatalna, że potrzebne są zmiany itd. Potem dostał na komórkę SMS od Hiszpana. Coś w stylu: „Stawiamy na ciebie".

Wiadomość przechwyciła bezpieka i nazajutrz Fidel go wyrzucił. Dzisiaj Robaina maluje obrazy.

Nomenklatura zdaje sobie sprawę, że ustrój nie działa i nawet im samym już przestaje się opłacać go utrzymywać. Ale trwają z bezruchu i paraliżu. Fidel Castro już nie wstaje ani nie siada bez pomocy. Ale głowa mu nadal pracuje. Tylko że jest coraz bardziej odklejony od rzeczywistości. To już jest polityczny alzheimer. Moim zdaniem jesteśmy w fazie przedtransformacyjnej.

DAGOBERTO VALDÉS: Ale jest jeszcze trzeci element sytuacji, tym razem optymistyczny. To jest pojawienie się społeczeństwa obywatelskiego, ludzi zaangażowanych w sprawy publiczne. W latach 70. czy 80., kiedy Elizardo zaczynał działać, była ich, a potem nas, garstka. Dzisiaj są nas tysiące. To widać także po zasięgu represji w kraju. Pada ich ofiarą coraz więcej osób, choć nie są tak drastyczne jak dawniej, kiedy szli do więzienia na wiele lat.

Kiedyś całe społeczeństwo obywatelskie, czyli ludzie niezniewoleni i niezastraszeni przez reżim, to byli dysydenci, opozycja polityczna. Dzisiaj jest opozycja i znacznie większe społeczeństwo obywatelskie. To nie jest tylko opozycja polityczna, ale też muzycy, malarze, performerzy, hiphopowcy, różne ruchy niezależne i samorządowe. Powstaje już na Kubie społeczeństwo zróżnicowane, podobne do normalnego społeczeństwa obywatelskiego, takiego, jakie jest w innych krajach i jakie będzie u nas po zmianie ustroju.

Inna jest też dzisiejsza opozycja. Kiedyś było tak, że partie organizowały się wokół przywódców, jak Concilio Cubano czy Projekt Vareli wokół Oswaldo Payá z Chrześcijańskiego Ruchu Wyzwolenia [laureata Europejskiej Nagrody im. Sacharowa, który zginął w niejasnych okolicznościach kilka lat temu – red.], i kiedy przystępowali nowi ludzie, zaraz zaczynały się spory o zasady, czy kto ważniejszy itd. Niekiedy partie powstawały tylko po to, by ich przywódcy mogli zaistnieć, a potem wyjeżdżali jako ofiary represji.

Dzisiaj grup opozycyjnych jest wiele, ale współpracują ze sobą i szukają punktów wspólnych. Niedawno zebraliśmy się w kilkanaście osób w domu Yoani Sánchez i ustaliliśmy wspólny program minimum: uwolnienie wszystkich więźniów politycznych, zaprzestanie prześladowania opozycji, ratyfikacja przez Kubę Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka oraz uznanie przez władze społeczeństwa obywatelskiego jako partnera dialogu. To

jest nowy sposób budowania koniecznej jedności. Wzięliśmy sobie do serca zasadę posła do zgromadzenia konstytucyjnego z 1940 roku José Manuela Cortiny, który mawiał: – Ojczyzna w centrum, a partie polityczne dookoła.

Zobacz, tu siedzą trzy pokolenia opozycjonistów: Elizardo jest ojcem założycielem, ja jestem z następnej generacji, a Yoani jest z młodzieży.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak marnie? Dlaczego te wszystkie zjawiska, o których mówicie, nie rodzą oporu czynnego wobec władzy, buntu lub choćby ruchu nieposłuszeństwa obywatelskiego?

DAGOBERTO VALDÉS: Po pierwsze, totalitarny komunizm spowodował na Kubie antropologiczne straty. Hanna Arendt pisała, że totalitaryzm produkuje nieosoby, ludzi bez perspektyw życiowych, bez ambicji, którzy nie wiedzą nie tylko, co to wolność, ale i odpowiedzialność za swoje życie. Po drugie, skutkiem ponad pół wieku totalitarnego zniewolenia jest analfabetyzm polityczny, obywatelski i społeczny. Kubańczycy nie mają świadomości swobód i praw, panuje kultura pisklaka, który czeka, co mu dadzą, co rzucą do sklepu, co przywiozą, na co pozwolą. Jak się pisklę buntuje, to nie dostaje jedzenia.

Po trzecie, panuje wszechwładna korupcja. Nie chodzi o korupcję nomenklatury, ale o powszechne zepsucie, o codzienny sposób „załatwiania" zwykłych spraw. Życie codzienne polega na kradzieży, załatwianiu za pomocą pleców i układów, a nie na pracowaniu. To jest korupcja, czyli zepsucie duszy. Reżim piętnuje powszechną prostytucję „jineteras" z turystami. Ale to jest prostytucja od pasa w dół. A wszyscy biorą udział w prostytucji od pasa w górę. Nie zdajemy sobie sprawy, jak głęboko ona sięga.

ELIZARDO SÁNCHEZ: Dodam to tego wciąż ogromne możliwości zastraszania ludzi. Struktura represji po pół wieku jest niemal doskonała i powszechna. Dotyczy każdego Kubańczyka. My nie jesteśmy jak Polacy, buntownicy. Kubańczycy są z Karaibów, łagodni, potulni. Mają niebywałą zdolność przystosowywania się do najbardziej skrajnych warunków. Fidel Castro doskonale zna Kubańczyków i to wykorzystuje.

Czy dopuszczacie myśl, że zamiast spokojnej transformacji będzie katastrofa?

YOANI SÁNCHEZ: Potulność Kubańczyków ma wpływ łagodzący.

ELIZARDO SÁNCHEZ: Nie jesteśmy okrutni czy mściwi.

YOANI SÁNCHEZ: Ale z drugiej strony, kiedy Kubańczyk wyjeżdża do Berlina, po trzech dniach już pracuje i sobie radzi, jest bardzo

przedsiębiorczy.

DAGOBERTO VALDÉS: Ja wierzę w przedsiębiorczość Kubańczyków na wyspie i na wygnaniu. To wielki potencjał na przyszłość. O 45 minut lotu jest rzesza Kubańczyków, którzy mają know-how, pieniądze i chęć, by kraj odbudować. Most powietrzny i morski, jaki zostanie przerzucony zaraz po przełomie, zadziwi świat. Młodzi Kubańczycy są wykształceni. Ci Kubańczycy z wyspy i z emigracji odbudują Kubę.

Przed chwilą mówiłeś o powszechnej demoralizacji...

DAGOBERTO VALDÉS: Ja wierzę w siłę mniejszości, które pokazują drogę, jak wielki kubański pedagog i filozof Medardo Vitier. Wielkie przemiany były zawsze dziełem oświeconych mniejszości. Że ich dokonywały rewolucje mas, to mit i oszustwo. Ludzie prości pójdą za oświeconą mniejszością. Ten wielki potencjał myśli, energii, zaangażowania istnieje i na Kubie, i na emigracji. Tylko śluza pozostaje zamknięta. Jak się otworzy, runie naprzód.

Daję 9 szans na 10, że jak nadejdzie chwila, będziemy mieli szybką i udaną transformację.

Odwetu, wyrównywania rachunków za lata dyktatury, się nie boicie?

DAGOBERTO VALDÉS: Rachunki krzywd są różne w różnych pokoleniach. Co najciężej doświadczeni zaraz po rewolucji i żądni zemsty już są starzy albo nie żyją.

Ale zgadzam się, że gwarancji, że nie będzie zemsty na ludziach reżimu, nie ma. Możemy tylko robić wszystko, żeby jej uniknąć. Kuba potrzebuje ludzi przyzwoitych i pragnących pojednania narodowego. Pracujemy nad tym już dzisiaj. Potrzebujemy kubańskiego Adolfo Suáreza, Tadeusza Mazowieckiego, Vaclava Havla.

ELIZARDO SÁNCHEZ: Kuba jest w tak opłakanym stanie, że społeczność międzynarodowa pomoże nam uniknąć katastrofy i się podźwignąć.

YOANI SÁNCHEZ: Ja też jestem optymistką.

CZĘŚĆ III

Twarze Kuby zniewolonej

Pieśń Rewolucji
Zawsze Twoi, Komendancie!

Twa zuchwała wiara
w niebo wzlatywała,
sama śmierć truchlała
– wielki Che Guevara.

Niechaj blask Twój gości
na wieki wśród nas,
choć przemija czas,
my trwamy w miłości.

W Santa Clara, gdy dnieje,
krzepką dłoń podnosisz,
rewolucję głosisz,
w posadach drżą dzieje.

Niechaj blask Twój gości
na wieki wśród nas,
choć przemija czas,
my trwamy w miłości.

Kiedy sztandar wznosisz
o wiosennym brzasku,
nawet wichry gasną,
kiedy wolność głosisz.

Niechaj blask Twój gości
na wieki wśród nas,
choć przemija czas,
my trwamy w miłości.

Niechaj żar tej ziemi
dalej Cię prowadzi,

gdzie czekają radzi
twych objęć spragnieni.

Niechaj blask Twój gości
na wieki wśród nas,
choć przemija czas,
my trwamy w miłości.

Nigdy nie spoczniemy
przy Fidelu trwając
i świadectwo dając.
Naprzód! – przysięgniemy.

ZŁOWIESZCZY PALEC FIDELA

Upadlanie

Lunatyczny monolog, wyprężony palec wskazujący – Fidel Castro każe codziennie 11 milionom rodaków wybierać: „socjalizm albo śmierć", „ojczyznę albo śmierć". Być może Fidelowski komunizm nie oznacza dla Kubańczyków śmierci, ale na pewno – niewolę, upokorzenie i nędzę. 41 lat po rewolucji Kuba to kraj zniszczony. Gospodarka leży w ruinie. Komunizm jako system jest zmurszały, a jako ideologia – martwy. Trwa starczym uporem tyrana trzymającego w żelaznym uchwycie aparat przemocy

Nocą po starej Hawanie oprowadza mnie Osvaldo Alonso Valdés, młody opozycjonista. Za pierwszym rzędem oświetlonych i odnowionych w ostatnich latach kolonialnych kamienic, w których mieszczą się restauracje pełne zagranicznych turystów, zaczyna się gąszcz ciemnych zaułków. Uliczkami płyną ścieki, cuchną fekalia. Mury się kruszą, łuszczą z tynku, na chodnikach leży gruz. Wodę do domów dowożą beczkowozy. Z dziedzińców wyziera bieda, opuszczenie, zaniedbanie. Rozwalone schody zastąpione spiętrzonymi skrzyniami i żelaznymi rusztowaniami, budki przyczepione do murów jak kurniki. Krokwie „rusztów", czyli dobudowane w połowie pięter dla pozyskania przestrzeni, prowizoryczne stropy, które walą się pod ciężarem

stłoczonych lokatorów, gdy dmie cyklon lub leje tropikalny deszcz. Słabo świecą nagie żarówki na zwisających kablach. W zakamarkach, pod ścianami czmychają szczury.

W mieszkalnych norach, za brudnymi szybami lub otwartymi drzwiami siedzą przed telewizorami smutni ludzie. Oglądają telenowele, które godzinami przeplatają się z rewolucyjnymi sabatami.

Tu, inaczej niż w São Paulo czy Caracas, slumsy nie oplatają wybujałych, nowoczesnych centrów miast. Tu są w sercu miasta. Od 40 lat nie tknęła ich ludzka troska. Na każdym rogu milczący rewirowi. Czasem nagabują dziewczęta, które potulnie dają się legitymować. Turyści tu się nie zapuszczają. Nie grają tu naśladowcy Buena Vista Social Club, jak kilkaset metrów dalej. Tu słychać chrypienie dyskotekowej salsy z marnego głośnika. Z tej pogardy dla materialnej przeszłości, piękna i ludzkiej godności nie narodzi się nowy człowiek. Owszem, może stąd jeszcze wyroić się okrutny bunt.

Na plaży pod Hawaną spacerują i kąpią się Mulatki o lśniących w słońcu, wypukłych jak jabłka hebanowych pupach i piersiach. Bezosobowy, kołyszący się ponad bielą piany i turkusem morza żer dla męskiego pożądania. Podstarzałe lowelasy z Europy czy Kanady pluskają się w morzu, trzymając za ręce czasem dwie naraz nastoletnie cud-kobiety. Za banknot, obiad i kolację mają tu pornonoc, jaką w swoim kraju obejrzą najwyżej na wideo.

Co sto metrów policjanci na wydmach lub na brzegu beznamiętnie legitymują miejscowych, chyba że ci towarzyszą białym cudzoziemcom. Wtedy dyskretnie ich omijają. Obcym zaś zwrócą uprzejmie uwagę, by nie zostawiali ubrania bez opieki, bo zaraz ktoś ukradnie.

Kubańczycy (a zwłaszcza Kubanki), przede wszystkim w Hawanie, są czyści, zadbani, schludnie ubrani. Bóg raczy wiedzieć, ile ich to kosztuje. Na restauracje, klub jazzowy (wstęp 5 dol.) czy tańce w lokalu już ich nie stać, chyba że ich zaprosi obcokrajowiec. Ale nie poddają się beznadziei. Chcą ładnie wyglądać, choćby tylko spacerując grupkami lub samotnie po ciemnych uliczkach starej Hawany albo nadmorskim bulwarze Malecon.

Nie buntują się. Wolą przeczekać, wykorzystując każdą szczelinę swobody, każde poluzowanie w pokrętnej polityce Castro. Albo uciekać przez morze. W politycznym buncie nie widzą szansy. Na morzu ją mają. Ale tylko szansę. Szacuje się, że około dwóch trzecich uciekinierów dociera do Florydy. To hazard na miarę jednostki: albo – albo, tu coś od niej zależy. W zapasach z totalitarnym lewiatanem musieliby przegrać.

Rozważania o wyższości komunizmu kubańskiego, ustanowionego przez rewolucję w 1959 roku, nad komunizmem wschodnioeuropejskim, narzuconym przez Armię Czerwoną, nie mają już dziś sensu. Rozkład wszystkich dziedzin życia na Kubie i powszechna nędza sprawiły, że zniknął dylemat europejskiej i latynoskiej lewicy, niegdyś gotowej bronić kubańskiej rewolucji dla jej rzekomych społecznych osiągnięć, a wbrew represjom, jakie przyniosła.

Kogo jeszcze przekonuje argument, że Kuba ma najwięcej lekarzy w stosunku do liczby ludności w Ameryce Łacińskiej, skoro nie leczą oni pacjentów, bo w szpitalach nie ma prawie sprzętu ani lekarstw? Służba zdrowia to tylko dziedzina produkcji: lekarzy można wyprodukować – planowo, choć bez sensu – choćby i dwa razy więcej. Cóż znaczy powszechna edukacja, skoro opiera się na indoktrynacji, zakłamaniu historii, cenzurze, zakazie importu niekomunistycznych książek i anten satelitarnych, braku dostępu do internetu? Jak odnajdą się we współczesnym świecie tysiące tak wykształconych Kubańczyków, kiedy runą mury?

Padł także ostatni szaniec obrońców rewolucji – heroiczny sprzeciw wobec hegemonii USA, symbol godności tych mniejszych i biedniejszych. Zrównał go z ziemią milion Kubańczyków, którzy przez ostatnie 40 lat zdołali uciec lub wyjechać z kraju, osiedlili się i dorobili właśnie w Ameryce. Większość tych, którzy pozostali, chętnie poszłaby w ich ślady. Podziw dla Ameryki jest dziś na Kubie o wiele żywszy niż przywiązanie do komunizmu i jego wodza; nadzieje na odrodzenie kraju, gdy Castro upadnie, bardziej niż kiedykolwiek pokłada się w USA. Kompleks Ameryki hegemona silniejszy jest dziś w Hiszpanii czy Francji.

Powtarzane jak refren usprawiedliwianie krachu gospodarczego wyspy amerykańską blokadą to pustosłowie. Nigdy nie było żadnej blokady. Waszyngton zakazał jedynie amerykańskim przedsiębiorstwom handlować z Kubą, bo w 1960 roku Fidel Castro skonfiskował całą amerykańską własność, wartą setki milionów dolarów. Z resztą świata Kuba zawsze mogła handlować bez przeszkód. Tyle że nic już nie ma na sprzedaż; prócz muzyki, cygar i kilku minerałów. Nawet koszt produkcji cukru na wyspie przekracza jego cenę na wolnym rynku.

Kilka lat temu Günter Grass spierał się z Mario Vargasem Llosą o szanse demokracji w Ameryce Łacińskiej. Pisarz niemiecki uważał ją za luksus, peruwiański jej bronił. Spór rozstrzygnęło życie – na korzyść Vargasa Llosy. Tyranie latynoskie przyniosły społeczeństwom więcej nieszczęść niż pożytku. Szaleństwa dyktatur prawicowych: Trujillo w Dominikanie, Somozy

w Nikaragui, Videli i Massery w Argentynie, Stroessnera w Paragwaju oraz lewicowe awantury sandinistów w Nikaragui, Allende w Chile czy właśnie Castro – pozostawiły tylko krew, łzy i zgliszcza. Wyjątkiem jest Pinochet, po którym – poza tysiącami ofiar, setkami tysięcy wygnanych i rozłamem chilijskiego społeczeństwa – pozostał przynajmniej zalążek gospodarki liberalnej.

Od czterech miesięcy kubański reżim żyje sprawą Eliána Gonzáleza, cudem uratowanego sześcioletniego uciekiniera. Kubańska diaspora w USA uczyniła z tragedii chłopca polityczny bat na komunizm. Dla Fidela Castro to prezent, jakiego się nie spodziewał. Przed sekcją interesów amerykańskich w Hawanie oraz na placach i ulicach innych kubańskich miast setki tysięcy ludzi demonstrują rytualny sprzeciw wobec „imperializmu amerykańskiego" i jego „służalców z mafii kubańskiej z Miami". Na wiece spędza ich aparat partyjny, strażnicy rewolucji i komitety osiedlowe. Kto się nie stawi, naraża się na szykany, może stracić pracę, prawo do studiów. Ludzi zwożą setki autobusów, których na co dzień brak; pasażerowie godzinami koczują na przystankach.

Od 19 kwietnia 2000 roku reżim ma nowy wehikuł – rezolucję Komisji Praw Człowieka ONZ potępiającą Kubę za łamanie praw ludzkich i dławienie wszelkich swobód. Wrogiem narodu stali się autorzy rezolucji: Czechy i prezydent Havel, „najgorliwszy sojusznik i podnóżek imperializmu".

Ta mobilizacja to fasada – jakby żywcem wzięta z „Rewolucji nihilizmu" Hermanna Rauschninga (ten były członek NSDAP opisał tam naturę narodowego socjalizmu). Mieszkańcy Kuby istotnie żyją sprawą Eliána, ale zupełnie inaczej, niż chcą władze. Gdy heroldowie reżimu wykrzykują na wiecach: „Oddajcie nam nasze dziecko!", Kubańczycy szepczą: „Elián, amigo, llevame contigo!" (Elián, przyjacielu, zabierz mnie ze sobą!). Aktywiści skandują o „porwaniu" Eliána, a kilka godzin później zwykli Kubańczycy, popijając rum na ławeczkach bulwaru Malecon, opowiadają taki dowcip: minęło 20 lat, przed budynkiem sekcji interesów USA dwudziestoparoletni facet rozwija transparent: „Uwolnić Eliána!". Karci go policjant: „Przecież Elián jest już wolny!". Żąda dowodu osobistego – demonstrant nazywa się... Elián González.

Reżim broni dziś świętych praw ojca, ale sam ma długą tradycję rozrywania więzi rodzinnych. Służą temu choćby obowiązkowe kolonie reedukacyjne, gdzie dzieci uczy się wierności wodzowi, rewolucji i państwu – przed miłością do rodziców. Najnowszym przejawem doktryny,

że wychowanie należy do państwa, jest zarządzenie ministra edukacji z 30 stycznia 2000 roku, które zabrania rodzicom odwiedzania dzieci mieszkających w czasie nauki w bursach. – Zapowiedziałem, że będę odwiedzał syna co tydzień. A jak mnie spróbują powstrzymać, będę publicznie protestował – opowiada mi Kubańczyk w mieście Pinar del Rio. Wezwały go władze oświatowe. Perswazje nie pomogły – nadal jeździ do syna. Ale nie wszyscy jeżdżą. Zarządzenie obowiązuje.

Z łamów reżimowej „Granmy" i z telewizorów płynie potok antyamerykańskich zaklęć. Tymczasem ratownik na plaży pod Hawaną opowiada, jak to policjant kładzie ciężką łapę na ramieniu człowieka malującego na murze „Precz z F...": – Ha, co to się wypisuje! – No właśnie, jak się to pisze: „Flinton" czy „Clinton"? Powtarzane na każdym kroku dowcipy polityczne to niemal jedyny wyraz duchowej obrony społeczeństwa przed natręctwem propagandy i policji.

Propaganda ma mobilizować masy, odnawiać prawomocność reżimu, dowodzić jego żywotności. Szczególnym rysem dzisiejszej Kuby jest rażący kontrast między hałaśliwie odklepywanym rytuałem i niemo krzyczącą rzeczywistością. Kubański komunizm nie ma już werwy ani treści, jest jak dawno opuszczona kopalnia – puste sztolnie wypełnione szkieletami zardzewiałego żelastwa.

Komunistyczna gospodarka nie jest w stanie wyżywić Kubańczyków, ubrać ich, dać im mieszkań. Kuba od początku żyła z sowieckich darowizn i na kredyt. Ludzie wiążą dziś koniec z końcem tylko dlatego, że do kraju napływa co roku ponad 1,5 mld dol. od ich krewnych z Miami. A w przybliżeniu drugie tyle – od zachodnich turystów, którzy choć łupieni przez turystyczny monopol państwa, garść zielonych zawsze jednak zostawią kelnerom czy kubańskim dziewczętom oferującym seks za pieniądze. Reżim, usiłujący odgrodzić poddanych od cudzoziemców, nie potrafi temu przeszkodzić. Kilka lat temu za posiadanie dolarów szło się do więzienia. Dzisiaj dolar jest powszechną i niemal jedyną walutą dającą dostęp do towarów. Reżim żąda dolarów od własnych obywateli. Od każdego z 20 tys. Kubańczyków, którym pozwala legalnie emigrować co roku do USA, pobiera 200 dol. za stempel na zaproszeniu, 150 za pozwolenie na wyjazd i jeszcze 400 za świadectwo zdrowia.

Do 1990 roku Kubę utrzymywały ZSRR i obóz socjalistyczny. Roczne dotacje wynosiły mniej więcej 5 mld dol., co w sumie przez 30 lat dało blisko 150 mld, o wiele więcej niż plan Marshalla, który po II wojnie

postawił na nogi gospodarkę europejską. Kuba miała przywilej kupowania 5 mln ton radzieckiej ropy rocznie poniżej ceny rynkowej i sprzedawania jej na pniu po cenie światowej. ZSRR kupował kilka milionów ton kubańskiego cukru za 600-800 dol. za tonę, choć na rynkach światowych jego cena nie przekraczała 200 dol.

Tych gigantycznych pieniędzy starczyło reżimowi Castro na budowę setek fabryk, które dziś nie produkują niczego, co można na świecie sprzedać, albo produkują o wiele drożej, niż wynosi cena sprzedaży. Starczyło też na kilkanaście wojen w Afryce i Ameryce Łacińskiej prowadzonych przez lewicowe partyzantki szkolone na Kubie (w Salwadorze, Nikaragui, Argentynie, Kolumbii) lub wręcz regularne wojsko kubańskie, jak w Etiopii, Somalii, Mozambiku czy Angoli, gdzie przez 12 lat internacjonalistycznej awantury Castro utrzymywał chwilami 70 tys. żołnierzy. Cała jego armia – większa od brazylijskiej czy hiszpańskiej – liczyła u szczytu potęgi prawie ćwierć miliona żołnierzy (plus blisko 200 tys. rezerwistów i pół miliona policjantów), po 1400 czołgów i armat, ponad 60 okrętów wojennych, 400 samolotów. Bogactwa starczało na trwonienie, ale nie na to, by kraj zdołał bogactwo wytwarzać.

W 1990 roku trzy czwarte handlu zagranicznego Kuby przypadało na rozpadający się blok radziecki. Stąd pochodziło 60 proc. produktów chemicznych, 64 proc. żywności, prawie 80 proc. maszyn i aż 98 proc. paliw. Kiedy w 1990 roku Gorbaczow uznał, że Moskwy nie stać już na finansowanie wyspy, kubańska gospodarka musiała się załamać. Import spadł natychmiast o 50 proc., produkcja żywności – o 50-60 proc., siła nabywcza ludności – o 30-50 proc.; produkt narodowy też o blisko połowę. Według danych rządowych, przekazanych ONZ w 1994 roku, dzienna dieta Kubańczyka spadła z 3000 do 2000 kalorii.

Castro nigdy długów nie płacił i nie płaci. W 1998 roku dług Kuby wobec Zachodu wynosił blisko 11,2 mld dol., czyli przekraczał 1000 dol. na mieszkańca. Na spłatę nie ma żadnych szans.

Jeszcze gorzej wypada porównanie z okresem sprzed rewolucji. Castro zdołał narzucić poddanym i części lewicowych wyznawców na świecie obraz ruiny gospodarczej Kuby przed 1959 rokiem – zaprzedanej amerykańskiemu imperializmowi i mafii; kasyna gry i burdel. Ale to dopiero dziś Kuba jest wielkim, tanim burdelem dla zachodnich turystów zaczepianych przez tysiące młodziutkich Mulatek na plażach i w zaułkach starej Hawany. Dla tych dziewczyn to nie tyle zawód, ile przepustka do lepszego świata, szansa przeżycia dnia na cudzy koszt albo uczepienia się kogoś, kto wywiezie z kraju na dobre lub choćby czasem odwiedzi i wspomoże paroma dolarami.

W 1959 roku, po latach burzliwego rozwoju gospodarczego, w skarbcu Narodowego Banku Kuby leżało 500 mln dol. rezerwy walutowej. Przez 54 z 57 lat niepodległości saldo handlu zagranicznego było stale dodatnie (w roku przed rewolucją przekraczało 4,2 mld dol.). Kuba już w 1912 roku produkowała tyle cukru co dzisiaj. Za Castro – mimo ogromnych nakładów, darmowych nawozów, rzucania setek tysięcy ludzi na front zafry, czyli zbioru trzciny – ani razu nie pobito rekordu ponad 7 mln ton, który padł w 1952 roku. Wskaźniki cywilizacyjne – liczba radioodbiorników czy telefonów na mieszkańca – czyniły z Kuby najbogatszy obok Argentyny kraj Ameryki Łacińskiej. W latach 50. kubański PKB trzykrotnie przekraczał dzisiejszy.

Mit Kuby jako amerykańskiej kolonii to również twór propagandy. To prawda, że przez pierwszych 30 lat niepodległości Kuba była rodzajem protektoratu. Sławną poprawkę Platta do ustawy budżetowej USA, która pozwalała Ameryce interweniować na wyspie, uchwalono pod naciskiem ustępujących z niej Hiszpanów i włączono do traktatu pokojowego z 1898 roku dającego Kubie niepodległość. Była to gwarancja, że nie będzie zbiorowej zemsty na Hiszpanach za lata kolonialnego panowania.

A kubańscy patrioci mieli się za co mścić. Toczona od 1868 roku wojna o niepodległość była niezwykle okrutna. Żeby bronić resztek imperium przed utratą „perły", która dawała Hiszpanii 75 proc. całego jej budżetu, Madryt wyprawił na wyspę ponad 300 tys. żołnierzy; tamtejszych mieszkańców było zaledwie 1,5 mln (całe wojsko Bolivara wyzwalające Amerykę Łacińską kilkadziesiąt lat wcześniej liczyło ledwie 50 tys.). Hiszpanie wyrzynali bojowników i zamykali w obozach; niepodległościowcy postawili Kubę w ogniu od krańca do krańca, żeby nic dla okupantów nie zostało. Kuba utraciła ok. 300 tys. ludzi. Z 1200 cukrowni pozostało sprawnych 60; przepadło 90 proc. upraw cukru, kawy, tytoniu, owoców i warzyw, wybito ponad milion sztuk bydła.

Gospodarkę kubańską podźwignął właśnie kapitał amerykański (zresztą i wojna o niepodległość zakończyła się klęską Hiszpanii dzięki późnej, lecz skutecznej pomocy USA). W 1902 roku dzięki traktatowi handlowemu z USA wyspa odżyła. W 1926 roku dochód na głowę był zbliżony do brytyjskiego. W szczytowym okresie kapitał amerykański stanowił aż 85 proc. obecnych na wyspie pieniędzy, ale w 1959 roku na ukończeniu była „kubanizacja" gospodarki – 85 proc. aktywów znalazło się w rękach miejscowych. W 1939 roku Kubańczycy produkowali 28 proc. wytwarzanego w kraju cukru (resztę Amerykanie), ale w 1958 – już 60 proc. W roku rewolucji Kuba była bogatsza od frankistowskiej Hiszpanii, skąd w latach 50. masowo emigrowano na wyspę w poszukiwaniu lepszego życia.

W tym samym roku, gdy Fidel Castro i Ernesto Guevara wpychali Kubę w komunizm, liberalni technokraci hiszpańscy wyciągali swój kraj z autarkicznej stagnacji i kierowali go ku Europie. Po 40 latach Hiszpania dołącza do europejskiej elity dobrobytu. Kuba zaś dogorywa jako parias zachodniej półkuli.

Tego wszystkiego nie dowie się dzisiaj przeciętny Kubańczyk; nawet student ekonomii, któremu wbito do głowy, że Kuba narodziła się w roku 1959. Te dane ukryte są w specjalistycznych rocznikach statystycznych, do których dostęp ma ścisła nomenklatura. Czasem jednak wyciekają do tolerowanej przez reżim gazety „Palabra Nueva", wydawanej w kilkutysięcznym nakładzie przez katolicką archidiecezję w Hawanie. Przeczyta je garstka samouków, którzy schronili się pod skrzydła Kościoła katolickiego.

Historia Salvadora Larruy to skrócony kurs wyzwalania się Kubańczyka z komunizmu. W 1986 roku, po kolejnym niepowodzeniu napędzanej rewolucyjną wolą zafry, wódz żąda raportu o stanie gospodarki. Wskazuje palcem zdolnego wysokiego urzędnika komisji planowania. Dr Larrua przystępuje do pracy. Gotowy raport oddaje swemu ministrowi. Ten wpada w przerażenie – nie może go pokazać Fidelowi, bo obraz jest zbyt czarny. Każe przerabiać. Autor odmawia: – Taka jest prawda i żadne sztuczki jej nie zmienią.

Własna odwaga zaskakuje samego autora raportu. Od kilku lat się waha, wątpi w rewolucję, ale nie umie uwolnić się od jej mirażu, który pielęgnował jego ojciec partyzant – uczestnik rewolucji, a po zwycięstwie wysoki rangą oficer służb specjalnych. Najpierw służył rewolucji w regionie Escambray jako agent-dywersant w szeregach antycastrowskiej partyzantki (pokonanej przez Fidela dopiero w 1965 roku), potem jako oficer wywiadu w USA. Stamtąd wraca jednak jako strzęp człowieka, zrażony do rewolucji zapewne z powodu jej ponurych sekretów, o których zresztą milczy. W 1977 roku popełnia samobójstwo, zostawiwszy synowi list pożegnalny.

Dziewięć lat później syn dojrzewa do zerwania z reżimem. Nie robi jednak nic wyzywającego, mówi tylko, że danych statystycznych nie da się zmienić. Minister zmienia więc raport przy pomocy bardziej posłusznych fachowców, ale kiedy ląduje on na biurku Fidela, ten zwraca go z gniewem. Jego prywatni doradcy sporządzili bowiem opracowanie równoległe – obala ono ustalenia poprawiaczy i niepokojąco pokrywa się z dokumentem dr. Larruy. Struchlały minister żąda od autora wersji pierwotnej. – Przecież ją wam przekazałem – dziwi się Larrua. – Musicie ją odtworzyć, bośmy swój egzemplarz zniszczyli – odpowiada minister. Larrua znów odmawia. To drugi jego krok ku zerwaniu.

Ale jest urzędnikiem, zna tajemnice państwowe, których nie wolno mu ujawniać przez pięć lat. Jeśli trzaśnie drzwiami, pójdzie do więzienia. Cztery lata szykuje cichy odwrót. W pracy się nie stara, choruje, przynosi zaświadczenia lekarskie. Gra marudera, który nie wytrzymuje tempa marszu. Zwierzchnicy przyzwyczajają się stopniowo, że nie można na niego liczyć. Mają zresztą poważniejsze kłopoty – na drugiej półkuli pada właśnie komunizm.

Czteroletnia maskarada to męczarnia. W dniu, gdy postanawia ostatecznie nie wracać do pracy, Salvador nie może wstać z łóżka, nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Jest człowiekiem rozbitym. Kiedy zabrakło mostów łączących go ze środowiskiem zawodowym, cofa się w czas dzieciństwa. W latach 60. ochrzcili go po kryjomu jezuici dzięki matce katoliczce; od religii odciągnął go ojciec. Teraz żona wiezie go na wózku do księdza jezuity. – Po kilku godzinach rozmowy wyszedłem na własnych nogach, może pan wierzyć albo nie – opowiada Salvador. – Następnego ranka obudziliśmy się z żoną jako wolni ludzie. Ona, też ekonomistka, razem ze mną rzuciła pracę.

Od tamtej pory Larrua pod parasolem Kościoła napisał siedem książek o jego historii na Kubie, w tym fundamentalną monografię zakonu dominikanów, którzy w 1728 roku założyli pierwszy na wyspie uniwersytet. Żadna nie mogła ukazać się w kraju. Od 1996 roku Larrua publikuje artykuły na tematy ekonomiczne w „Palabra Nueva". Wykłada w szkole prowadzonej przez hiszpańskiego dominikanina przy jednym z kościołów w Hawanie.

– Przychodzili mnie straszyć. Mówiłem, że już się nie boję. Że mi ich żal, bo lękają się prawdy, własnych statystyk. Próbowali ze mną dyskutować na kursach, ale nie byli w stanie – kończy swą opowieść Salvador ze smutnym uśmiechem. Widzi klęskę kraju, ale nareszcie jest pogodzony ze sobą.

Nie tęsknota za komunizmem doprowadziła do zwycięstwa rewolucji w 1959 roku, lecz sprzeciw wobec skorumpowanej i brutalnej dyktatury Fulgencia Batisty. Na czele tego protestu demoliberalnych polityków, studentów i ludzi wolnych zawodów stanęli spiskowcy i partyzanci różnych ugrupowań walczący w latach 50. przeciw Batiście. Również przywódcy Ruchu 26 Lipca – wyrosłego z dalekiej od komunizmu Partii Radykalnej: Castro, Camilo Cienfuegos, Huber Matos, a nawet Guevara, jedyny leninowski rewolucjonista w tym gronie – nie walczą pod sztandarem marksizmu-leninizmu. W więziennym manifeście „Historia mnie uniewinni" – spisanym w trakcie dwuletniego pobytu na Isla de Pinos („to było sanatorium w porównaniu z więzieniami castrowskimi", powie po latach Gustavo Arcos,

towarzysz Fidela podczas straceńczej szarży na koszary Moncada w 1953 roku) – Castro obiecywał przywrócenie demokratycznej konstytucji z 1940 roku, obalonej przez Batistę, i później wiele jeszcze lat zaprzeczał, by jego rewolucja zmierzała do komunizmu.

Komunizm stał się sposobem na utrzymanie władzy po 1959 roku Po kilku tygodniach od ucieczki Batisty Castro rozpędził pierwszy pluralistyczny gabinet i sam stanął na czele rządu. Już w połowie roku, na znak protestu przeciw komunizacji reżimu, nastąpiły pierwsze dezercje i samobójstwa wysokich dowódców armii czy sędziów rewolucyjnych trybunałów, które rozstrzeliwały – bez sądu lub po jakobińskich procesach – oficerów armii Batisty. Matosa aresztowano za zdradę, kiedy powiadomił listownie Fidela o odejściu z armii. Cienfuegos, który Matosa niezbyt ochoczo aresztował, ginie wkrótce w katastrofie samolotowej.

W następnym roku Castro konfiskuje wielką własność prywatną – amerykańską, kubańską i hiszpańską. Osiem lat później wywłaszcza pół miliona średnich, małych i rodzinnych przedsiębiorstw prywatnych. Likwiduje niezależną prasę, partie polityczne, związki zawodowe, wolną prasę i prywatne szkolnictwo. Część księży katolickich wypędza z kraju, część zsyła do obozów (m.in. Jaime Ortegę, dziś kardynała, arcybiskupa Hawany).

– W 1959 roku Batista miał 55 więzień. Castro ma 200 więzień i obozów pracy, w tym 50 o zaostrzonym rygorze – wylicza Elizardo Sánchez, czołowy na Kubie obrońca praw człowieka. Przez kubański gułag przeszło około 150 tys. osób; liczba rozstrzelanych wynosi – według różnych szacunków – od 5 do 18 tysięcy.

W 1990 roku Castro nie przyjął do wiadomości krachu komunizmu i nie pozwolił przyjąć tego do wiadomości poddanym. Ogłosił tzw. okres specjalny – wyrzeczeń, dzięki którym naród przetrwa zdradę socjalizmu, do jakiej doszło w ZSRR i Europie Wschodniej. Ponownie postawił rodaków wobec szantażu: „socjalizm albo śmierć" – i kazał to hasło powtarzać publicznie jak mantrę. Lata propagandy, cenzury i izolacji sprawiły, że niewielu Kubańczyków zdało sobie sprawę, iż w 1990 roku „okres specjalny" wcale się nie zaczął, lecz skończył. To właśnie wtedy, gdy ustały sowieckie dotacje, wybiła dla reżimu godzina prawdy.

Opozycjonistom, ośmielonym pierestrojką, a potem upadkiem światowego komunizmu, reżim urządzał tzw. actos de repudio. Nasyłał aktywistów, którzy dzień i noc oblegali ich domy, wykrzykiwali obelgi i groźby, czasem obrzucali okna kamieniami i plądrowali mieszkania.

Spotkało to m.in. weterana opozycji Gustava Arcosa – w latach partyzantki towarzysza Castro, po rewolucji ambasadora w Brukseli, a już w 1965 roku więźnia politycznego. W 1991 roku bojówki strażników rewolucji (podobne do tych, które w latach 70. w Polsce atakowały Latający Uniwersytet) prowadził na mieszkanie braci Gustava i Sebastiána Arcosów Roberto Robaina, do niedawna minister spraw zagranicznych, liberalna twarz reżimu Castro na użytek zagranicy, od roku w niełasce.

Spotkało to też Elizarda Sáncheza, którego agenci bezpieki ściągnęli po schodach za nogę z siódmego piętra, tłukąc po drodze pałkami. Akt ludowego gniewu pod jego domem, w którym tkwiła przerażona rodzina, trwał bez przerwy 13 dni. Sánchez w tym czasie dochodził do siebie w celi więziennej, nim go zwolniono.

Przez cztery lata reżim bez przeszkód prowadził politykę zaciskania pasa – „okres specjalny" trwał. Ale 5 sierpnia 1994 roku coś pękło. Na ulice starej Hawany wylegli ludzie. Castro wyciągnął z koszar wojsko. Bitwa na pałki i kamienie trwała do nocy.

Castro poluzował uścisk. Zalegalizował rodzinną pomoc od emigrantów, czyli zdjął zakaz posiadania dolarów, wpuścił więcej dewizowych turystów, zezwolił Kubańczykom na częściowo swobodny handel żywnością, na zakładanie rodzinnych firm w usługach, handlu, gastronomii. Dotąd było wiadomo, że półtora miliona Kubańczyków w USA wytwarza więcej bogactwa niż 11 mln na wyspie. Teraz okazało się, że i tu przetrwał duch pracowitości i przedsiębiorczości. Wyspiarze pamiętali, jak w latach 1978-80 tysiącom ich rodaków uchodźców Castro po raz pierwszy pozwolił przyjechać z Florydy do kraju. Jego propaganda, tak jak dziś, nazywała ich „zdrajcami" lub „pędrakami" (gusanos). – Wyjechali jako larwy, ale wrócili jako motyle – kpili Kubańczycy, widząc dobrze odżywionych i ubranych rodaków.

Po 1994 roku bary, sklepiki, targowiska rozkwitły natychmiast. Ratując się przed całkowitym krachem, reżim zaprosił zachodnich inwestorów do mieszanych spółek, głównie w turystyce, górnictwie niklu czy sektorze rolnym. Ale to państwo zatrudnia pracujących w tych firmach Kubańczyków. Co miesiąc bierze od zagranicznego pracodawcy np. 300 dolarów od każdego zatrudnionego, a samo płaci temu samemu zatrudnionemu też 300 – tyle że pesos (czyli 15 dol.); czasem dorzuca bony do specjalnych sklepów, podobnych do peerelowskich peweksów. Zaufanym miejscowym pracownikom obcokrajowcy płacą niekiedy pod stołem żywymi dolarami; kubańskim partnerom w interesach, często generałom i wyższej nomenklaturze – zapewne też. Przybywają Hiszpanie, Francuzi, Włosi i Kanadyjczycy. Ale nie tłumnie. Niepewność inwestycji, obowiązkowo

większościowy udział rządu w joint ventures powstrzymuje duży napływ kapitału.

Ale też Fidelowi wcale nie o to chodzi. Chce tylko złapać oddech. Jako pilny uczeń Lenina wie zresztą, że póki istnieje własność prywatna, burżuazja się odradza; wie, co stało się w Europie Wschodniej. Wie, że przedsiębiorczość Kubańczyków to zaczyn suwerenności człowieka i społeczeństwa obywatelskiego. Rychło więc na zapobiegliwość prywatną spadają kontrole, grzywny, podatki. Równie prędko, jak wypuściła czułki, ludzka przedsiębiorczość się zwinęła.

Dziś na ulicach Hawany sklepów nie widać. Z rzadka bywają dolarowe i zawsze puste, bo niedostępne dla Kubańczyków, eleganckie sklepy z elektroniką lub zachodnią modą. A gdzie Kubańczyk kupuje od państwa na kartki – nie wiadomo. Nie zdradzają tego uliczne partery kamienic, czyli handlowy nerw każdego miasta na świecie. Wiadomo tylko, że 200-300 pesos średniej płacy to za mało, by wykupić należne kartkowe towary. Resztę więc trzeba dokraść bądź dokupić za dolary.

Setki tysięcy mieszkańców Hawany grają na nielegalnej ludowej loterii, a setki z niej żyją. Zakłady zbierają po domach i przekazują je wyżej, aż na czubek – do „bankiera". Wygrywa numerek wyczytany przez radio. Jakie? Radio Marti, które nadaje z Miami.

Na łebka wozić obcokrajowców nie wolno, po pierwszym ostrzeżeniu grozi konfiskata samochodu. Są państwowe, dolarowe – rzecz jasna – taksówki. Szofer dolary oddaje państwu, w zamian dostaje pesos.

Fidel Castro to połączenie latynoskiego caudillo i komunistycznego tyrana. Jego reżim różni od autorytarnych dyktatur Ameryki Łacińskiej wszechwładza przenikającego całe życie narodu aparatu przemocy. Od totalitarnych dyktatur komunistycznych różni go to, że źródłem niepodzielnej władzy jest sam wódz, który oddaje jedynie porcje do „zarządzania". Swemu ostatniemu wielbicielowi wśród sławnych intelektualistów, kolumbijskiemu pisarzowi Gabrielowi Garcii Marquezowi wyznał kiedyś sekret swoich rządów (co ten cytuje w swoich wspomnieniach). Na pytanie, dlaczego nie daje ludziom więcej swobód i demokracji, odrzekł: – Bo mi się nie chce (No me sale de los cojones; dosłownie: „Nie wychodzi mi z jaj").

Castro nauczył się sporo z doświadczeń dawnych krajów realnego socjalizmu. Z rozmysłem upuszcza nieco złej krwi nagromadzonej w ludziach. Pozwolił na trzy wielkie fale ucieczek: przez porty Camarioca (1964) i Mariel

(1980) oraz desperacki rajd z Hawany w 1995 roku balseros (ludzi na tratwach), którzy pokonywali Cieśninę Florydzką na łodziach, deskach, pontonach i dętkach. Tym sposobem pozbył się kilkuset tysięcy desperatów.

Dlatego dziś jego przemoc nie musi być krwawa. Jest „miękka", ale za to wszędzie obecna jak powietrze – na ulicy, w pracy, w szkole, na osiedlu. Ma jego brodatą twarz i natrętny ton belfra, ale na co dzień przybiera barwy szarego mrowia oficerów armii i policjantów, tajniaków i strażników rewolucji, osiedlowych i młodzieżowych aktywistów.

Przemoc brutalna bywa z rzadka, ale wtedy jest nagła i bezlitosna. Jesienią 1989 roku Castro aresztował grupę wysokich rangą oficerów armii i MSW. Byli wśród nich Arnaldo Ochoa, bohater kubańskiej partyzantki w Ameryce Łacińskiej i wojny w Angoli, oraz Tony de la Guardia, superagent do zadań specjalnych. Dwa lata wcześniej amerykańska agencja do walki z handlem narkotykami zdobyła niezbite dowody, że Castro, wykorzystując swe doskonale strzeżone lotniska, przemyca kolumbijską kokainę do USA. Od lat 70. finansował lewicowych partyzantów w Kolumbii, a jego ambasador był przyjacielem szefa kartelu z Medellin Pabla Escobara. Partyzanci potrzebowali pieniędzy i broni. Castro – pieniędzy i dodatkowej satysfakcji, że niszczy biologicznie imperialistów.

W powietrzu wisi kolosalny skandal. Castro szykuje widowisko – oczyszczenie swego wizerunku. Robi proces w najlepszym stalinowskim stylu: obiecuje oskarżonym darowanie życia za wzięcie na siebie wyłącznej odpowiedzialności za narkotykowy szmugiel, po czym skazuje ich na śmierć i niezwłocznie dokonuje egzekucji Ochoy i de la Guardii. Nikt nie wątpi, że to kozły ofiarne i że ich los ma być przestrogą.

Czasem Castro bywa brutalny opiekuńczo. Opowiadają w Hawanie, że niedawno podczas jubileuszu Narodowego Baletu Kubańskiego złożył hołd jego szefowej, legendarnej primabalerinie Alicii Alonso. Sędziwa już gwiazda zasiadła na honorowym miejscu, a wódz mówił. Jak to ma w zwyczaju – cztery godziny. Pani Alonso ciężko zachorowała, bo bała się wstać w trakcie oracji i wyjść do toalety.

Inasequibles al desaliento, niedostępni zwątpieniu – mówili o sobie falangiści hiszpańscy u szczytu dyktatury Franco. Dziś na Kubie cnotę tę ucieleśnia już tylko Fidel Castro. Nie waha się publicznie mówić, że jeśli nawet cały komitet centralny partii miałby zginąć w obronie rewolucji, to tak się stanie; jeśli nawet 90 proc. Kubańczyków zrezygnuje z walki o komunizm, on nie zrezygnuje. Kiedy na przyjęciu dyplomatycznym w 1993 roku zaczął

porównywać Kubę do Rzymu Marka Aureliusza i pewien zachodni ambasador zwrócił mu uwagę, że ta figura jest może zbyt śmiała wobec zapaści gospodarczej, Fidel bez mrugnięcia odparł: – Mnie interesuje wyłącznie chwała.

To dlatego kubańscy dysydenci, widząc obłęd w płomiennych mowach Fidela, zdradzają strach. Boją się, że w godzinie ostatecznego krachu Castro powie: „Po mnie choćby zgliszcza". I podpali Kubę.

Można się też bać, że po jego śmierci – gdy jego budowla się rozpadnie – faraon i jego kapłani, zausznicy, dowódcy, żołnierze i agenci zechcą bronić władzy i przywilejów, a potężna emigracja, której przypadnie rola tego, kto odbuduje Kubę, zażąda wyrównania krzywd i kar za zbrodnie. O rozbrojenie tej bomby zegarowej martwić się trzeba już dzisiaj, mimo że nad Kubą wciąż unosi się złowieszczo palec Fidela Castro.

PRAWDZIWA HISTORIA BUENA VISTA SOCIAL CLUB

Uciszanie

„Trabajo si, samba no!" – każe skandować tłumowi na wiecu Fidel Castro. Ludzie posłusznie krzyczą i już po kilku minutach śpiewają i tańczą, nie przestając opiewać znoju pracy i potępiać zabawy

Dowcip ten jest oklepany, i do tego z błędem, bo samba przecież nie jest muzyką Kuby, ale zawiera ważną prawdę. Dla Kubańczyków muzyka i taniec są sokiem życia w stopniu dla Europejczyków czy Amerykanów niezrozumiałym i niedostępnym. Kto wie, czy nie dzięki temu przeżyli pół wieku komunizmu.

Kubańscy muzycy i kubańska muzyka są żywym świadectwem zwycięstwa ducha nad materią. Dowodem, że to, co człowiek w sobie nosi i kocha, może więcej niż to, co nosi na sobie i musi. Że kultura zwycięża politykę, wolność – doktrynę, życie – ideologię.

Przykłady chybionego i nieskutecznego zamachu na ducha, wolność i kulturę przychodzą czasem z nieoczekiwanej strony. Oto w 2004 roku

władze Stanów Zjednoczonych odmówiły wjazdu na rozdanie nagród Grammy grupie nominowanych Kubańczyków. Dlaczego? „Z uwagi na bezpieczeństwo" USA. Legendarny pieśniarz Ibrahim Ferrer z Buena Vista Social Club, wirtuoz fortepianu Chucho Valdés oraz Amadito Valdés, Barbarito Torres, Guillermo Rubalcaba i grupa Ignacio Piñeiro reprezentowali bowiem kraj uznawany przez Amerykę za dyktaturę wspierającą terroryzm, a takie kraje są karane sankcjami przez kraj reprezentujący wolny świat.

Doprawdy, trudno wymyślić bardziej idiotyczne i przeciwskuteczne użycie argumentu wolności przeciw niewoli.

Komunistyczny dyktator Fidel Castro musiał się na wyspie klepać z uciechy po udach, że jankescy imperialiści po raz kolejny strzelają sobie samobója. Jego minister spraw zagranicznych wymachiwał na konferencji prasowej w Hawanie amerykańską odmową wiz i triumfalnie bronił „szlachetnej muzyki" padającej ofiarą „politycznej walki". A wywołany do odpowiedzi, zmuszony do upokarzającej deklaracji 77-letni Ibrahim Ferrer bezradnie pytał dziennikarzy: „Jaki tam ze mnie terrorysta?".

Bezmyślność administracji USA polegała na tym, że chcąc dokuczyć dyktatorowi, uradowała go niezmiernie. Dokuczyła za to ludziom, którzy swoją sztukę latami pielęgnowali wbrew dyktaturze, a ku pokrzepieniu rodaków w kraju i na wychodźstwie. Zrobiła krzywdę ludziom, dla których muzyka jest ostoją kultury narodowej oraz znakiem nadziei i tożsamości. Władze USA zabroniły wjazdu muzykom, których uwielbiają i Amerykanie, i imigranci kubańscy pospołu niecierpiący Castro. Zraziły do siebie Kubańczyków przychylnych Amerykanom, a reżimowi Castro dały do ręki broń przeciw sobie w postaci argumentu, że antykomunistyczne zacietrzewienie je zaślepia i odbiera rozum.

Nikczemność reżimu Castro była jednak jeszcze większa niż amerykańska głupota. Bo „szlachetna muzyka" kubańska, która za sprawą Buena Vista Social Club od końca lat 90. ubiegłego wieku rzuca na kolana ludzi na świecie, do niedawna była na Kubie skazana na zapomnienie, a muzycy ją wykonujący – prześladowani. Son, danzon, rumba, bolero – sama sól ziemi kubańskiej – były wyklęte, a najwięksi artyści żyli w nędzy dlatego, że tak kazał dyktator ludowy. Reżim się ocknął z doktrynalnego stuporu dopiero, kiedy dosłownie zbankrutował po rozpadzie ZSRR i odkrył, że tępił żyłę złota. Pozwolił więc na kontrolowany eksport tej sztuki, a artystom na wyjazdy zagraniczne, choć zabierał im większość dolarowych honorariów.

Dziś najwięksi kubańscy muzycy są rozrywani na świecie i w jaskini wroga – w USA, grają w najlepszych klubach Nowego Jorku, Los Angeles, salach koncertowych Londynu, Madrytu, Paryża i Berlina, na festiwalach

w Montreux, nagrywają dla najlepszych firm płytowych.

Tak oto muzycy cudem przywróceni do życia wciąż szamoczą się między głupotą a podłością. Pociecha w tym, że przed knutem dyktatury zdołała się obronić muzyka. Głupota administracji jej nie zagrozi.

Wyklęta muzyka zwyciężyła, gdy kilka lat temu odnalazły się po latach rozłąki i zagrały razem prawdziwe smoki fortepianu: Bebo Valdés i Chucho Valdés, ojciec i syn, emigrant i wyspiarz. Przemogli nie tylko lata rodzinnej rozłąki, ale zasypali ideologiczne okopy, jakie przez pół wieku dyktatura zdołała wykopać pomiędzy tymi, którzy wyjechali, i tymi, którzy zostali. Ich spotkanie, trasa koncertowa oraz płyta „Juntos para Siempre" z 2008 roku wzięły w nawias, niczym epizod, pół wieku uporczywych prób zniszczenia kultury kubańskiej.

Podobne zwycięstwa życia i twórczości nad ideologicznym dogmatem i dyktatem powtarzały się na Kubie od samego początku, tj. od rewolucji 1959 roku.

Czas radości

Do rewolucji Kuba kojarzyła się przede wszystkim z muzyką, tańcem i innymi uciechami ciała. Bogaci i nie tylko bogaci Amerykanie bawili się tam chętnie i robili wielkie – brudne i czyste – interesy. Uwielbiali tam bywać i wielcy bandyci mafii, jak Meyer Lansky i Lucky Luciano, i Ernest Hemingway. W latach 40. i 50. grały tam wybitne orkiestry i wielcy wirtuozi, Hawana kipiała jazzem, calypso i wszystkimi rytmami Karaibów, których Kuba była kolebką i niedościgłym wzorem. Grali wtedy na wyspie Bebo Valdés i Rubén González, śpiewał Benny More i Omara Portuondo, grali Compay Segundo i Ibrahim Ferrer, Celia Cruz i Pérez Prado.

– Rodzice kochali muzykę i w domu śpiewali na dwa głosy. Kiedy zobaczyli, że mam słuch i głos, uparli się, żebym uczyła się muzyki. Uczyłam się, najpierw – w szkole jeszcze – grać na fortepianie – opowiadała mi Omara Portuondo.

Omara ma przeszło 80 lat i dalej śpiewa niedzisiejszym kołysząco-ciepłym i niskim głosem. Często przyjeżdża do Polski, jest solistką Buena Vista Social, chociaż większość jej kolegów z pierwotnego składu, z którymi występowała w Poznaniu w 2000 roku, odeszła. Omara trwa. Przez czas pogardy i niedoli, które dotknęły większość jej kolegów, ona przepłynęła jak łupina, cudownie nietknięta.

– Pewnego dnia zastąpiłam kogoś w kabarecie Tropicana, najważniejszym

klubie muzycznym. Spodobało się i szefowie poszli porozmawiać z mamą. Straszny wtedy się zrobił popyt na muzykę, bogaci Amerykanie przyjeżdżali bawić się w Hawanie. W 1940 roku założyliśmy kwartet Orlando de la Rosa, występowaliśmy w salach teatralnych. W roku 1950 pojechałam do USA na sześciomiesięczne tournée. Kiedy wróciłam, założyliśmy Kwartet Las de Aida.

Jej młodszy o połowę rodak Reinaldo Ceballo, który wybrał sobie Polskę za drugą ojczyznę, wiolonczelista i pianista po konserwatorium w Santiago de Cuba, który uczył się ludowej muzyki od wypchniętych z obiegu mistrzów i przedrewolucyjnych płyt, mówi: – To była prawdziwa bomba. One śpiewały tradycyjny repertuar w aranżacji na cztery głosy! Nikt tego przedtem nie robił. Brały teksty z ulicy, podchwytywały powiedzonka. Kwartet miał dwie świetne śpiewaczki i jednocześnie piękne kobiety, Omarę i Elenę Burques. One nagrały całą antologię kubańskiego bolero, potem były rumba, cza-cza, danzon i mambo. Omarę nazywano „La Rumbera", bo najpiękniej śpiewała rumby, a Elenę „Damą Uczucia", bo lubiła romantyczne bolera.

Omara była najpiękniejsza i najlepsza. Najwybitniejszy śpiewak kubański sprzed rewolucji Benny More podziwiał ją, choć oprócz siebie nie zwykł nikogo specjalnie podziwiać.

Czas zniszczenia

Rewolucja i jej komunistyczny skręt po 1960 roku położyły kres temu światu cielesnej uciechy, którego muzyka i taniec były żywiołem. Kuba miała przestać być „burdelem Ameryki", ale w istocie szło o coś znacznie głębszego. Dla kubańskich komunistów, jak Che Guevara czy Fidel Castro, to była kultura burżuazyjnego rozpasania, mieszczańskiej degeneracji i symbol kolonialnego zacofania, który trzeba było pogrzebać i zbudować nową, postępową kulturę.

Jednak dla Kubańczyków muzyka i taniec były treścią życia znacznie bardziej niż są one dla narodów Europy anglosaskiej, germańskiej, skandynawskiej czy słowiańskiej. Zapewne dlatego Fidel Castro zachował się mniej pryncypialnie niż wykształceni na paryskiej Sorbonie kambodżańscy Czerwoni Khmerzy. Nie wyrwał muzyki z korzeniami, nie wymordował muzyków w obozach pracy i edukacji, lecz poprzestał na zduszeniu jej publicznego obiegu. Zakazał jej uczenia i uprawiania publicznie w państwowych salach, propagowania jej w radiu i telewizji, a muzyków pozbawił źródeł utrzymania. Wyrazem nowej socjalistycznej kultury wysokiej, do której mieli się podciągnąć zacofani Kubańczycy, stała się muzyka

klasyczna.

Nowa doktryna prawomyślnej kultury rewolucyjnej zniszczyła całe środowisko i styl życia muzyków. Znikły kabarety, kasyna, knajpy z salą taneczną i orkiestrami, całe naturalne środowisko tancerzy, instrumentalistów i śpiewaków. Skończyły się kontrakty z firmami fonograficznymi, rozgłośniami radiowymi. Upaństwowiono przemysł muzyczny. Bezrobotnym muzykom zajrzał w oczy głód. Zachowano tylko reglamentowany obiegiem „cepeliany", który służył dyktaturze za dyżurny skansen folklorystyczny dla zagranicznych gości. Na nadworną pieśniarkę „kulturki" pobocznej Fidel Castro wybrał Omarę Portuondo. Dla niej najważniejsze było: występować.

Reinaldo Ceballo opowiada, że śpiewała w zespole Manguare oraz solo. – Był wtedy taki antyimperialistyczny song „Nie, nie, nie, nie podda się nikt!" (*No, no, no, no se rinde nadie*). To ona go rozsławiła. Jeździła z nim po całym kraju. Była skromna. Jeździła bez fochów na występy do chłopów w Sierra Maestra, gdzie ledwo można było dotrzeć ciężarówką, żeby śpiewać na placach bez mikrofonów.

Czas nędzy

Innym muzykom powiodło się znacznie gorzej. Kiedy pod koniec lat 90. ubiegłego wieku zachwycano się żywotnością, werwą, humorem, radością życia tych wspaniałych muzyków z ich swingującymi nutami i pędzącymi rytmami z Buena Vista Social Club, nie zdawano sobie sprawy, że wcześniej przeżyli czas zapomnienia i nędzy, a wytrwali cudem, pod wiatr i pod prąd.

Rubén González, jeden z najwybitniejszych pianistów kubańskich, kilka lat po rewolucji musiał sprzedać pianino, a palcami zesztywniałymi od artretyzmu przeliczał papierosy, którymi handlował na ulicach Hawany.

Ibrahim Ferrer śpiewał od czasu do czasu w chórkach i opowiadał mi, że robił w tych latach „wszystko, co może robić mężczyzna": pracował jako stolarz, murarz, mechanik, malował domy, nosił worki z cukrem.

Compay Segundo spotykał się czasem w państwowym studiu Egrem w Hawanie z Omarą gwiazdą. Nagrywali wtedy razem i przekomarzali się. Raz, gdy dziwowała się, że Compay taki stary, a jeszcze chce występować, ten zdjął w studiu spodnie, by pokazać, że wciąż jest niczego sobie. Muzycy i technicy turlali się ze śmiechu.

– Od czasu do czasu, dwa razy w miesiącu, dawało się coś zagrać lub nagrać dla państwowych rozgłośni i wytwórni. Kiedy ubrani w oliwkowe mundury nowi szefowie kabaretu Tropicana dopuszczali na występy

wybranych muzyków, to był wielki przywilej – opowiada Reinaldo Ceballo.

Wielu nie zniosło upokorzenia i wykluczenia. Ci, co mogli, wyjechali. Wielu zrobiło karierę za granicą, głównie w USA.

Przez lata muzyki ludowej, jazzu i popu Kubańczycy słuchali z rozgłośni Guantanamo z amerykańskiej bazy wojskowej, a potem także z odbieranego na Kubie Radia Marti z Miami na Florydzie. Kiedyś tak w Polsce słuchano Radia Luxembourg.

Czas zapomnienia

Zakazany jazz ludzie przebrali w nowy gatunek – timbę. Muzyka była jazzowa, ale teksty albo aluzyjne, albo politycznie słuszne, z komendantem i rewolucją. – Niech wreszcie spadnie, niech spadnie, niech spadnie zielone mango! – śpiewała młodzież na festynach i potańcówkach, a wszyscy wiedzieli, że spaść ma rewolucja.

Kiedy w 1979 roku Juan Pablo Torres ściągnął do studia wytwórni Egrem trzydzieści dawnych gwiazd, nagrano w minimalnym nakładzie pięć płyt, których nigdzie nie można było kupić. Nie grało ich kubańskie radio. Wypłynęły rok później w Wenezueli, wśród nich album „Estrellas de Areito" z Pio Leiva, Arturo Sandovalem, Paquito D'Riverą, Rubénem Gonzálezem. Ten album zrobił światową furorę dopiero dwa lata po Buena Vista.

Kiedy byłem w Hawanie, w sklepach nie znalazłem płyt trębacza Arturo Sandovala. – Przecież on wyjechał – wzrusza ramionami sprzedawczyni. Jakby było rzeczą naturalną, że kto wyjechał, ten jest wymazany z kultury, na indeksie. Sandoval rzeczywiście uciekł do USA i dziś jest jednym z największych trębaczy jazzowych w Ameryce. Podobnie jak Paquito D'Rivera.

Można było tylko znaleźć jego dawne nagrania ze słynnym zespołem Irakere, który jako jeden z niewielu mógł grać jazz i tradycyjną muzykę kubańską. Irakere to jedna z koncesji kubańskiej dyktatury. W sklepie w Hawanie jest ich płyt ze trzydzieści. Przez zespół przewinęły się niemal wszystkie wielkie postaci średniego pokolenia, na czele z najwybitniejszym dzisiaj pianistą Chucho Valdésem, który był jej liderem. Ale już nagrań jego ojca Bebo, który wybrał wolność w Szwecji, nie było. Ani jego, ani jego wielkiego rówieśnika Rubéna Gonzáleza, mimo że obaj byli największymi pianistami przed rewolucją. Chucho Valdés musiał przełykać to upokorzenie codziennie. On, hołubiony, któremu wolno grać w najlepszych klubach USA, gdzie przede wszystkim zarabia, a jego ojciec i nauczyciel we własnym kraju nie istnieje, skazany na niebyt.

Czas upokorzeń

W Hawanie koniecznie chciałem pójść na koncert. Ale koncertów nie było. – Jak to, pytałem znajomych, którzy mnie wprowadzali w życie miasta. – Niemożliwe, żeby wieczorami w piątek czy sobotę nic się nie odbywało.

– Chyba że chcesz iść do nocnego klubu dla cudzoziemców. Będzie cię to kosztowało 5 dolarów.

– Jasne, chodźmy, dobre i to – mówię.

– Ale beze mnie – odpowiedział mój towarzysz.

To, że może posłuchać kubańskiej muzyki tylko wtedy, gdy go wprowadzi obcokrajowiec i zapłaci za niego niedostępną cenę 5 dol., było upokorzeniem nie do zniesienia.

Ja z kolei nie mogłem pójść bez niego, jak biały sahib, gdzie czarnych nie wpuszczają. Uparłem się, uprosiłem go i postawiłem na swoim.

Kiedy za pomocą mojego paszportu i dolarów pokonaliśmy komunistyczny apartheid i zasiedliśmy przy stolikach przed sceną, okazało się, że cała publiczność to zagraniczni turyści, dyplomaci lub biznesmeni oraz towarzyszące im miejscowe bujne, czarne piękności.

Band Havana Ensamble złożony z samych Mulatów zaczął grać ok. godz. 23. W miarę jak dudniły i pukały bębny, gwizdały i trąbiły blachy, kląskał i kwilił fortepian w tak niesłychanej zgodzie i harmonii, jakby dźwięki były poukładane w studiu, a nie wydobywane na żywo, bez nut i montażu, na twarzach muzyków perlił się pot, a mi oczy wychodziły na wierzch i dreszcze przebiegały po plecach. Około 3 nad ranem nikt nie siedział. Wszyscy kołysali się w półmroku w takt oszałamiającego rytmu, który dźwigał tyłki i nie chciał się skończyć. Nigdy niczego podobnego nie doświadczyłem.

Nie dowiedziałem się, ile z takiego występu mieli muzycy, a ile państwo. Ani ile upokorzeń kosztowało ich to, że mogli zagrać dla lepszej zagranicznej publiczności, ani ile goryczy, że nie mogą grać, kiedy chcą i ile chcą dla swoich rodaków.

Czas muzyki

Kiedy pytałem Omarę Portuondo o los kolegów artystów, którym nie powiodło się tak dobrze jak jej, prześlizgnęła się nad tym wyuczoną politgramotą: – Rubén nie miał pianina, bo w czasach amerykańskiej blokady

o wszystko było trudno.

Wiem, że Omara wie, że jej przyjaciel, wielki pianista, nie dlatego musiał sprzedawać na ulicy byle co, że Amerykanie nie pozwalali Kubańczykom kupować amerykańskich pianin. Lepiej ode mnie wie, że za słuchanie Radia Marti groziły represje. Ona wie także, że ja to wiem, ale musi tak mówić, bo taka jest cena koncesjonowanej sztuki, jaką uprawia.

Muzycy mogli nimi być tylko z państwowego nadania, z papierami. Tak jak poetą w Związku Sowieckim nie można było być bez zaświadczenia, co usłyszał od sędzi na swoim procesie późniejszy noblista Josif Brodski. Trzeba było na Kubie zdawać egzaminy przed komisjami kwalifikacyjnymi i należeć do państwowych zespołów muzycznych. Nielegalne publiczne wykonywanie zawodu, np. gra w knajpie, groziło konfiskatą instrumentów i zamknięciem lokalu.

Kwartet Las de Aida przetrwał rewolucję, występował aż do 1976 roku. Omara Portuondo nagrywała, występowała i podróżowała po świecie. Śpiewała to, co kazali, ale także to, co lubiła. Niechcący przeprowadzała muzykę kubańską przez Morze Czerwone. Była uprzywilejowana, ale robiła swoje na najwyższym poziomie. I kiedy za sprawą mody na Kubę son, danzon i bolero wróciły do łask, zajęła należne jej miejsce w Buena Vista Social Club. To niezwykłe, że artyści, którzy w tym samym czasie wegetowali, nie mają żalu, że ona żyła jak pączek w maśle. Bo najważniejsza jest muzyka.

Muzyka pokonała ostatecznie półwieczną kwarantannę na wyspie za sprawą płyty „Buena Vista" i filmu Wima Wendersa. Wyszli wówczas z cienia i zapomnienia m.in. 90-letni Compay Segundo, klarnecista i gitarzysta, 70-letni śpiewak Ibrahim Ferrer czy 90-letni pianista Rubén González oraz młodszy od nich o pokolenie gitarzysta Eliades Ochoa. Stało się to przede wszystkim dzięki kubańskiemu producentowi Juanowi de Marcos Gonzálezowi. To jemu przede wszystkim amerykański gitarzysta Ry Cooder i niemiecki reżyser Wim Wenders zawdzięczają odkrycie skarbu Buena Vista, a współczesna światowa publiczność przywrócenie do życia jej największych artystów.

Buena Vista zagrali na Kubie dopiero w 2000 roku. Przyjęcie było szalone. Czas zatoczył koło i kultura wróciła do siebie. Ibrahim Ferrer odżył i tuż przed osiemdziesiątką, w 2004 roku, został milionerem, kiedy jego solowa płyta zdobyła nagrodę Grammy.

Dziś Rubén González, Ibrahim Ferrer i Compay Segundo nie żyją. Omara dalej śpiewa.

– Wciąż masz ten sam głos, co czterdzieści lat temu. Niesłychane – kręci głową Reinaldo Ceballo. – Głos? A nogi to nie? – zrugała go diva.

REWOLUCJE NIE TRWAJĄ PÓŁ WIEKU

Rozczarowanie

W dzisiejszej Kubie nie da się rozpoznać arki, która miała przewieźć znękanych dyktaturą mieszkańców, a z nimi tzw. postępową ludzkość, przez potop po krachu komunistycznego mitu do nowego raju

Wieczorem 9 października 2008 roku w sali Casa de las Americas przy alei Castellana w Madrycie ustawiono naprzeciw siebie dwa fortepiany Steinway. Długo przed ósmą na ulicy wiła się kolejka chętnych do wejścia. Dla tych, dla których zabrakło miejsca w głównej sali, przysposobiono boczny pawilon i telebim. Ale i tak ciżba tłoczyła się na stojąco, kiedy na salę weszli Bebo Valdés, lat 90, geniusz fortepianu, legendarny aranżer muzyki kubańskiej z lat 40. i 50., i Chucho Valdés, lat 67, wirtuoz, pożądany jak żaden inny współczesny pianista przez amerykańskie kluby jazzowe i firmy płytowe. Bebo to ojciec, Chucho to jego syn.

Zaczęła się uroczysta promocja pierwszej wspólnej płyty ojca i syna. Obaj eleganccy i promienni, gwarzyli o muzyce, rodzinnych wspomnieniach i artystycznych fascynacjach. Żartowali, przekomarzali się, a publiczność słuchała zachwycona.

Pewnie nie tylko ja zauważyłem, że mówią o wszystkim z wyjątkiem jednej rzeczy. Omijają to, co działo się przez ostatnie 50 lat w ich kraju. Bebo od początku lat 60. mieszka w Szwecji, dokąd wyjechał po rewolucji w 1959 roku. Chucho został. Kiedy ojciec wyjeżdżał, syn nie chciał go pożegnać na lotnisku. Bebo nie chce wrócić na wyspę, póki będzie tam komunizm. Chucho podpisuje wiernopoddańcze listy w obronie rewolucji, ale pół życia spędza na koncertach i nagraniach w USA i Europie, gdzie zarabia garść dolarów dla siebie oraz wór dewiz dla reżimu, któremu oddaje większość honorariów. Ojciec i syn od dziesięcioleci żyją po dwóch stronach barykady. Kiedyś spotykali się niemal potajemnie. Po raz pierwszy od wyjazdu Bebo w 1959 roku widzieli się 20 lat później, gdy Chucho wyjechał na pierwsze występy zagraniczne jako lider legendarnej grupy Irakere. Teraz nagrali płytę, pojadą razem w trasę po Hiszpanii, ale o kraju, który ich dzieli, wspominają, jakby był jakąś wyśnioną krainą wyzbytą cech współczesnych, materialnych.

Po godzinie wstają i idą do fortepianów. Syn prowadzi pod rękę chwiejnie stąpającego ojca. Siadają naprzeciw siebie i po chwili ze steinwayów tryska kaskada nut. Soczystych, odmierzanych jak krople spod chudych palców ojca i zawrotnie perliście prędkich spod grubych, ale chyżych paluchów syna. Dwie strugi dźwięków płyną jedną falą, gonią się, przeplatają, zderzają się, rozbiegają i wracają. Nawałnica muzyki, jakby grali ze sobą całe życie.

„Juntos para siempre" (Razem na zawsze) – brzmi tytuł płyty. 9 października to w dodatku dzień urodzin obu – i ojca, i syna.

50 lat osobno, a teraz już zawsze razem? Przecież to parabola losów współczesnej Kuby – pomyślałem sobie. Pojednanie tragicznie rozerwanej rodziny, kultury narodowej, więcej: samego narodu. Ostateczny pogrzeb promiennej niegdyś rewolucji 1959 roku oraz zimnej tyranii, w jaką ją obrócił w kilka lat megalomański szał dyktatora Fidela Castro. Zwycięstwo życia, ducha, ludzkiej swobody, radości i twórczości nad bezruchem ideologicznych dogmatów i zniewoleniem. Świadczy o tym muzyczna harmonia obu wirtuozów, ich żywa mimo dziesięcioleci rozłąki więź uczuciowa. A także ich wspólne milczenie o ojczyźnie. Symboliczny koniec półwiecznego koszmaru, jaki przeżyła wyspa, którą według Maxa Frischa zamieszkiwali najpiękniejsi i najpogodniejsi ludzie na świecie. Chyba nadal tacy są. I to oni w końcu pogrzebią tę rewolucję-satrapię. Oby.

Odważanie blasków i cieni półwiecznego panowania Fidela Castro nie ma dziś sensu. Bilans 50-letniej dyktatury jest czarny.

Rewolucja-dyktatura wygnała z kraju około miliona mieszkańców. Najpierw byli to dygnitarze i słudzy Batisty, potem ziemianie, fabrykanci

i wszelcy posiadacze, katolicy, konserwatyści, liberałowie, homoseksualiści, dalej: rozczarowani dogmatycznym komunizmem i jedynowładztwem wodza rewolucjoniści, towarzysze broni ze świata mediów i kultury, wreszcie setki tysięcy zwykłych sponiewieranych życiem Kubańczyków, którzy wyrywali się z więzienia przez morze na byle czym, byle dotrzeć do brzegów Florydy.

Jedna piąta narodu kubańskiego żyje na emigracji. To ta emigracja utrzymuje resztę narodu mieszkającą na wyspie. Bez milionów dolarów przysyłanych przez rodziny żyjący od pół wieku w reżimie kartkowym Kubańczycy nie mogliby związać końca z końcem.

W 1958 roku PKB Kuby dawał jej trzecie miejsce w Ameryce Łacińskiej. Dziś jest na 21. Dług zewnętrzny wzrósł ze 100 mln do 16 mld dol. Deficyt w handlu zagranicznym z 39 mln do 10 mld. W 1958 roku na 6 milionów Kubańczyków przypadało najwięcej sztuk sprzętu domowego i najwięcej kilometrów linii kolejowych w Ameryce Południowej. Byli drugim na zachodniej półkuli krajem pod względem liczby samochodów, radioodbiorników i telewizorów. Było tu tyle samo sztuk bydła co mieszkańców. Dzisiaj, kiedy na wyspie mieszka 11 milionów ludzi, jedna sztuka bydła przypada na sześciu Kubańczyków. Kubańczyk zjadał wtedy 40 kg wołowiny rocznie, mniej tylko od Argentyńczyka i Urugwajczyka, którzy słyną z masowej hodowli najlepszych krów na świecie. Dziś wołowiny nie ma prawie wcale, za nielegalny ubój krowy grozi więzienie, więc wieśniacy pozorują wpadnięcie zwierzęcia pod koła pociągu. Kuba żywiła się w 80 proc. sama, dzisiaj 80 proc. żywności sprowadza z zagranicy, a połowa ziemi uprawnej leży odłogiem. Kuba produkowała cztery razy więcej cukru. Kwitła wolna prasa. Dziś są dwie jednobrzmiące komunistyczne gazety. Do internetu ma dostęp 2 proc. ludności – mniej niż na Haiti, w Dominikanie i Gwatemali.

Kogo pociesza, że w komunizmie znikła nierówna dystrybucja bogactwa, gdy do 8 proc. obywateli należało 70 proc. ziemi? Co z tego, że przed rewolucją tylko mniejszość gospodarstw miała bieżącą wodę, łazienkę lub lodówkę? Podobnie było w innych ówczesnych społeczeństwach przechodzących z kultury agrarnej do przemysłowej. Nikt nie wie, jaka dziś przepaść dzieli wszechwładną nomenklaturę komunistyczną od reszty poddanych.

Nie do obrony są domniemane osiągnięcia rewolucji – powszechna i darmowa służba zdrowia i edukacja. Brakuje lekarstw, szpitale sypią się w proch, a rodziny pacjentów muszą same dbać o pościel i wyżywienie. Edukacja to ideologiczna indoktrynacja, jak wzięty z Orwella łomot Ministerstwa Prawdy, którego rozbrat z rzeczywistością współczesnego świata jest całkowity. Formalnie milion Kubańczyków ma wyższe wykształcenie. Ale

co z niego wynika poza głodową pensją, tym samym przydziałem na kartki, takim samym brakiem możliwości zawodowego rozwoju?

Kult najwyższego wodza Fidela Castro dorównuje tylko kultowi Stalina, Nicolae Ceauşescu czy Mao Zedonga.

– Ochrona Fidela to ochrona całej rewolucji. Fidel jest skarbem naszej ojczyzny, sednem procesu rewolucyjnego – mówił 30 lat temu wiceprezydent i dygnitarz komunizmu Carlos Rafael Rodriguez.

Jego córka, Anabel Rodriguez, mieszka w Madrycie i redaguje wybitne pismo emigracyjne „Encuentro de la Cultura Cubana", które jest kubańskim odpowiednikiem „Kultury" Jerzego Giedroycia. Na jego łamach Kubańczycy z emigracji i z kraju odkłamują załgane przez dyktaturę dzieje kraju, na nowo odkrywają bogactwo artystyczne i kulturalne Kubańczyków, odbudowują jedność kultury narodowej, przerzucają kładki między Kubańczykami na całym świecie.

„Lepiej umrzeć za Fidela, niż żyć bez niego" – dławi się tymczasem wzruszeniem w jednej z dwóch komunistycznych gazet podpułkownik Pedro Socarras, który jest ochroniarzem dyktatora, od kiedy skończył 17 lat.

W 2006 roku oficjalny dziennik reżimu „Granma" wydrukował taki tekst: „Grecy wierzyli, że Słońce podróżuje po niebie rydwanem. Egipcjanie – że statkiem pchanym wiatrem. A my, kubańscy patrioci, wiemy doskonale, że Słońce nosi oliwkowy mundur, buty niestrudzonego zdobywcy górskich szczytów i marzeń oraz ma duszę partyzanta wypełnioną ideałami sprawiedliwości".

Mimo że ponad 70 proc. Kubańczyków urodziło się już po rewolucji i nie zna innego życia niż to, w którym ich szczęśliwego snu strzeże „Gladiator Prawdy i Gigant Szczęścia", młodzi Kubańczycy marzą tylko o ucieczce z wyspy. W plebiscycie, który im od pół wieku narzuca tyran – „Patria o muerte!" (ojczyzna albo śmierć) – głosują wiosłami, wybierając często śmierć. Przez 50 lat zginęło ich na morzu ok. 50 tysięcy. Rocznie około 3 tysięcy rwie się do nieznanego świata „jankeskiego imperializmu", którego rzekomo groźne widmo jest najgłębszą ideologiczną racją bytu kubańskiej dyktatury bałamutnie zwanej rewolucją.

Po zbiorowym szoku, jakim dla wielu ludzi na całym świecie była demaskacja zbrodni stalinizmu na XX zjeździe KPZR w 1956 roku, zwycięski szlachetny poryw garstki buntowników przeciw wojskowej dyktaturze był wskrzeszeniem nadziei na rewolucję. Taką, która nie pożre swoich dzieci i nie pogrzebie samej siebie pod stosem trupów, nie zmieni się w tyranię. Na Kubie miało być wreszcie inaczej niż w ZSRR, demoludach czy maoistowskich Chinach. Wierzyli w to wybitni Latynosi, jak Gabriel Garcia

Marquez i Plinio Apuleyo Mendoza, którzy w 1957 roku pojechali samochodem na wycieczkę m.in. do Polski oraz ZSRR i wrócili pokonani i przekonani, że „to nie o to chodzi"; jak Octavio Paz, Mario Vargas Llosa, Carlos Fuentes czy Julio Cortazar. Wierzyli wybitni Europejczycy, jak Jean-Paul Sartre czy Günter Grass.

Dzisiejsza Kuba to przegniły wrak. Nie da się w nim rozpoznać arki, która pół wieku temu miała przenieść znękanych dyktaturą Kubańczyków, a z nimi całą tzw. postępową ludzkość, przez potop po krachu komunistycznego mitu ku nowemu rajowi.

Miraż więdł wolno, lecz nieubłaganie przez kolejne 50 lat. Zrazu podtrzymywał go surowy klimat zimnej wojny. Wizerunek Ameryki walczącej w Wietnamie, zbrojnie narzucającej swoje rządy w Gwatemali, wspierającej dyktatury na Dominikanie czy w Nikaragui, a potem w Brazylii, Chile czy Argentynie, szkolącej elity mundurowe krajów latynoskich w doktrynie bezpieczeństwa narodowego i wojnie przeciw komunistycznemu zagrożeniu. Kuba miała być przykładem drogi ani niezmierzającej ku ortodoksyjnemu komunizmowi, ani niewpadającej w wyjeżdżone koleiny prawicowych, wojskowych, populistycznych dyktatur. Ten sztywny dylemat albo-albo, na który zdawały się skazane kraje Trzeciego Świata, sprawiał, że brak demokracji parlamentarnej i pluralizmu politycznego na Kubie traktowano jak drobną rysę, przejściowy brak luksusowego dobra, równoważony przecież z nawiązką obfitością dóbr podstawowych, jak chleb, szkoła czy szpital.

Rzesze stronników jednak stopniowo rzedły. Zaciskano zęby, kiedy zaraz po rewolucji Fidel Castro skazywał na 20 lat więzienia własnych towarzyszy broni i kiedy na początku lat 60. reżim uzasadniał cenzurę bałamutnym sloganem-szantażem: „Wewnątrz rewolucji – wszystko, poza rewolucją – nic". Zgrzytano tylko zębami, gdy w połowie lat 60. uciekali z wyspy wybitni intelektualiści, jak Guillermo Cabrera Infante czy Carlos Franqui.

Pierwszy wielki wstrząs przyszedł w 1968 roku, kiedy Fidel Castro poparł interwencję wojskową Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Drugi – w 1971 roku. Dla świata aresztowanie za wywrotową działalność wybitnego poety Heberto Padilli w odwecie za tom poezji „Provocaciones" oraz zmuszenie go do upokarzającej publicznej samokrytyki było jak powtórka stalinowskich procesów lat 30. Castro pod naciskiem międzynarodowym wypuścił Padillę z więzienia, ale z Kuby nie pozwolił mu wyjechać do 1980 roku.

Kolejnym, choć rozciągniętym w czasie rozczarowaniem była zupełna komunizacja Kuby w latach 70. i 80. Wyspa przeszła na utrzymanie Związku Sowieckiego, a Castro ogłaszał a to, że Kuba zbierze 10 mln ton cukru, a to, że wyhoduje najmleczniejszą albo najbardziej mięsną krowę świata, a to

zbrojnie zaniesie płomień wolności do Afryki lub sąsiadów w Ameryce Łacińskiej.

Potem przyszedł opór, jaki w imię komunistycznej prawomyślności Fidel stawił powszechnie popieranej na świecie radzieckiej pierestrojce. W 1989 roku zakazał na wyspie sprzedawania pism „Moskowskije Nowosti" i „Sputnik". „Granma" oskarżyła je o „propagowanie anarchii pod pozorem wielości opinii" oraz o „apologię demokracji burżuazyjnej jako najwyższej formy udziału ludu w rządach, także o fascynację amerykańskim modelem życia".

I szok, kiedy w tym samym 1989 roku Fidel Castro kazał rozstrzelać gen. Arnaldo Ochoę i płk. Tony'ego de la Guardię, swoich najlepszych i najbardziej zaufanych dowódców, których oskarżył o zdradę ojczyzny, czyli szmugiel kokainy do USA. To była kubańska miniaturowa, choć tak samo bestialska replika stalinowskich czystek w armii. Tym bardziej perwersyjna, że tajne kokainowe interesy kubańscy wojskowi z kolumbijskim kartelem Pabla Escobara robili na zlecenie samego Fidela Castro. Uśmiercając ich, dyktator desperacko próbował ocalić własny wizerunek.

Jeszcze później, zaraz po rozpadzie ZSRR i cofnięciu sowieckich dotacji, Fidel Castro mężnie stawił czoła upadkowi komunizmu. Zmusił Kubańczyków do wytrwania w coraz głębszej nędzy przez kolejną dekadę. Dyktatura przetrwała upadek światowego komunizmu, a dziesięć lat później koło ratunkowe rzucił jej Wenezuelczyk Hugo Chavez, który zapatrzony w swego sędziwego mistrza i wzbogacony manną naftową przejął rolę sponsora upadłego kubańskiego komunizmu.

Aż w 2003 roku, w cieniu amerykańskiej inwazji na Irak, dyktator sam dobił ostatecznie mit „lepszego ustroju mimo wszystko". Pamiętnej czarnej wiosny skazał na śmierć trzech młodzieńców, którzy chcieli uciec porwaną łódką na Florydę, oraz na wiele lat więzienia 75 niezależnych dziennikarzy i dysydentów.

Czarnej wiosny nie zdzierżyli przedostatni zwolennicy mitu rewolucji, m.in. laureat literackiego Nobla José Saramago. Przy strupieszałej dyktaturze wytrwał Gabriel Garcia Marquez, dla którego Castro sprowadzał na pieczeń antylopy od swego przyjaciela z Zimbabwe Roberta Mugabego, i Francuz Ignacio Ramonet, który drukuje w rozmowach rzekach rojenia 82-letniego dyktatora.

Jak dowodzić, że wszystko, czym jest dzisiejsza Kuba, to wypaczenia, za którymi kryje się sprawiedliwy ład społeczny, który mimo wszystkich swoich wad jest zasadniczo lepszy niż demokracja, wolny rynek, kapitalizm? Jak bronić masowych egzekucji bez sądu dokonywanych na stronnikach

obalonego reżimu na rozkaz herosów rewolucji Raúla Castro i Ernesta Che Guevary, których ofiarą padło w sumie ok. 7 tysięcy ludzi? Na Kubie jest ponad 200 ciężkich więzień. Straszny Batista miał ich 14.

Haniebną publiczną rozprawę z komendantem Huberem Matosem w 1959 roku, którą osobiście kierował Fidel Castro, świat odżałował dziwnie szybko. Nie krzyczał, że tzw. rewolucyjna sprawiedliwość to nie sąd, lecz polityczny lincz. A przecież zaledwie kilka lat wcześniej Fidel Castro był więźniem dyktatora Fulgencio Batisty. Siedział skazany za zbrojną próbę zdobycia koszar Moncada pod Santiago de Cuba w 1953 roku w tym samym więzieniu na Isla de Pinos, dokąd potem wysłał swojego towarzysza broni Matosa. Niespełna dwa lata, które tam spędził Castro, zanim został ułaskawiony, bardziej podobne były do pobytu w sanatorium niż do więzienia. Czytał książki, dyskutował z kolegami o rewolucji, gotował spaghetti, niemal bez przeszkód kontaktował się ze światem i przygotowywał do dalszego obalania dyktatury. Kiedy sam doszedł do władzy, uznał, że tak nieroztropnie i humanitarnie lepiej więźniów nie traktować. Pozostał wierny temu postanowieniu przez następne pół wieku. Raz jeszcze potwierdziła się zasada, że choć demokracje od siebie wiele się nie uczą, to reżimy autorytarne, owszem, doskonalą sposoby rozprawiania się z przeciwnikami.

Kto zechce jeszcze trwać przy zmurszałym pretekście, że nędza komunistycznej Kuby spowodowana jest tzw. amerykańską blokadą, skoro bez przeszkód handlują z dyktaturą Kanadyjczycy, Francuzi, Włosi czy Hiszpanie, a sama Ameryka dostarcza blisko 40 proc. kubańskiej żywności, pod warunkiem że rząd zapłaci za nią gotówką? Kto zechce liczyć straty, na jakie gospodarkę Kuby naraziło embargo handlowe USA, zamiast liczyć zapaść, w jaką wpędziło ją 50 lat komunizmu i butnej indolencji dyktatora?

Kto odważy się wspominać, jak to Hawana miała być kiedyś burdelem USA? Budżet upadającej dziś dyktatury łatają miliony zdyszanych europejskich samców przybywających w pościgu za ciałami tanich jak kolacja w hotelu czy para majtek kubańskich Mulatek, dla których seks z obcokrajowcem jest szansą na odmianę codziennego parszywego losu. Nawet sam dyktator, wielki mag propagandy, nie był w stanie zaprzeczyć, że prostytucja na Kubie jest powszechna. Przyparty do muru odrzekł, że dzisiejsze Kubanki handlujące ciałem mają za to wyższe wykształcenie.

Choć tyran traktuje naród kubański jak glinę, z której lepi swój pomnik, żyją na Kubie ludzie odwróceni plecami do propagandy i bezpieki. Młodzi mieszkańcy hawańskiego przedmieścia Alamar z dokumentu „Alamar Express" Patrycji Satory odnajdują się nawzajem jako sąsiedzi i bliźni, bez pośrednictwa państwa i jego służb. Wbrew wszędobylskim komitetom obrony

rewolucji, na czele których stoją ubecy, karierowicze lub zwykli bandyci, rzeźbią, piszą wiersze, śpiewają piosenki, robią happeningi i kręcą filmy. Na rumowisku, w jakie Kubę zamieniła dyktatura komunistyczna, zbierają skorupy swojej godności i wolnego ducha. Są dowodem, że życie i człowiek są silniejsze od systemu i ideologii. Oni odbudują Kubę.

– Jak mamy mówić: oto moja ojczyzna, skoro od ojczyzny nic nie dostajemy? Ojczyzna mnie nie utrzymuje, w mojej ojczyźnie mrę z głodu. Toż to nie ojczyzna! Może ojczyzna niewielkiej garstki, ale na pewno nie ludu (oklaski). Ojczyzna to miejsce, gdzie nie wyzyskuje się obywatela, bo jeśli się to czyni, jeśli mu się odbiera to, co do niego należy, to nie jest to ojczyzna. Tragedia naszego ludu na tym właśnie polega, że nie ma ojczyzny. I najlepszym tego dowodem jest to, że dziesiątki tysięcy dzieci tej ziemi wyjeżdżają z Kuby, żeby móc żyć, do innych krajów. I nie wyjeżdżają wszyscy, którzy by chcieli, lecz ci nieliczni, którzy mogą. A zatem trzeba naprawić republikę. Bo albo coś tu się nie zgadza, albo nic się nie zgadza. (Okrzyki: wszystko!).

Jakiż lokaj imperializmu, najemnik, zdrajca, kontrrewolucjonista, glista, mafioso, terrorysta czy agent – jak Fidel zwykł określać ludzi, którzy w lustrze zamiast niego mają czelność widzieć samych siebie – to powiedział? To słowa Fidela Castro wygłoszone 4 stycznia 1959 roku na wiecu w Camaguey po drodze z Santiago de Cuba do Hawany, gdzie brodaci komendanci wjechali na tankietkach cztery dni później. Te słowa dopadły sędziwego satrapę po 50 latach. To o nim. Ale on ich już nie słyszy.

Nie słyszy też słów Yoani Sánchez. Ta młoda Kubanka prowadzi internetowy dziennik z życia Kuby. W ubiegłym roku dostała za niego prestiżowe nagrody i miejsce na liście najbardziej wpływowych kobiet „Time". Tuż przed rocznicą rewolucji 1959 roku napisała w blogu:

„Rewolucje nie trwają pół wieku – mówię tym, którzy mnie pytają. Rewolucje same się pożerają albo przeistaczają w tyranię, władzę i bezruch. Kiedy chcą się uwiecznić, gasną. Umierają, gdy chcą trwać bez zmian.

To, co zaczęło się tamtego 1 stycznia, według wielu od lat leży pod ziemią. Można tylko dyskutować, kiedy odbył się pogrzeb. Dla mojego męża Reinaldo rewolucja zmarła w sierpniu 1968 roku, gdy nasz brodaty przywódca klaskał, jak czołgi wjeżdżały do Pragi. Moja mama uznała, że umarła wtedy, gdy zapadał wyrok śmierci na generała Arnaldo Ochoę. Ci, którzy jeszcze się upierali, że żyje, usłyszeli jej ostatnie tchnienie w marcu 2003 roku pośród aresztowań i procesów.

Ja ją poznałam, jak już była martwa. W roku 1975, kiedy się rodziłam, sowietyzacja wytępiła wszelką żywiołowość i nic nie zostało z buntu,

na który powoływali się starsi. Nie było już długich włosów ani zapału, tylko czystki, podwójna moralność i donos. Szkaplerze, z którymi zeszli z gór, były już zakazane, a sami żołnierze z Sierra Maestra byli narkomanami władzy.

Potem było już tylko długie czuwanie przy zapalonych świecach po tamtym marzeniu, które tylu za sobą pociągnęło, po tym, co mogłoby być, ale nie było. W kolejnym styczniu nieboszczka ma kolejną rocznicę śmierci. Będą kwiaty, pieśni i okrzyki, ale nic jej nie przywróci do życia. Zostawcie ją, niech spoczywa w spokoju, a my zabierzmy się do nowego rozdziału. Krótszego, mniej pompatycznego, bardziej wolnego".

HYDRAULIK I GOLIBRODA RATUJĄ KOMUNIZM NA KUBIE

Desperacja

„Przez pół wieku społeczeństwo żyło z państwa komunistycznego. Teraz Raúl Castro chce, by państwo zaczęło żyć ze społeczeństwa" – orzekł emigracyjny pisarz i historyk Carlos Alberto Montaner

Castro ogłosił dekret, w którym wymienił 178 zajęć, jakim będą się mogli oddać Kubańczycy. Lista jest pomnikiem cechowo-komunistycznej mentalności władcy, który zezwala na pracę na własny rachunek m.in.: fryzjerom i golibrodom, ślusarzom i stolarzom, murarzom i krawcom, szklarzom i babciom (dziadkom) klozetowym, szewcom, nauczycielom muzyki i wszelkich najwęższych nawet specjalności, handlarzom i mechanikom od naprawiania różnych, pieczołowicie wymienionych sprzętów, elektrykom, ogrodnikom, fotografom, pucybutom, masażystom, treserom, ale i opiekunom do dzieci, stroicielom instrumentów muzycznych, sprzedawcom wody pitnej, wypożyczającym stroje, wodzirejom i pajacom na zabawach i festynach, mulnikom, karykaturzystom, tancerzom ulicznym, błaznom, a nawet dandysom,

obieraczom świeżych owoców, właścicielom wózków ciągniętych przez zwierzęta do przewozu dzieci itd.

Skutek jest zdumiewający i dobrze oddaje różnicę między pogrążoną w martwocie nomenklaturą a budzącym się do życia społeczeństwem.

Zagraniczni dziennikarze przeprowadzili na ulicach Hawany i innych miast sondaże wśród Kubańczyków. Do dzisiaj żadne z ministerstw rządu, zatrudniającego oficjalnie 84 proc. Kubańczyków w wieku produkcyjnym, nie zdołało sporządzić list ludzi do zwolnienia, nie mówiąc już o rozpoczęciu samych zwolnień. Ludzie nadal biorą pensje, choć wielu i tak od dawna nie chodzi do pracy, bo nie ma co robić – tak jak Yordan Rodríguez, który od czterech miesięcy nie chodzi do huty, bo nie ma tam rudy do przerobu. Ale oficjalnie wciąż nie jest bezrobotny i nadal dostaje co miesiąc pensję, średnio 20 dol.

Tymczasem na początku stycznia 2011 roku 100 tys. Kubańczyków złożyło wnioski i dostało pozwolenie na działalność gospodarczą na własny rachunek. Szare ulice Hawany zabarwiły się ręcznie malowanymi szyldami zakładów fryzjerskich, warsztatów naprawczych i knajp. Ni stąd, ni zowąd kolorowe plandeki i parasole rozwijają się nad dziedzińcami czy przedsionkami kamienic, gdzie sprzedawcy proponują soki lub skwarki wieprzowe. Ich sąsiedzi chcą naprawiać lodówki, rowery czy buty.

Marisela Alvarez, szkolna bibliotekarka, i jej mąż Iván Barroso mają pozwolenia na kawiarnię i sprzedaż mięsa oraz ryb. Pani Alvarez stoi nad elektrycznym rusztem przed swoim domem i piecze naleśniki z wieprzowiną i tuńczykiem za 60 centów sztuka. – Jak jesteś sprytny i wytrwały, to powinno ci się udać – mówi Barroso.

Pani Yodani wolno odnajmować dwa pokoje w domu. Płaci 243 dol. podatku niezależnie od tego, czy uda jej się wynająć, czy nie. Ale się nie poddaje. – Niektórzy sądzą, że Kuba zaraz stanie się Szwajcarią. To niemożliwe. Jednak zmiany są dobre, dają nowe możliwości.

„Zaczęliśmy odzyskiwać zapomniane zapachy, smaki, recepty, widoki, towary. Kaftan bezpieczeństwa, który krępował ludzką inicjatywę, został poluzowany" – pisze z Hawany w słynnym blogu Yoani Sánchez. „Mimo lęku wielu z nas, że jak w latach 90. reformy zostaną cofnięte, mimo wciąż zbyt wysokich podatków i braku legalnego handlu hurtowego nowych przedsiębiorców już widać. Większość wierzy, że tym razem zaczynają na dobre, bo ustrój stracił zdolność do walki z nimi".

Juan Carlos Montes już miał prywatną restaurację – za poprzedniej odwilży, gdy upadek Związku Sowieckiego odebrał Kubie 5 mld dol. rocznych dotacji. Po dziesięciu latach restaurację zamknęli mu skorumpowani urzędnicy.

Dzisiaj jest wstrzemięźliwy. – Nie ma jak rozwinąć interesu. Stolarz nie ma drewna, elektryk – kabla, hydraulik – rurek, a w sklepach nie ma mąki – opowiada dziennikarzom. – To skąd w takim razie te wszystkie pizzerie? Ano, skupują to, co inni ukradną w państwowych piekarniach.

– To absurd, że dają ci pozwolenie na pracę, ale nie dają dostępu do materiałów – mówi Juan Pablo Chavez, który otworzył w dzielnicy Vedado w Hawanie warsztat stolarski. – Przecież Kuba się wali. A my moglibyśmy pomóc ją odbudować.

Ale tu jest pies pogrzebany. Bo nie wiadomo, czy bracia Castro reperują komunizm, by go zachować, czy też reformują go gospodarczo, by zachować jedynie polityczną kontrolę – jak w Chinach od czasów Deng Xiaopinga.

Apokaliptyczny ton, jakiego od kilku lat używają w swoich wystąpieniach Fidel i Raúl Castro, gdy mówią o „katastrofie", „klęsce" czy „przepaści", przed którymi trzeba uchronić rewolucję, wskazuje, że model chiński ich szczerze kusi. Ustanowiona w 2010 roku dożywotnia dzierżawa ziemi przez rolników i otwarcie drogi prywatnej przedsiębiorczości w 178 dziedzinach oraz zapowiedzi kredytów i legalizacji prywatnego hurtu podpowiadają, że reżim naprawdę chce oprzeć gospodarkę na drugiej, prywatnej nodze, choć zaklina się, że socjalizmu nigdy i za nic się nie wyrzeknie. Tym bardziej że zmiany ma zatwierdzić zjazd Partii Komunistycznej niezwoływany od 13 lat.

Ale zburzenie wszechwładnego w gospodarce państwa i odbudowa, nawet jeśli częściowa i stopniowa, prywatnej przedsiębiorczości nie oznaczają powrotu do ratunkowych recept po upadku ZSRR, lecz raczej do czasu sprzed 1968 roku, kiedy to Fidel Castro upaństwowił Kubę, to znaczy to, co jeszcze nie było upaństwowione, czyli drobną przedsiębiorczość. Wtedy skończyły się mrzonki światowej lewicy, że tropikalny i radosny socjalizm będzie się różnił od sowieckiego, chińskiego czy koreańskiego.

Taki piruet to zaprzeczenie całej historii rewolucji wbijanej poddanym w niekończących się tyradach Fidela Castro. To zerwanie z dogmatem powszechnej równości wywłaszczonych obywateli, z dogmatem wszechwładzy państwa dającego podłą, ale darmową edukację i opiekę zdrowotną, z dogmatem, że prywatna przedsiębiorczość odrodziłaby kapitalizm i wyzysk. To wyrzeczenie się „nowego człowieka" komunizmu. To ideologiczna abdykacja.

Fidel Castro przyzwyczaił siebie i publiczność, że wolno mu na wyspie wszystko. Ale czy może ogłosić, że on – przywódca najbardziej suwerennego reżimu na świecie, którego ani nie zmógł wróg USA, ani nie przekonał sojusznik ZSRR – błądził zasadniczo i musi zawrócić? Czy może się wyciągnąć

z trzęsawiska?

Castro jest oczytany i nie tylko z Tocqueville'a, ale i z doświadczenia wie, że ancien régime upadają wtedy, gdy zaczynają się zmieniać. Tak było w Chile Pinocheta w latach 80. i tak było za pierestrojki Gorbaczowa w ZSRR. Castro zęby zjadł na sprawowaniu totalitarnej władzy, przeżył spiski i zamachy, a także liczne dyktatury w Ameryce Łacińskiej i na świecie, więc z duszą na ramieniu patrzył na upadające reżimy arabskich autokracji i z nadzieją na komunistyczne Chiny, gdzie kapitalistyczna burza i napór nie naruszyły dotąd struktury partyjnego państwa.

Bunty w arabskiej Afryce Północnej wywołały przemoc i korupcję władz, ale też wielkie bezrobocie, brak perspektyw indywidualnego rozwoju, drożyznę, marazm. Tego wszystkiego Kuba ma w nadmiarze. Jest się czego bać.

– Oni chcą zmienić ustrój zupełnie – uważa Arturo López-Levy, kubański ekonomista, który wyjechał do USA i wykłada na uniwersytecie w Denver.

Héctor Palacios, socjolog, dawny minister, weteran opozycji demokratycznej, wieloletni więzień i publicysta, nie wierzy: – Musiałoby upłynąć wiele czasu, żeby reżimowi udało się to tak załatwić, jak sobie życzy. Jedynym realnym rozwiązaniem byłoby ustanowienie państwa prawa i zliberalizowanie gospodarki. Narody wytrzymują dużo, ale na Kubie już nie da się dłużej.

Kubańczycy nie są Chińczykami. Nie wyrośli w tysiącletniej kulturze posłuszeństwa władzy. W krwawej wojnie o niepodległość w II połowie XIX wieku wypędzili Hiszpanów. W I połowie XX wieku zaznali niepełnej, bo kontrolowanej przez USA suwerenności, ale i rządów republikańskich, wyborów demokratycznych, przerywanych buntami i usiłowaniami ustanowienia dyktatury, a w 1940 roku dopracowali się porządnej demokratycznej konstytucji. To jej przywrócenie obiecywał powstaniec Fidel Castro, kiedy zbuntował się przeciw dyktaturze Fulgencio Batisty. Dyktatura Castro ustanowiona w 1959 roku z pewnością głęboko przeorała kubańską kulturę – indywidualistyczną, demokratyczną, a nawet anarchistyczną. Ale mimo wieloletniego prześladowania ducha niezależności dyktatura nie odcięła Kubańczyków od świata.

Jedna piąta Kubańczyków mieszka dziś za granicą. Wszędzie stanowią zwartą, prężną, przedsiębiorczą i pracowitą społeczność. Żyją zwłaszcza w USA, Kanadzie i Hiszpanii, w kulturach demokratycznych. Z rodzinami na wyspie niemal wszyscy utrzymują kontakty, a ich pomoc idzie w setki tysięcy dolarów rocznie. Teraz, kiedy wiedzą, że pieniądze przydadzą się rodzinom do rozwinięcia prywatnego biznesu, będą wysyłać więcej – rząd

Obamy zniósł ograniczenia w tych transferach, a reżim w Hawanie dotychczasowy podatek od nich.

Dla uchodźców w Miami czy Hiszpanii Kuba to wciąż ojczyzna. Marzą o powrocie do niej, kiedy komunizm upadnie. Ich nacisk i inwestycje krajów demokratycznych, które pojawią się na potrzebującej wszystkiego zrujnowanej Kubie, sprawią, że Kubańczycy zażądają wolności i praworządności. Chiński wariant będzie nie do utrzymania.

Kuba nie jest Chinami także w tym sensie, że nie może zaoferować takich możliwości robienia interesów, by skuszony tym Zachód przymknął oczy na deptanie praw człowieka. Chiński kapitał jest dzisiaj tak potężny, że nie tylko zasypuje świat tanimi produktami – od bawełny po elektronikę komputerową – ale także to on wykupuje wszystko, co na świecie jest do kupienia, od amerykańskiego długu po afrykańskie i południowoamerykańskie kopalnie i koncerny.

Kuba nie produkuje nic prócz niklu i cygar, jej kapitał nie istnieje, a zniszczały majątek może wykupić na pniu kilkanaście dużych zachodnich korporacji. Nawet sama emigracja kubańska jest łącznie bogatsza od państwa kubańskiego.

Chińskich komunistycznych hierarchów łączy etos władców mocarstwa, którym kłania się świat, a rodzimi kapitaliści idą pod ścianę, kiedy się narażą zbyt bezczelną korupcją lub samowolą. Starzejący się kubańscy generałowie i dygnitarze zarządzają tylko masą upadłościową. Nie łączy ich już rewolucyjny etos, lecz jedynie strach przed samodzierżcą, od którego zależy ich cząstka władzy, dobrobyt i wolność. Ostatnio większy od niego jest nowy strach. Że sami pójdą na dno, gdy zabraknie dyktatora. Gdy więc Zachód i Kubańczycy dadzą im szansę przeżycia, będą przebierać nogami w biegu do demokracji i kapitalizmu.

A Kuba wali się na łeb na szyję. Gospodarki innych krajów latynoskich rosną – o 7-8 proc. w Brazylii, 9 proc. w Argentynie i Peru, nawet w Meksyku o 5,5 proc. w 2010 roku – i wychodzą z kryzysu szybciej niż USA i Europa. Kuba zaś rośnie niemal tylko na papierze – o 1,2 proc., a jej sponsor – petrodolarowa Wenezuela – zanotował wręcz w 2010 roku spadek PKB o 1,4 proc.

Chiński wariant na Kubie udać się może tylko przez nieuwagę Zachodu zajętego poważniejszymi wyzwaniami niż ratowanie 11 mln Kubańczyków.

STEK Z GREJPFRUTA

Załatwianie

Komunistyczna gospodarka stałego niedostatku wszystkiego, czego potrzeba do życia, wszędzie uczyła ludzi zaradności i wspomagała chałupniczą wytwórczość, dzięki której zdobywali to, czego nie mogli dostać lub kupić

W PRL Polacy „załatwiali" i „kombinowali" – od przydziału na samochód po banany. Kubańczycy od pół wieku muszą „resolver", czyli „rozwiązywać", „załatwiać", materialne kłopoty życia codziennego.

Najpierw domową wytwórczość dyktatura Fidela Castro sama lansowała jako samoobronę przed amerykańskim embargiem na handel nałożonym po ogłoszeniu na Kubie ustroju komunistycznego w 1961 roku. Władza utworzyła wówczas Narodowe Stowarzyszenie Racjonalizatorów i Wynalazców, które uczyło Kubańczyków, jak radzić sobie w życiu pozbawionym dóbr, których zakazywał im amerykański imperialista.

Kubańska armia wydała nawet „Podręcznik dla rodzin", w którym publikowała szczegółowe instrukcje reperowania sprzętów domowych – żelazek, lodówek czy pralek – z braku nowych lub potrzebnych części zamiennych. Doradzała też, jak się bronić w wypadku niespodziewanej

inwazji amerykańskiej, ucząc ludzi, jak robić łuki, strzały i proce, by miotać w najeźdźców kamieniami i strzałami lub zdobywać pożywienie, polując na ptaki i gryzonie.

Po kilku latach kolejna książka przynosiła ilustrowany zbiór wspaniałych osiągnięć nadesłanych przez pomysłowych przedstawicieli ludu – „Naszym własnym sposobem". Jednym z najwspanialszych wyrobów był kotlet z grejpfruta. Z braku mięsa podręcznik pokazywał, jak obrać grejpfruta, wycisnąć sok, a miąższ – doprawiony czosnkiem, cebulą i cytryną – usmażyć jako stek.

Z czasem amerykańskie embargo przestało ludziom służyć za alibi i musieli zacząć „resolver" przede wszystkim przeciw samej dyktaturze, która okazała się niezdolna do produkowania rzeczy potrzebnych do życia. Katastrofa nastąpiła po rozpadzie Związku Radzieckiego, gdy wstrzymanie dostaw i dotacji z ZSRR i krajów realnego socjalizmu pozbawiło Kubańczyków nawet tych niewielu dóbr, które dotąd od czasu do czasu i z wysiłkiem można było zdobyć w Hawanie, Warszawie czy Moskwie.

Wówczas Kubańczycy dopracowali się takiej inwencji, że ich wynalazki zasługują na muzeum geniuszu jednostkowej oraz zbiorowej przedsiębiorczości i samoobrony przed ustrojem.

Niektóre są najprostsze, jak prysznic zrobiony z podziurawionych denek plastikowych butelek, lub lampy naftowe ze starych puszek i znanych z czasów komunistycznych metalowych koszyczków na szklanki.

Inne jednak wymagają zaawansowanych technicznie umiejętności. W latach 90. dachy, słupy telegraficzne i maszty na Kubie zaroiły się od anten radiowych i telewizyjnych zrobionych z aluminiowych tac, które stały się najpowszechniejszym symbolem zbiorowego żywienia ludu pracującego miast i wsi używanym we wszystkich stołówkach kraju.

Niedziałający transport publiczny, rozpadające się autobusy i zepsute pociągi zmusiły Kubańczyków do przerabiania rowerów na motorowery i bryczki-rikse, którymi mogli przewieźć ciężki ładunek. Słynne na całej Kubie rikimbili miały nieskończoną rozmaitość modeli stworzonych przez indywidualny geniusz wynalazczy. Zasadniczym jego elementem był mały silnik spalinowy przyspawany do ramy roweru i połączony z plastikowym bidonem na benzynę. Potrzebujący takiego motoroweru do transportu towarów, np. na wsi, montowali z przodu lub z tyłu rikimbili wielkie skrzynie.

Nie wszyscy mieli jednak rowery, a potrzeba wygodnej podróży była silna. W takim wypadku budowano na wózku ciągnionym przez muła blaszaną karoserię samochodu osobowego, np. polskiego fiata 126, czyli „malucha", albo

nawet szoferkę ciężarówki.

W skrajnej potrzebie, gdy trzeba było z wyspy uciekać, całą karoserię ciężarówki montowano na tratwie z zespawanych beczek i na tak skleconym statku ruszano przez morze na Florydę.

Rozlatujące się samochody – stare amerykańskie limuzyny pozostawione po rewolucji 1959 roku albo późniejsze radzieckie łady czy polskie fiaty – utrzymywano na chodzie dzięki niebywałemu rękodziełu mechaników, a niekiedy odkryciom amatorów. Okazało się, że cieknące chłodnice uszczelniało np. surowe jajko, a wyciek oleju powstrzymywał kawałek mydła.

Elektryczne silniki, potrzebne np. do naprawienia wentylatorów, Kubańczycy wymontowywali z pralek, których ten sam model istniał w setkach tysięcy domów. Pralki piorące i suszące zarazem były wielkie, a mechanizm suszarki stale się psuł. Kubańczycy kroili pralkę na dwie części, bęben z częścią piorącą zostawiali sobie, a silnik suszarki przerabiali na motorek do wentylatora.

Przy braku wody na wyższych piętrach w blokach mieszkalnych mieszkańcy mocowali na betonowej ścianie domu na zewnątrz mieszkań beczki na deszczówkę zamocowane na wkutych w betonową szparę piórach starych resorów samochodowych. A wodę podgrzewano, podpinając beczki pod prąd drutami z kontaktu.

Niektóre domowe sposoby bywały niebezpieczne. Przerobione z braku benzyny na gaz samochody czasem wybuchały z powodu nieszczelnie montowanych butli i przewodów.

Kobiety stosowały do makijażu kredki szkolne, pastę do butów albo zmielony węgiel z baterii.

Z powodu permanentnego braku małych cienkich baterii używanych do pilotów telewizyjnych Kubańczycy wynaleźli sposób wykorzystania grubych „beczek", których nie wiedzieć czemu nie brakowało. Baterię drutem przywiązywano do pilota i łączono drucikami z aparaturą wewnątrz.

Antologię kubańskiej wynalazczości od lat sporządza Ernesto Orozco, absolwent architektury i wzornictwa uniwersytetu w Hawanie, który z braku wszystkiego potrzebnego do uprawiania swego fachu na wyspie wyjechał do Miami na Florydzie. Jego niezwykła książka o krnąbrnych i pomysłowych Kubańczykach nosi tytuł „Nieposłuszeństwo technologiczne".

Na ulicach kwitnie życie towarzyskie i gospodarcze

Kubańczycy handlują, czym się da

Sławny śpiewak Ibrahim Ferrer, filar Buena Vista

Dziś z pierwszego składu Buena Vista żyje i nadal śpiewa już tylko Omara Portuondo

Syn Chucho i ojciec Bebo Valdés - arka przymierza nieśmiertelnej sztuki kubańskiego fortepianu

Arnaldo Ochoa. Aresztowanie, kapturowy sąd pod zmyślonymi zarzutami i wyrok śmierci na najlepszym z kubańskich generałów i bohaterze wojny w Angoli wstrząsnęły kubańską nomenklaturą od góry do dołu. Na dworze komunistycznego samodzierżcy Castro nikt nie był bezpieczny

Patriarchę zawsze i wszędzie otacza dwór wiernych, uśmiechniętych, gotowych na każde skinienie

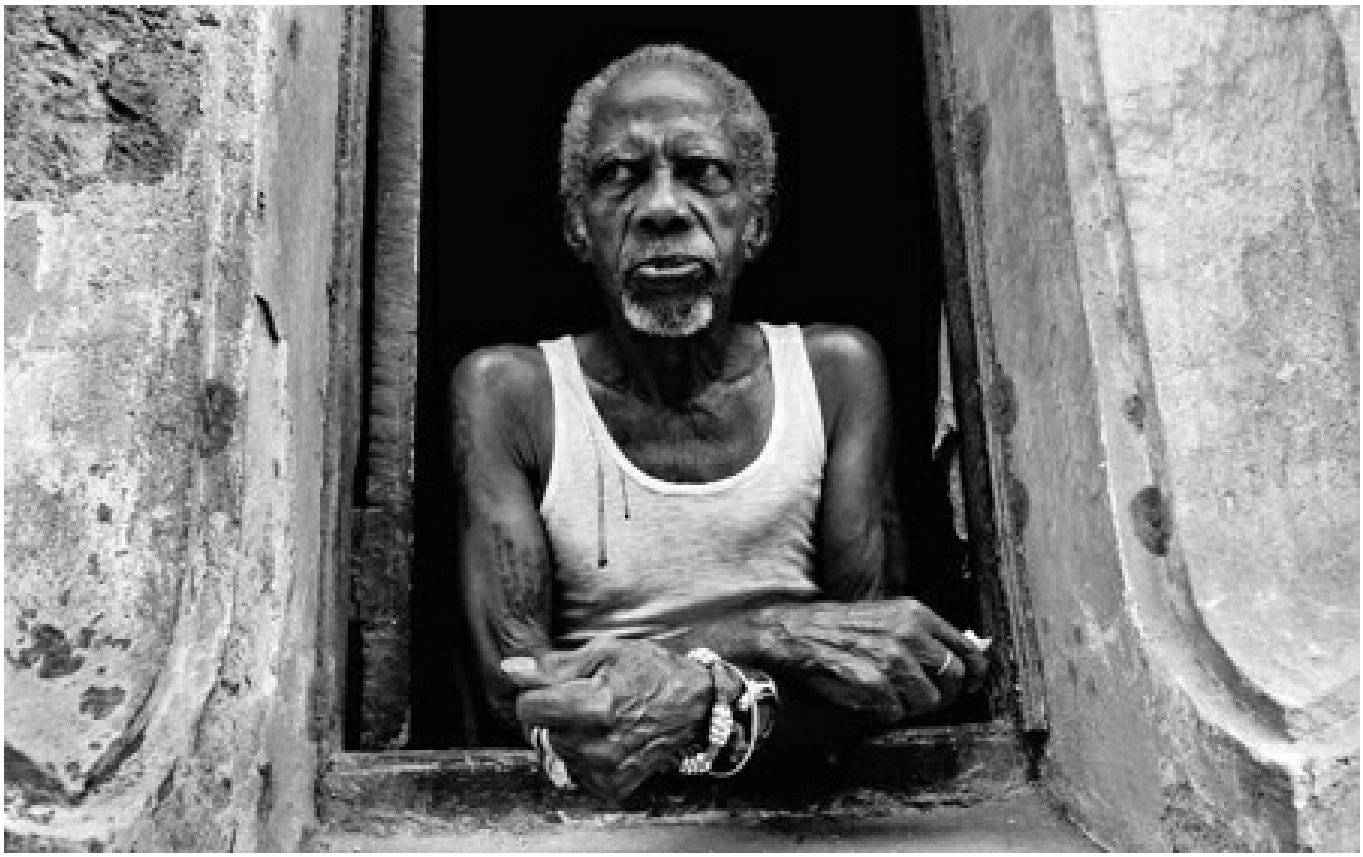

Hawańskie ulice są pełne pięknych starych ludzi pośród kruszejących fasad domów, spękanych chodników. Żywe pomniki przemijania...

CZĘŚĆ IV

A gdy już zamknie oczy

RAÚL RIVERO

Teatr

Bo było tak, że się nie poznaliśmy.
Byliśmy postaciami, o których odgrywanie to drugie było zazdrosne
Straciliśmy więc
Tamte lata
Udając, że kochamy.
Zdarza się, pani de Valdés,
Zdarza się nawet w najlepszych
rodzinach słów.
Ja kochałem kobietę,
Którą W.Sz. Pani nie była,
W.Sz. Pani zaś kochała postać, którą odgrywałem,
Żeby mnie kochano.
Kochaliśmy widma.
Niemniej są takie partie dramatu,
Które pamiętam
I kwestie, które wygłosiłem z wielką czułością,
I zdarzają się takie noce, podczas których chciałbym
Wrócić na scenę,
By spotkać się ponownie z tą inwestyturą
I pocałować na niby
Te usta pieca węglowego
I miodu pszczelego.

CZEKAJĄC NA TEN DZIEŃ

Nurty podziemne

Kuba jest totalitarną wyspą nie w sensie przenośnym, lecz dosłownym. Jest ustrojem totalitarnym, jakiego Polska nie znała nawet w najgorszych czasach stalinizmu 1948-55, zbliżonym do sowieckiego komunizmu lat 30., 40., NRD czy Korei Północnej ze wszystkimi cechami partyjnej, państwowej i policyjnej wszechwładzy nad społeczeństwem. Jest też geograficznie wyspą, co dodatkowo pogłębia jej izolację na kontynencie, gdzie jest jedyną dyktaturą pośród mniej lub bardziej udanych demokracji

Ta podwójna odrębność – totalitaryzm i wyspiarska natura – decyduje o tym, dlaczego komunistyczna Kuba jest tak długowieczna i odporna na wszelkie wewnętrzne i zewnętrzne naciski czy wpływy, które dążą do jej rozkruszenia i zaprowadzenia wolności. Kuba jest w istocie, podobnie jak Korea Północna, dyktaturą doskonałą, czyli doskonale totalitarnie zorganizowaną „w głąb" społeczeństwa, które zupełnie paraliżuje, i doskonale odporną na zewnętrzne otoczenie, rynkowe i demokratyczne.

To jest początek odpowiedzi na często wyrażaną wątpliwość, czy aby dyktatura Fidela Castro nie trzyma się nie tylko na tyrańskiej woli wodza, jego

wszechwładnym aparacie przemocy i kontroli oraz powszechnym strachu, lecz także na miłości i poparciu ludu czy choćby jego przyzwoleniu. Doświadczenia końca XX wieku podpowiadają, że przecież dyktatury, nawet komunistyczne, w końcu padają, kiedy im się sprzeciwią ludzie. Koronnym przykładem jest PRL – podminowany i w końcu rozpruty przez „Solidarność". Coś musi być w tym, że taki sprzeciw wciąż nie rodzi się na Kubie i nie zagraża podstawom doktrynalnym i administracyjnym dyktatury – brzmi jawnie lub z cicha wyrażana myśl. Kubańczycy jakoś jednak popierają lub godzą się na taki ustrój.

To jest myśl opaczna. Dopóki żyli Józef Stalin czy przewodniczący Mao, mowy nie było o sprzeciwie wobec dyktatury. Reżim w NRD, mimo sąsiedztwa Niemiec demokratycznych, trwał aż do rozluźnienia sowieckiego komunizmu za Gorbaczowa oraz początku polskiej transformacji demokratycznej. Niezgoda czy protest były dławione bezwzględnie i w zarodku, nie tylko dzięki wydajnemu i niewzruszenie posłusznemu aparatowi represji, ale i olbrzymiej sieci donosicielstwa wyrastającej jak pleśń na powszechnym strachu. W istocie represje stalinizmu wyprzedzały sprzeciw wobec ustroju, karane były nie tylko czyny przestępcze przeciw ustrojowi, ale nawet słowa, wątpliwości czy myśli.

Rozpoznanie stanu umysłów żyjących w takich warunkach ludzi jest niemożliwe, a zatem i spekulowanie o ich opiniach politycznych zupełnie dowolne. Dwumyślenie i dwumowa, czyli powszechna – społeczna i indywidualna – schizofrenia ludzi, który myślą co innego, a mówią i robią co innego, jest filarem dyktatury totalitarnej oraz miarą jej sukcesu w zniewoleniu społeczeństwa. Dzieje się tak zarówno w warunkach mroźnej Rosji, jak i tropikalnej Kuby. Kiedy naczelną zasadą staje się przetrwanie, żadna mimikra nie jest nadmierna. Dla przeżycia i świętego spokoju udaje się wszystko: udawane są fanatyzm, wierność, poparcie i posłuszeństwo, bo za ich nieokazanie można utracić wszystko – i wolność, i materialne podstawy bytu. Masowe wiece Kubańczyków pod przewodem Fidela Castro są pokazem siły zniewolenia przez dyktaturę, a nie świadectwem ludowego dla niej entuzjazmu.

Jak złudne jest mniemanie, że jeśli obywatele milczą albo popierają reżim głośno na wiecach, to naprawdę kochają, pokazało generałowi Pinochetowi referendum w 1988 roku. Generał, namówiony przez przypochlebnych współpracowników do urządzenia plebiscytu, żeby odeprzeć zarzuty demokratycznego Zachodu, że jego rządy trzymają się na czołgach i tajnej policji, niespodziewanie przegrał i rok później oddał władzę. Do dziś w Chile opowiadają o tym wydarzeniu dowcip: Pinochet wystartował w wyścigu sam, ale przybiegł drugi.

Na Kubie podobna sytuacja była i jest niemożliwa. Fidel Castro żadnego referendum nie zorganizuje, bo gardzi takimi burżuazyjnymi dowodami prawomocności swoich rządów. Ale gdyby zechciał mieć kaprys je zorganizować, mógłby je wygrać nawet dziś, kiedy ma 89 lat i od kilku lat niemal nie pokazuje się publicznie. Nie świadczyłoby to wcale o popularności jego władzy, lecz jedynie o tym, jak dalece Kubańczycy pogodzili się z tym, że nic się nie da zrobić, przynajmniej tak długo, jak długo żyje Fidel.

Natura kubańskiej dyktatury, jej wyspiarskość i totalitaryzm decydują od 1959 roku o tym, że opozycja demokratyczna wprawdzie istniała i istnieje, ale nie ma ciągłości, jest wątła, zmienna, rozproszona i łatwa do rozbicia. Nie umniejsza to w niczym dzielności, odwagi i poświęcenia Kubańczyków, którzy się opowiadają po stronie wolności, chociaż ich szeregi się wykruszają wskutek represji, wypędzeń czy dobrowolnych, choć wymuszonych wyjazdów. Co wytrwalsi opozycjoniści ryzykują drakońskie wyroki więzienia, prawdziwe kazamaty, jakich Polacy nie zaznali po 1956 roku. Mniej wytrwali mogą z wyspy uciekać lub zostać z niej wyrzuceni. Wszyscy tylko w niewielkim stopniu mogą liczyć na solidarność zastraszonych współobywateli. Albo dlatego, że rodacy o nich nie wiedzą, albo dlatego, że za bardzo boją się o siebie.

Jednak opozycja na Kubie była, jest i będzie. Przez pół wieku zmieniła się diametralnie. Dzisiejsza nie ma nic wspólnego nie tylko z dawnymi dygnitarzami, urzędnikami czy biznesmenami przedrewolucyjnej Kuby, ale także z rozczarowanymi tyranią Fidela Castro rewolucjonistami pierwszego zaciągu. Różni się także od opozycji późniejszych więźniów politycznych czy bojowników ruchu dysydenckiego.

Polityczni przeciwnicy zwycięskiej rewolucji z 1959 roku związani z obaloną dyktaturą wojskową Fulgencio Batisty pouciekali z wyspy lub zostali rozgromieni w pierwszych miesiącach po przejęciu władzy przez partyzantów Fidela. W większości zostali rozstrzelani bez sądu lub po symbolicznych rozprawach. Ofiar plutonów egzekucyjnych było co najmniej 5 tysięcy. Jeden z komendantów rewolucji i dygnitarzy reżimu Ernesto Che Guevara otwarcie z trybuny ONZ bronił rozstrzeliwań bez prawdziwej rozprawy jako koniecznej formy sprawiedliwości rewolucyjnej. Zbiegli na emigrację do USA poplecznicy ancien régime'u, byli wojskowi, policjanci czy urzędnicy dyktatury Batisty stali się organizatorami spisków przeciw Fidelowi Castro, współdziałali z amerykańską CIA, począwszy od nieudanej zbrojnej próby odbicia wyspy w czasie desantu w Zatoce Świń w 1961 roku oraz przez wiele lat później.

Ale to nie emigranci pierwszej fali o przedrewolucyjnej proweniencji,

mimo swoich zasobów finansowych i liczebności, decydowali o obliczu i losach opozycji przeciw dyktaturze na wyspie. Kubański komunizm wytworzył od razu i odtąd odtwarzał nieprzerwanie przez pół wieku nową opozycję demokratyczną, której źródłem nie była ideologiczna wierność reżimowi wojskowemu sprzed rewolucji, ale sprzeciw Kubańczyków uradowanych obaleniem Batisty wobec totalitarnych rządów Castro.

Symbolem tej nowej opozycji, najwcześniejszego sprzeciwu wobec dyktatury w imię demokracji i pluralizmu, był historyczny komendant rewolucji towarzysz Fidela i Raúla Castro oraz Che Guevary Huber Matos. Kiedy jako dowódca armii w prowincji Camaguey latem 1959 roku, zaledwie pół roku po zwycięstwie, pisze do Fidela list z prośbą o dymisję, bo nie może się pogodzić z egzekucjami bez sądu oraz umacnianiem się komunistycznego porządku, zostaje natychmiast oskarżony o zdradę i w grudniu skazany po haniebnym procesie pokazowym na 20 lat więzienia. Wcześniej dwukrotnie na ogromnych wiecach w Camaguey i Hawanie Fidel Castro publicznie piętnuje Matosa jako zdrajcę i nie podając żadnych dowodów zdrady (cóż miałoby nią być w wypadku Matosa?), żąda masowego poparcia dla jego rozstrzelania. Tłum wyje: – Pod ścianę!

Bez zrozumienia tej sceny nie sposób pojąć istoty kubańskiej dyktatury oraz warunków działania każdego, kto ośmieli się jej przeciwstawić przez następne pół wieku.

Rewolucja rosyjska zaczęła pożerać swoich twórców po dziesięciu latach, kiedy utrwaliła się dyktatura Stalina. Fidel Castro ustanowił swoją od razu i zniszczył najwybitniejszego rewolucjonistę ze swoich szeregów w ciągu roku od objęcia władzy za nieśmiały sprzeciw. Matos spędził w więzieniu 20 lat w najcięższych warunkach, bity, torturowany, truty. Wypuszczono go w 1979 roku, żeby nie umarł w więzieniu. Wyjechał na emigrację, gdzie dołączył do demokratycznej opozycji na wychodźstwie. Cudem wydobrzał, choć żelaznego kiedyś zdrowia nigdy nie odzyskał. Zmarł w lutym 2014 roku.

Z szeregów partyzantów walczących przeciwko dyktaturze Batisty, które gromadziły ludzi o różnych przekonaniach – od katolików po demokratów – wywodzi się jedyny silny nurt oporu zbrojnego przeciw komunizmowi braci Castro. W latach 1960-66 w górach Escambray w środkowej Kubie istniała poważna partyzantka antycastrowska, niemal replika partyzantki samego Fidela w górach Sierra Maestra z lat 1956-59. W szczytowym momencie pod rozkazami byłego dowódcy rewolucjonistów antybatistiańskich Evelio Duque w Escambray walczyło 3 tysiące partyzantów zorganizowanych w siedem bojowych kolumn. Fidel Castro nie był jednak Batistą, opromieniony obaleniem dyktatora miał ogromne poparcie narodu i wiedział, czym grozi

tolerowanie, lekceważenie lub nieumiejętna walka przeciw partyzantom w górach. Zmieniwszy stronę barykady ze zbuntowanego i ściganego partyzanta na ścigającego władcę, zabrał się do dzieła nie tylko przy pomocy oddziałów armii, ale i agentów tajnej policji bezpieczeństwa. Mimo to wojna w Escambray trwała długich sześć lat, aż do zupełnego wytępienia powstańców, i kosztowała sześć tysięcy zabitych po stronie armii Fidela Castro. Evelio Duque jako jeden z niewielu zdołał zbiec na emigrację.

Odtąd główne nurty krajowej opozycji porzuciły ideę zbrojnego oporu i wybrały drogę pokojowego i politycznego sprzeciwu. Ale po odparciu amerykańskiej inwazji zbrojnej w Zatoce Świń i rozbiciu partyzantki w Escambray nastąpiła całkowita komunizacja wyspy. Dyktatura okrzepła, organizując życie na wyspie na modłę prawdziwie totalitarną. Zbudowano szczelny system inwigilacji w postaci komitetów obrony rewolucji na każdym szczeblu, reżim całkowicie zmonopolizował środki przekazu i komunikacji. Przeciwnicy z pierwszego pokolenia znającego Kubę przed 1959 rokiem oraz aktorzy i świadkowie pierwszych lat rewolucji poszli w rozsypkę, a nowi kontestatorzy jeszcze się nie narodzili.

Reżim Fidela Castro stał się dla znakomitej większości Kubańczyków stanem naturalnym i ustrojem pozbawionym alternatywy. Na zewnątrz jego rewolucyjna prawomocność nie ulegała wątpliwości, zwłaszcza w kręgach lewicy latynoamerykańskiej i europejskiej, choć nie w USA. Wzmacniały tę legitymację powszechne na kontynencie prawicowo-wojskowe dyktatury (Chile, Argentyna, Paragwaj, Boliwia, Nikaragua), których okrucieństwo usprawiedliwiało wszelki wobec nich sprzeciw, a jedynym przeciw nim skutecznym bastionem wydawała się rewolucyjna Kuba. W Ameryce Łacińskiej wziętej w dwa ognie zimnej wojny demokracja liberalna, jaką znała Europa, wydawała się luksusem pięknoducha.

Do pierwszego pokolenia rewolucjonistów, którzy rozczarowali się dyktaturą i którzy zostali za to ukarani, należał Gustavo Arcos, weteran pierwszej próby przewrotu z Fidelem Castro w 1953 roku i po rewolucji ambasador w Belgii. Uwięziony w latach 60. za zdradę, uwolniony i ponownie skazany w 1981 roku za nielegalną próbę wyjazdu z kraju, wyszedł z więzienia i do śmierci działał razem z bratem Sebastiánem Arcosem w opozycji na wyspie, głównie w Kubańskim Komitecie Praw Człowieka założonym przez Ricardo Bofilla w 1976 roku. Gustavo Arcos, ostatni z weteranów rewolucji, który patronował potem opozycji demokratycznej, zmarł w 2006 roku w Hawanie.

Jednak komunizm kubański, jak każdy ustrój, doczekał się kryzysu legitymizacji, choć jako dyktatura rewolucyjna nie czerpie jej

z demokratycznego mandatu, czyli woli ludu wyrażonej przy urnach, lecz z racji obalenia tyranii.

Pierwszy poważny kryzys nastąpił na przełomie lat 60. i 70. Najpierw sowiecka interwencja zbrojna w Czechosłowacji dla zduszenia Praskiej Wiosny, poparta bez zastrzeżeń przez reżim Castro, a potem uwięzienie oraz publiczny lincz poety Heberto Padilli odepchnęły od Kuby legion zachodnich intelektualistów, a i wielu Kubańczykom uzmysłowiły, że reżim nie zamierza tolerować żadnego marginesu niezależności. Wszyscy są poddanymi, nikt nie jest obywatelem. – W ramach rewolucji – wszystko, poza rewolucją – nic! – ogłosił intelektualistom Fidel Castro w 1971 roku, ostrzegając, że los Padilli pisany jest każdemu, kto się ośmieli myśleć, pisać i działać bez zezwolenia. Pomimo kryzysu prawomocności reżimu warunki do zorganizowanego sprzeciwu były zatem trudniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

W latach 60. porzucili Kubę i wyjechali na wygnanie m.in. wybitny pisarz Guillermo Cabrera Infante i Carlos Franqui, redaktor naczelny najlepszej gazety porewolucyjnej „Revolucion".

W połowie lat 60. dyktatura, która właśnie zaczęła zsyłać do obozów pracy katolików, homoseksualistów, bumelantów i inne elementy społecznie szkodliwe w celu reedukacji przez pracę na roli, wynalazła też sposób na neutralizowanie sprzeciwu czy choćby niezadowolenia. Sposób całkowicie nowatorski, niestosowany na taką skalę przez żadną z dyktatur komunistycznych XX wieku i, jak się okazało, wielce skuteczny. Pomysł Fidela Castro można określić jako upuszczanie społeczeństwu złej krwi – gdy zebrał się potencjał niezadowolenia i protestu trudny do opanowania przez reżim, pozbywał się zbiorowo z kraju ludzi niezadowolonych. W pierwszej takiej zaplanowanej czystce polityczno-społecznej w 1964 roku z portu Camarioca odpłynęło do USA ok. 6 tysięcy Kubańczyków. Castro często później powtarzał ten manewr. Jego najważniejsza konsekwencja polityczna polegała na tym, że opozycja demokratyczna traciła ciągłość i więzi międzyludzkie. Pokusa wyrwania się do wolnego świata trzebiła szeregi niezadowolonych i zdecydowanych walczyć o zmiany na wyspie.

Nie wszyscy jednak wyjeżdżali. Niektórzy zostawali, choć mogli uciekać.

Filozof Ricardo Bofill był jednym z ojców-założycieli kubańskiej opozycji demokratycznej opartej na pokojowej obronie praw człowieka w myśl aktu konferencji KBWE w Helsinkach i wzorującej się na podobnych ruchach w Związku Radzieckim i Polsce. Do założonego przezeń w 1976 roku Kubańskiego Komitetu Praw Człowieka przyłączyli się honorowo z zagranicy Jelena Bonner, Jurij Orłow, Anatol Szczarański, Vaclav Havel, Aleksander Sołżenicyn, Lech Wałęsa, Adam Michnik. Bofill działał na Kubie do 1988 roku,

gdy zmuszony do emigracji, po odsiedzeniu w sumie 12 lat więzienia na wyspie, ostatecznie wyjechał do Miami na Florydzie, gdzie do dziś działa w środowiskach politycznej emigracji. Założony przez niego Komitet Obrony Praw Człowieka i Pojednania istnieje nadal, dziś pod przewodnictwem Elizardo Sáncheza.

Pod koniec lat 70. Fidel Castro czuł się silniejszy niż kiedykolwiek. Gospodarkę utrzymywały miliardowe dotacje Związku Radzieckiego. Reżim postanowił pokazać, że stać go na spektakl pojednania diaspory kubańskiej w USA i mieszkańców na wyspie bez zachwiania systemu komunistycznego. Ale wielka propagandowa operacja wymknęła się spod kontroli. Po odjeździe ok. 60 tysięcy emigrantów z Florydy, którym pozwolono na kilka dni odwiedzić ojczyznę, Kubańczycy z wyspy rzucili się do ucieczki najpierw przez ambasadę Peru w Hawanie, gdzie wtargnęło 15 tysięcy Kubańczyków i poprosiło o azyl. Castro znowu upuścił krew. W tzw. exodusie przez port Mariel z wyspy uciekło z przyzwoleniem reżimu ponad 60 tysięcy ludzi.

W początkach lat 80. na Kubę dotarły wieści o buncie polskich robotników i utworzeniu „Solidarności". Ale kubańskich dysydentów była garstka, nie więcej niż 15-20 osób. Skupiali się wokół wymienionych wyżej osób. Z każdym pokoleniem odradzał się jednak głód swobody i pluralizmu wśród ludzi znacznie młodszych i wychowanych w porewolucyjnej rzeczywistości.

Jedną z wybitniejszych postaci opozycji stał się wówczas Héctor Palacios, wiceminister górnictwa i przemysłu lekkiego, który w połowie lat 70. poznawał zdobycze realnego socjalizmu m.in. w Polsce i Związku Radzieckim. Po buncie „Solidarności" i wielkim exodusie z Mariel rzucił jednak legitymacją partyjną i wstąpił do Komitetu Bofilla i Arcosa. Wielokrotnie zatrzymywany zakładał kolejne demokratyczne grupy oraz w 1998 roku po wyjściu z więzienia dzięki interwencji Jana Pawła II ośrodek niezależnej myśli społecznej Centro de Estudios Sociales Independiente.

Ostateczny kryzys komunizmu w ZSRR i Europie Wschodniej zapoczątkowany w 1989 roku porozumieniem Okrągłego Stołu i sukcesem „Solidarności" w wyborach czerwcowych, za czym poszedł upadek NRD i zjednoczenie Niemiec (wsparcie Berlina wschodniego i Stasi dla kubańskiej bezpieki było kluczowe), a przypieczętowany upadkiem ZSRR w 1991 roku, rozbudził wielkie nadzieje rozproszonych, prześladowanych, więzionych i wypędzanych kubańskich dysydentów.

W 1991 roku grupa intelektualistów, pisarzy i dziennikarzy wystosowała pierwszy zbiorowy manifest osób publicznie znanych z żądaniem przywrócenia podstawowych wolności politycznych i gospodarczych na Kubie.

List napisali m.in. poeta i pisarka Maria Elena Cruz Varela oraz poeta i dziennikarz Raúl Rivero, niewiele wcześniej dziennikarz reżimowy i korespondent rządowej agencji Prensa Latina w Moskwie w latach 70.

Cofnięcie sowieckich dotacji dla Kuby po rozpadzie ZSRR sprowadziło na wyspę klęskę gospodarczą. Krach ekonomiczny pomnożył niezadowolonych. Grupy dysydenckie, niezależne, w tym dziennikarze gotowi pisać o sytuacji na Kubie dla zagranicznych mediów, powstawały jak grzyby po deszczu, choć wiele z nich szybko znikało, gdy ich członkom udało się wyjechać za granicę.

W 1995 roku Kuba uzyskała satelitarną łączność telefoniczną ze światem. Raúl Rivero założył pierwszą niezależną agencję prasową Cuba Press. Dzięki sieci 35 korespondentów po raz pierwszy niezależna od rządu grupa dziennikarzy informowała świat o tym, co się dzieje na Kubie.

Pod koniec lat 90. Ramon Colas i Gisela Delgado, żona Héctora Palaciosa, uruchomili sieć bibliotek niezależnych (bibliotecas independientes, pierwsza utworzona w 1996 roku). Powstało ich kilkadziesiąt na całej wyspie. W prywatnych domach i mieszkaniach Kubańczycy mogli pożyczać i czytać książki i czasopisma, których wzbraniała im cenzura. Ruch bibliotek był wielkim sukcesem i świadectwem odradzania się kultury niezależnej. Dysydenci zaczęli organizować konkursy literackie, a nagrodzone prace młodych literatów wydawali za granicą w tomikach „Los ojos abiertos" (Z otwartymi oczami) i „Voces de Cambio" (Głosy za zmianą).

Jednak w połowie lat 90., kiedy doszło w Hawanie do pierwszych od rewolucji żywiołowych buntów społecznych przeciw brakowi w sklepach wszystkiego, co potrzebne ludziom do życia, reżim znowu zdołał rozładować napięcie. W 1995 roku w kolejnym masowym exodusie uciekły przez morze do USA ponad 32 tysiące Kubańczyków. Mimo to opozycja była coraz śmielsza i liczniejsza, działalność dysydentów i niezależnych dziennikarzy się rozwijała, zdawało się, niepowstrzymanie.

Zbiorowych wystąpień dysydentów było coraz więcej. Katolik Oswaldo Payá Sardinas, który odsiedział pięć lat w obozie pracy, gdzie próbowano mu wybić z głowy religię, stworzył w 1988 roku Chrześcijański Ruch Wyzwolenia (Movimiento Cristiano de Liberacion). Przy diecezji katolickiej w Pinar del Rio w 1994 roku powstało pismo „Vitral" oraz ośrodek inteligencji katolickiej, którym kierował intelektualista Dagoberto Valdés. Przedsięwzięciu patronował biskup Ciro Bacallao. Trzy lata później Jan Paweł II zaprosi Valdésa do swojej świeckiej rady Iustitia et Pax.

W 1997 roku grupa dysydentów, w tym Oswaldo Payá i Héctor Palacios, napisała „List otwarty do rządu Kuby", w którym zażądano rozpisania

plebiscytu na temat reform ustrojowych. W tym samym roku Martha Beatriz Roque, René Gómez Manzano, Vladimiro Roca i Felix Bonne tworzą dysydencki zespół ekspertów i wydają manifest „La Patria es de Todos" (Ojczyzna należy do wszystkich). Uwięzieni i skazani w 1997 roku wychodzą jednak na wolność w 2000 roku i tworzą Zgromadzenie na rzecz Społeczeństwa Obywatelskiego. W marcu 2001 roku Oswaldo Payá zebrał kilkanaście tysięcy podpisów pod tzw. projektem Vareli (na cześć księdza Felixa Vareli żyjącego w pierwszej połowie XIX wieku, wybitnego profesora, wychowawcy i rzecznika niepodległości Kuby) żądającym referendum w sprawie przywrócenia podstawowych wolności demokratycznych, własności prywatnej i wolnego rynku.

Ożywienie ruchu dysydenckiego przerwała tzw. czarna wiosna 2003 roku. W wielkiej obławie jednego dnia 18 marca bezpieka aresztowała 75 niezależnych działaczy opozycji. Krótko potem w serii pokazowych procesów wszyscy zostali skazani na wieloletnie więzienie. Najwyższy wyrok to 30 lat. Héctor Palacios dostał 25 lat, a Raúl Rivero 20 lat.

Opozycja była rozbita. Ze znanych postaci na wolności pozostał Oswaldo Payá, którego zapewne chronił rozgłos, jaki zyskał, gdy dostał Europejską Nagrodę Praw Człowieka im. Andrieja Sacharowa, Elizardo Sánchez szefujący Komitetowi Praw Człowieka i Martha Roque, René Gómez, Vladimiro Roca i Felix Bonne.

Ale i po tym ciosie opozycja się z wolna odrodziła. Główną siłą stały się kobiety – matki i żony skazanych dysydentów, które utworzyły stowarzyszenie Damy w Bieli. Chodziły co niedziela na msze do kościoła w Hawanie i maszerowały ulicami miasta z kwiatami w rękach i żądaniem uwolnienia więźniów politycznych. Pod naciskiem protestów na świecie rozbudzonych działalnością Dam w Bieli reżim braci Castro uwalniał niektórych więźniów politycznych skazanych podczas czarnej wiosny. Przede wszystkim tych, o których szczególnie głośno upominały się rządy zachodnie, np. Hiszpania, i tych, którym dalsze maltretowanie w więzieniach groziło śmiercią. W ten sposób wyszli na wolność i wyjechali na leczenie do Hiszpanii znani dysydenci: Manuel Vásquez Portal, Raúl Rivero i Héctor Palacios. Palacios i jego żona Gisela Delgado nie zostali jednak na emigracji i wrócili po dwóch latach na Kubę z własnej woli. To jak dotąd jedyny taki przypadek wśród dysydentów.

Damy w Bieli zostały w 2006 roku nagrodzone przez Parlament Europejski tą samą Europejską Nagrodą Praw Człowieka, którą cztery lata wcześniej dostał Oswaldo Payá.

W 2010 roku zmarł po kilku miesiącach głodówki więzień polityczny

Orlando Zapata Tamayo. Dyktaturze braci Castro takie wypadki przy pracy zdarzają się rzadko. Z reguły nie pozwalają więźniom umierać w celach, wcześniej ich uwalniają „z powodów humanitarnych". Śmierć Zapaty Tamayo wywołała wielkie oburzenie na świecie. Na Kubie rozpoczął głodówkę jego kolega Guillermo Fariñas, kiedyś żołnierz sił specjalnych kubańskiej armii, potem psycholog i dysydent. Spędził w więzieniach 11 lat. Głodował kilkanaście razy w różnych sprawach. Kilka lat wcześniej zaszył sobie usta, żądając powszechnego dostępu Kubańczyków do internetu. Protesty na świecie, trzymiesięczna głodówka Fariñasa (podjęta desperacko „aż do śmierci") i prośby Kościoła katolickiego doprowadziły do stopniowego uwolnienia ponad 100 więźniów politycznych (jesienią 2010 i wiosną 2011 roku). Lecz raz jeszcze był to tylko kontrolowany upust złej krwi. Niemal wszyscy wraz z rodzinami zostali zmuszeni do emigracji do Hiszpanii. Wyjechało wówczas 700 ludzi związanych z ruchem dysydenckim.

Guillermo Fariñas zakończył głodówkę i w listopadzie 2010 roku został trzecim kubańskim laureatem Nagrody Sacharowa. Nagrody w siedzibie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu nie mógł oczywiście odebrać, bo władze nie dały mu paszportu.

W pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku ruch dysydencki stał się stałym składnikiem życia na Kubie. Jest to ciągle jeszcze ruch rozproszony i żywiołowy, osłabiany represjami reżimu oraz wyjazdami swoich członków za granicę, ale wciąż się odradza. Jest bacznie kontrolowany przez służbę bezpieczeństwa, ale reżim nie decyduje się na kolejną walną rozprawę. Dominują miękkie prześladowania, jak wielokrotne zatrzymywanie na 48 godzin, zastraszanie lub pobicia przez bojówki, kocia muzyka „oburzonych" współobywateli i sąsiadów itp.

Nie powstała zjednoczona opozycja przeciw dyktaturze, grupy dysydenckie to raczej pospolite ruszenie. Ale miarą jego sukcesu jest to, że wyraża coraz powszechniejszy sprzeciw. Dyktatura komunistyczna utraciła w oczach młodych Kubańczyków status nieuniknionego fatum, wyroku, na który wyspa jest skazana. Ruch wolnościowy nie nawołuje do buntu zbrojnego ani do czynnego obalenia ustroju. Jest sprzeciwem i oporem, ale i czekaniem na samorzutny upadek reżimu, na rozwiązanie biologiczne, czyli śmierć Fidela Castro i dekompozycję dyktatury. Kubańscy opozycjoniści przygotowują się na „dzień po".

Dla wszystkich jest jasne, że lepszą drogą przywrócenia wolności i demokracji byłoby porozumienie reżimu z opozycją. Ani jedna znana grupa dysydencka nie postuluje odwetu na ludziach dyktatury. Dla wszystkich jest też jasne, że Kuba jest wspólną ojczyzną ok. 11 mln wyspiarzy i ok 2,5 mln

emigrantów, którzy z niej dobrowolnie wyjechali lub zostali wypędzeni. Opozycja demokratyczna jest zgodna, że Kubańczycy na wyspie i emigranci będą wspólnie decydować o przyszłości kraju.

Oblicze społecznego oporu zmienił internet, mimo że dostęp do niego na wyspie ma najmniej ludzi nie tylko ze wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej, ale i na świecie (od 1 do 3 proc.). Jednak młodzi dysydenci potrafią się nim posłużyć. Ich rzeczniczką i symbolem nowego pokolenia Kubańczyków myślących suwerennie i domagających się swobód przynależnych obywatelom wolnych krajów jest Yoani Sánchez, filolog, i jej rewolucyjny blog „Generación Y", który prowadzi ze światowym sukcesem od 2008 roku.

Dziś ruch dysydencki na Kubie to dziesiątki i setki niezależnych grup – politycznych, środowiskowych, wspólnot sąsiedzkich, jak w hawańskim blokowisku Alamar, zespołów kulturalnych, artystycznych, trup teatralnych i kapel muzycznych, jak OVNI czy Porno para Ricardo. Dysydenci to dzisiaj nie tylko polityka i poważne manifesty, ale internet, kultura, muzyka, fotografia, happening, kontestacja obyczajowa. Ich największym hamulcem jest brak niezależnego obiegu informacji i komunikacji społecznej zmonopolizowanej przez dyktaturę. Wciąż rachityczny internet pozwala rzutkim młodym Kubańczykom porozumiewać się ze światem znacznie łatwiej niż z własnymi rodakami o podobnych poglądach, którzy o ich istnieniu i działalności nie mają pojęcia. Na stronach DesdeCuba i „Generación Y" można znaleźć listę niezależnych internetowych stron i blogów kubańskich.

Choć tyran wciąż traktuje naród kubański jak glinę, z której lepi swój pomnik, na Kubie coraz więcej ludzi odwraca się plecami do propagandy i bezpieki, odnajdują się nawzajem jako sąsiedzi i bliźni bez pośrednictwa państwa i jego służb. Wbrew wszędobylskim komitetom obrony rewolucji rzeźbią, piszą wiersze, śpiewają, robią happeningi i kręcą filmy. Na rumowisku, w jakie Kubę zmieniła dyktatura komunistyczna, zbierają skorupy swojej godności i wolnego ducha. Są dowodem, że życie i człowiek są silniejsze od systemu i ideologii. Oni odbudują wyspę, kiedy odejdzie komendant.

Yoani Sánchez pisała: „Ostrzegają mnie, że na biurku w pewnym gabinecie leży moja pękata teczka pełna dowodów wykroczeń i przestępstw popełnionych w minionych latach. Sąsiedzi radzą wkładać ciemne okulary i wyłączać telefon, kiedy chcę porozmawiać prywatnie. Już chyba nic się nie da zrobić, już niedługo przyjdą i zastukają do moich drzwi o świcie.

Czekając, aż to nastąpi, oświadczam, że nie mam broni pod łóżkiem. Za to, owszem, systematycznie i wstrętnie popełniam przestępstwo: mam się

za człowieka wolnego. Nie mam żadnego planu, jak zmienić rzeczywistość. Skarga zastępuje u mnie poczucie triumfu, a to jest, rzecz jasna, naganne. Nigdy nikomu nie dałam po twarzy, ale też nigdy nie pozwoliłam, by ktoś prał mnie po moim obywatelskim »ja«. To jest w najwyższym stopniu godne potępienia. W dodatku mimo że nigdy nie przywłaszczyłam sobie niczego, co należało do innych, chciałam wiele razy zrabować to, co uważałam, że należy do mnie: pewną wyspę, jej marzenia, jej dziedzictwo.

Nie dajcie się zwieść. Nie jestem niewinna. Nazbierało się moich występków. Często kupowałam na czarnym rynku, po cichu i krytycznie wypowiadałam się o rządzących, przeżywałam ich, popierałam defetyzm. Jakby tego było mało, zgrzeszyłam wiarą w przyszłość bez »nich« i w inną wersję dziejów niż ta, której mnie uczyli. Hasła wykrzykiwałam bez przekonania, brudy prałam na oczach wszystkich i – to dopiero zbrodnia – kleciłam słowa i zdania bez pozwolenia.

Wyznaję więc wszystko i biorę na siebie wszelką karę, jaka na mnie spadnie".

W 2012 roku dysydenci, byli więźniowie polityczni i wygnańcy ogłosili pierwszy od 50 lat wspólny manifest „Droga narodu" z żądaniem przywrócenia na Kubie wolności i demokracji. – Mówimy Kubańczykom, że to oni muszą zmienić Kubę. Robimy to teraz, kiedy ludziom brak nadziei – mówi jeden z autorów Oswaldo Payá.

Dysydenci żądają zaprzestania prześladowań, uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, podjęcia rozmów z opozycją oraz swobód demokratycznych – od wolności słowa i powszechnego dostępu do internetu, po prawo do własności prywatnej. „Kubańczycy muszą uzyskać swobodę działalności gospodarczej. Nie wolno dłużej skazywać ich na nędzę" – piszą.

Opozycjoniści nie chcą rewolucji. Drogą do demokracji na Kubie powinny być pertraktacje władzy, opozycji, związków zawodowych, Kościołów i innych przedstawicieli społeczeństwa w specjalnie do tego powołanej komisji narodowej. Uzgodnione reformy powinny być poddane pod narodowe referendum. Na koniec zaś powinny się odbyć wolne wybory do nowego Zgromadzenia Konstytucyjnego, które zatwierdzi nowy demokratyczny ustrój.

Autorzy „Drogi narodu" ogłaszają, że wszyscy Kubańczycy – i ci mieszkający na wyspie, i emigranci – mają równe prawo do decydowania o przyszłości wyspy. Berta Soler, rzeczniczka Dam w Bieli, powiedziała: – Demokracja na Kubie nie może dłużej tkwić na liście oczekujących.

Wśród 40 osób, które podpisały manifest, są: Guillermo Fariñas, Damy w Bieli, Elizardo Sánchez, Martha Beatriz Roque, Hector Maceda oraz wielu

więźniów politycznych zwolnionych rok temu [w 2011 roku] i deportowanych do Hiszpanii, oraz liczni emigranci.

ZAKŁADNICY MITU CASTRO

Odwrócenie

W Ameryce Łacińskiej nikt nie chce kiwnąć palcem, żeby pomóc Kubańczykom przejść z dyktatury do demokracji

Przez dwa tygodnie września Hiszpan, Polak i Chilijczyk objeżdżali Kolumbię, Salwador oraz Gwatemalę i przekonywali wszystkich, którzy chcieli ich słuchać, że kraje Ameryki Łacińskiej powinny zrobić wszystko, by wesprzeć opozycję demokratyczną na Kubie. Byłem członkiem tej delegacji. Wysłał nas Międzynarodowy Komitet na rzecz Demokracji na Kubie założony w 2003 roku przez byłego prezydenta Czech Vaclava Havla oraz Committee for Free Cuba z siedzibą w Waszyngtonie. Wieźliśmy ze sobą apel trzech wybitnych postaci: Vaclava Havla, Lecha Wałęsy i José Marii Aznara, który wzywa ludzi na zachodniej półkuli, by pomogli Kubańczykom przejść suchą nogą z dyktatury do demokracji.

Przez dwa tygodnie opowiadaliśmy, że dyktatura nie jest w stanie przeżyć odejścia Fidela Castro, który – jak być może tylko Stalin albo Kim Ir Sen przed nim – całą władzę trzyma w swoim ręku. Dzieliliśmy się doświadczeniem wyniesionym z krajów o podobnej przeszłości, chociaż różnych kolorach

rodzimych dyktatur, że po blisko 50 latach dyktatury najmniej bolesnym wyjściem jest pokojowa transformacja uzgodniona między reżimem lub jego częścią a reprezentacją społeczeństwa. Przekonywaliśmy, że pakt o przywróceniu demokracji, taki jak te, które zawarli frankiści z opozycją w Hiszpanii, pinochetyści z socjalistami i chadekami w Chile czy komuniści z „Solidarnością" w Polsce, to najlepsza droga, by przywrócić na Kubie wolność i demokrację. Tłumaczyliśmy, że taka droga co prawda oznacza ustępstwa obu stron, ale jest lepsza niż odwet, o groźbie wojny domowej nie wspominając.

Potakiwano i z podziwem mówiono o doświadczeniach Hiszpanii, Polski i Chile. A jednak. Dziesiątki rozmów, które odbyliśmy w Waszyngtonie, Kolumbii, Salwadorze i Gwatemali, pokazują, że Ameryka Łacińska nie jest przygotowana na upadek dyktatury na Kubie, a tym bardziej na to, co może po nim nastąpić. Nie ma pomysłu, co zrobić, by po śmierci schorowanego tyrana wyspa nie wpadła w wir odwetu, lecz wybrała drogę pokojowych i demokratycznych przemian.

Więcej, polityczni i intelektualni przywódcy opinii publicznej, tak zwykle wymowni, gdy chodzi o podkreślanie braterstwa narodów kontynentu, nie chcą wziąć na siebie współodpowiedzialności za losy wyspy. Wolą, by Kubą zajął się kto inny, najlepiej USA i Europa. Biernie się przyglądają, jak wenezuelski przywódca Hugo Chavez namaszczony przez Fidela Castro na jego ideologicznego dziedzica, szasta petrodolarami i nie tylko podtrzymuje przy życiu zdruzgotaną gospodarkę Kuby, ale kupuje latynoskich polityków, by trzymali się z dala od spraw wyspy.

– Perspektywa przemian na Kubie jest postrzegana w Ameryce Łacińskiej jako kłopot, a nie jako szansa – już na początku naszej wyprawy ostrzegał nas w Waszyngtonie José Miguel Insulza, wybitny chilijski socjalista, były minister, a dzisiaj sekretarz generalny Organizacji Państw Amerykańskich (OEA). Ale zaraz dodawał: – Jednak OEA nie jest dzisiaj w stanie postawić tej sprawy na obradach albo upoważnić swego sekretarza generalnego, by pojechał na Kubę i zaczął namawiać reżim i dysydentów do rokowań. Przyczyną jest sprzeciw Wenezueli i innych krajów kontynentu. Zresztą są i inne przeszkody. – Administracja USA nie zezwoli sekretarzowi OEA, który ma siedzibę w Waszyngtonie, na podróż do objętej amerykańskim embargiem Kuby. No i nie wiadomo, co zrobiliby emigranci kubańscy, którzy nie pogodzą się z tym, że proces transformacji miałby się odbyć bez ich udziału – nie bez pewnej ulgi, że to, co mówi, zwalnia go z obowiązku osobistego zaangażowania się w sprawę, kończy Insulza.

I rzeczywiście. Prognoza człowieka zasłużonego w przezwyciężaniu

dziedzictwa dyktatury gen. Augusto Pinocheta, że Kuba to kłopot, a nie szansa, sprawdziła się. Kompleks potęgi USA, mit rewolucji kubańskiej, który wciąż ożywia miliony wykluczonych biedaków w Ameryce Łacińskiej, wiara w Hugo Chaveza i strach przed rzekomo szatańską rolą kubańskiego wychodźstwa – te wątki wracały odtąd jak refren w naszych rozmowach w Bogocie, San Salwadorze i Gwatemali.

Najboleśniej chyba w Kolumbii, 40-milionowym kraju, który jest od wielu lat najlepszym sojusznikiem USA na kontynencie, zdecydowanym trzymać się demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej. Choć demokratycznej Kolumbii nic nie łączy z komunistyczną Kubą, to wpływy, jakie wśród lewackich kolumbijskich armii terrorystycznych ELN i FARC toczących od lat wojnę z rządem zachowuje kubański dyktator, powstrzymują rząd prezydenta Álvaro Uribe przed przyjęciem roli krytyka kubańskiej dyktatury.

Dlaczego nie można liczyć na Kolumbię, najdobitniej uzmysłowił nam Rafael Nieto, do niedawna wiceminister sprawiedliwości, który za swej kadencji wydał Amerykanom kilkuset szmuglerów kokainy, dziś adwokat i publicysta. – W oczach rodzimej lewicy i opinii na kontynencie rząd prezydenta Uribe nosi na sobie niewygodne piętno sojusznika USA, a przedsiębiorców kolumbijskich łączą silne więzy z oligarchią wenezuelską. Polityka zagraniczna Uribe jest więc bojaźliwa i kunktatorska, bo pojmuje on ją wyłącznie w kategoriach polityki wewnętrznej – mówi Rafael Nieto.

Rozmowy z przywódcami partii konserwatywnej, sojuszniczej wobec prezydenta Uribe, oraz opozycyjnej – liberalnej – a także nasze próby wysondowania opinii opozycyjnej lewicy Polo Democratico tylko potwierdziły tę diagnozę. Niezmiennie padała odpowiedź, że choć sprawa jest słuszna, to Kolumbii szczególnie niezręcznie się nią zająć. Bo wojna domowa, rokowania z ELN, własny konflikt ideologiczny z lewicą, sojusz z USA, sąsiedzkie spory z Wenezuelą itd.

Jak dalece zasady demokracji i wolności, którymi tyleż uroczyście co teoretycznie kierują się państwa Ameryki Łacińskiej zrzeszone w OEA (z wyjątkiem Kuby), idą w kąt, kiedy tylko przychodzi do Realpolitik, uzmysłowiono nam w Salwadorze. Jako jeden z niewielu krajów nie utrzymuje on stosunków dyplomatycznych z Kubą, nie brał udziału w niedawnym szczycie tzw. niezaangażowanych w Hawanie i od lat krytykuje Castro. Wiceminister spraw zagranicznych Salwadoru Eduardo Calix nie ma wątpliwości, że wszelka próba postawienia w OEA sprawy demokratyzacji Kuby zostanie natychmiast utrącona przez Wenezuelę i Boliwię, ale także Brazylię, Argentynę czy Urugwaj. Gdy niedawno Salwador próbował stanąć

w obronie demokratycznie wybranego rządu Nikaragui zagrożonego obaleniem przez dwie partie skrajnie sobie przeciwne, ale zgodnie zwalczające rząd – z jednej strony skazanego za korupcję byłego, skrajnie prawicowego prezydenta Arnoldo Alemána, z drugiej skompromitowanego lewicowego przywódcy sandinistów Daniela Ortegi – rezolucję utrącił Urugwaj jako „niedopuszczalne wtrącanie się w wewnętrzne sprawy" Nikaragui.

I w Kolumbii, i w Salwadorze, i w Gwatemali ze zdumieniem przyjmowano nasze uwagi, że absolutna suwerenność we współczesnym świecie nie istnieje, skoro państwa same zgodziły się zrzeszać w ponadnarodowych stowarzyszeniach – jak ONZ, Unia Europejska czy OEA – rządzących się wspólnymi zasadami, jak konwencje praw człowieka czy karty praw obywatelskich. Z chwilą gdy zasady te stają się uzgodnioną podstawą ponadnarodowej wspólnoty, ich przestrzeganie przestaje być wewnętrzną sprawą poszczególnych krajów, staje się zaś nadrzędną regułą międzynarodowego współżycia. Suwerenność absolutna jest dziś przywilejem dyktatur – reżimów, które nie słuchają nikogo, a zwłaszcza własnego, wyzutego z wszelkich praw i sprowadzonego do roli ludności społeczeństwa. Być może więc najbardziej niezależnym reżimem jest dzisiaj dyktatura Fidela Castro czy Kim Dżong Ila w Korei Północnej.

Sugerowaliśmy, że poprawne stosunki z reżimem kubańskim nie oznaczają schlebiania dyktaturze. Mówiliśmy, że reżim komunistyczny w Polsce bywał napominany przez Zachód co do przestrzegania praw człowieka przewidzianych układem helsińskim. Wreszcie, że stosunki z reżimem nie wykluczają kontaktów z opozycją demokratyczną. Pomysł, by ambasada Gwatemali w Hawanie zorganizowała seminarium otwarte dla funkcjonariuszy reżimu i publiczności na temat swoich doświadczeń w doprowadzeniu do pokoju po latach wojny domowej, która kosztowała 200 tys. ofiar, wzbudził szczery zachwyt w gwatemalskim MSZ. Coś podobnego nigdy wcześniej nie przyszło im do głowy.

Zastanawialiśmy się, skąd się bierze ta latynoska niezdolność do stawienia czoła rzeczywistości dzisiejszej Kuby. Skąd ta bezradność wobec ustroju, który trwał wyłącznie dzięki miliardowym dotacjom Związku Sowieckiego (a od kilku lat Wenezueli), a na zewnątrz eksportował mit ustroju sprawiedliwości? Wobec reżimu, który po orwellowsku obraca w swe przeciwieństwa pojęcia wolności, demokracji, prawdy. Ktokolwiek był na Kubie i wytknął nos poza luksusowe kurorty, zrozumiał, że Kuba jest po 47 latach dyktatury krajem zburzonym, a jej społeczeństwo jest rozbite, zastraszone i zdemoralizowane.

Myśleliśmy, że jeśli wiedzą to ludzie zza Atlantyku, tym bardziej muszą

to wiedzieć ludzie w Ameryce Łacińskiej.

Nic podobnego. Oprócz poputczyków rewolucji na Kubę nie jeżdżą, a jeśli już, to jako dyplomaci lub goście reżimu. Nade wszystko jednak wciąż są zakładnikami wyzwoleńczego mitu rewolucji nagłaśnianego przez lata natrętną propagandą. Nie dlatego, że rozumni latynoscy intelektualiści sami w ten mit wierzą, lecz dlatego, że wierzą weń ludzie prości i biedni, których tu nie brakuje.

W tej mierze wszyscy w Ameryce Łacińskiej są więźniami własnej „historii o poskręcanych korzeniach", jak swoją książkę o dziejach kontynentu zatytułował wybitny Kubańczyk Carlos Alberto Montaner. Jeśli więc wiedzą, że komunizm nigdzie – ani w Związku Sowieckim, ani w Europie Wschodniej, ani na Kubie – nie rozwiązał żadnego z problemów, to wiedzą też, że nie rozwiązały ich w Ameryce Łacińskiej próby zaprowadzenia porządku demokratycznego i wolnorynkowego – nie wspominając już o prawicowych wojskowych dyktaturach. I tym kompleksem winy żywi się nieprzerwanie reżim Fidela Castro, który przez długie lata wysyłał do krajów latynoskich partyzanckie armie, a dziś wysyła tam brygady kubańskich nauczycieli i lekarzy.

Były prezydent Salwadoru w latach 90. Armando Calderón tłumaczy to tak: – Syndrom słabości naszych krajów wobec Kuby bierze się stąd, że na tym kontynencie ponad 60 proc. ludzi żyje w nędzy. To nasz kompleks i bat na nas. Kuba zawłaszczyła sprawę biednych i zdołała przekonać wszystkich, że to ona jest ich jedynym autentycznym obrońcą. Ameryka Łacińska, gdzie wciąż słabe jest państwo prawa i wątłe instytucje demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego, nie może sobie z nędzą i tym mitem poradzić.

Calderón jest szczególnie wiarygodny, bo jako działacz prawicy nie ma wobec kubańskiego komunizmu kompleksów ideologicznych. Był prezydentem z ramienia prawicowej partii ARENA i w latach 1994-99 wcielał w życie porozumienie pokojowe, które w 1992 roku zakończyło wieloletnią wojnę domową toczoną między rządem i lewicowym Frontem Wyzwolenia im. Farabundo Marti wspieranym, a jakże, przez komunistyczną Kubę.

Jak refren pojawia się alibi dla braku wolności: powszechna i darmowa służba zdrowia oraz powszechny i darmowy system edukacji. Nic to, że i to jest fikcją. Dobra medycyna jest w elitarnych klinikach dla nomenklatury i zagranicznych gości, jak Diego Maradona, a zwyczajny Kubańczyk ma tylko formalny dostęp do szpitali, gdzie zwykle nie ma łóżek ani lekarstw, pacjent musi mieć własną pościel, a rodzina przynosi mu jedzenie. Kubańscy lekarze, których tysiące wysyła Fidel Castro w rejony biedy w Gwatemali czy Wenezueli, są gorzej wykształceni od swoich miejscowych kolegów, pracują

za to w warunkach, w jakich ci ostatni pracować nie chcą, i za marne pieniądze. Nic to, że edukacja, choć powszechna, jest anachroniczna i bardziej przypomina system indoktrynacji, gdzie nawet alfabetu uczy się na ikonach rewolucji – „F jak Fidel" – a karabin, czołg i walka zbrojna stanowią treść dziecięcych czytanek. Lepsze to niż nic, powiedzą wszyscy ci, którzy w swoich krajach o szpitalu i szkole mogą tylko marzyć.

Dlatego nawet poufne spotkania przywódców Ameryki Łacińskiej wyglądają tak jak pamiętny szczyt w Bariloche w Argentynie w 1996 roku. Kiedy zakończono oficjalne rozmowy, w salonie zamknęli się w atmosferze zaufania i odprężenia sami przywódcy kontynentu, wśród nich goście z dawnej metropolii, król Hiszpanii Juan Carlos i socjalistyczny premier Felipe González. Prezydent Armando Calderón najłagodniej, jak umiał, zaproponował Fidelowi Castro, żeby ten uwolnił więźniów politycznych i wysłał ich do Salwadoru, gdzie rząd się nimi zaopiekuje.

Fidel Castro rzucił się na niego, wyzywając go od morderców własnych więźniów i szlachetnych bojowników przysyłanych z Kuby w latach wojny domowej. Calderón bronił się, mówiąc, że to Castro podsycał wojnę, a on zaprowadził w Salwadorze pokój. Na ratunek pospieszył król Hiszpanii, niekwestionowany autorytet dla przywódców kontynentu. Z wyjątkiem Fidela Castro. Ten naskoczył na Juana Carlosa, bezceremonialnie pytając, kto jego, monarchę, którego generał Franco wyznaczył na swego następcę, upoważnił do przemawiania w demokratycznym gronie. Królowi, jednemu z głównych aktorów hiszpańskiego przejścia z frankistowskiej dyktatury do demokracji, odebrało mowę. Z odsieczą pospieszył więc premier Felipe González, który odrzucając swą sympatię dla Fidela Castro, wygarnął mu od pożałowania godnych dyktatorów, którzy ciemiężą od dziesięcioleci naród kubański. – Ty masz czelność tak zwracać się do mojego króla? Jakim prawem pouczasz o demokracji ty, któremu my w Hiszpanii dawaliśmy ranczo, bylebyś tylko zostawił biedną Kubę w spokoju i sam żył w dostatku? – mówił González. Zaraz potem premier Portugalii Mario Soares, też socjalista, patrząc prosto w oczy Fidelowi Castro, nazwał go największym rozczarowaniem światowej lewicy, także jego osobistym rozczarowaniem jako byłego rewolucjonisty. Tego było za wiele nawet dla tak wybitnego wojownika jak Fidel Castro. Wypadł z sali wściekły bez pożegnania, pokłócony ze wszystkimi.

I tak już zostało. Skłócony z USA, Europą i większością krajów kontynentu dyktator trzyma wciąż światową i kontynentalną lewicę, choć mocno już rozczarowaną, w sentymentalnym szachu jako nieprzejednany wróg Ameryki i kapitalizmu oraz samozwańczy rzecznik wykluczonych. Jako ten, co leczy i uczy za darmo. Przywódcy Ameryki Łacińskiej traktują go trochę jak

zapomniany muzealny eksponat, a trochę jak nieobliczalnego wariata, którego lepiej nie drażnić. Kubański dyktator od tak dawna i tak natrętnie rozpycha się na scenie politycznego teatru wyobraźni, że publiczność zapomniała prawie o 11 milionach Kubańczyków, których porwał 47 lat temu i trzyma w potrzasku. Niewiele trzeba wyobraźni, by przewidzieć, że kiedy już go zabraknie, przed wszystkimi stanie wyzwanie – odbudować zrównany z ziemią kraj i pomóc podnieść się z kolan pokonanemu narodowi.

Tylko trzeba, żeby się chciało chcieć.

RUNĄ MURY FIDELA

Zaczyn

Konferencje nie zmieniają świata. Konferencja w Pradze poświęcona Kubie nie obali totalitarnych rządów Fidela Castro. Ale może przygotować Kubańczyków w kraju i na emigracji do wspólnej odbudowy ojczyzny po śmierci tyrana

– Na Kubie zastałem taki klimat otwarcia i wolności, jakiego nie znalazłem w żadnym kraju na Karaibach czy w Ameryce Środkowej. Byłem u wielu przywódców – w Panamie, Salwadorze, Nikaragui – ale nigdzie nie widziałem równie żywiołowej serdeczności jak na ulicach Hawany wobec Fidela. Entuzjazm był całkowicie spontaniczny. Może kiedy jeździliśmy do szpitali, to ktoś ich uprzedzał. (...) Patrząc na twarze ludzi, widzę, czy udają, czy nie. Pracuję z aktorami i wiem, kiedy udają – mówił tydzień temu w San Sebastian amerykański reżyser Oliver Stone po powrocie z Kuby, gdzie nakręcił drugi już film dokumentalny z Fidelem Castro w roli głównej. Film nosi tytuł „Looking for Fidel".

Niektórych lewicowych głów, w których wciąż kołacze się myśl, że z rewolucji kubańskiej da się jeszcze coś ocalić, nie przemebluje żadne świadectwo rozpaczy zza bram więziennych ani żaden widok nędzy, strachu

i upodlenia, w jakie wtrąciła Kubańczyków dyktatura Castro. Tym bardziej nie sprawi tego żadna konferencja międzynarodowa.

Stone'a nie było, rzecz jasna, na spotkaniu, które od 17 do 20 września zorganizowały w Pradze Międzynarodowy Komitet na rzecz Demokracji na Kubie oraz organizacja People in Need. Konferencja odbywała się pod patronatem byłego prezydenta Czech Vaclava Havla.

Bo też Stone byłby w Pradze nie na miejscu. Uczestnikom obrad nie chodziło o to, by głośniej i dobitniej niż kiedykolwiek przedtem potępić totalitarny reżim Castro. Nie zamierzali też obalać mitu „sprawiedliwej rewolucji" i jej Wielkiego Sternika. Jeśli ów mit gdzieś jeszcze trwa, niech raczej sam zwiędnie. Na przekonywanie Stone'a szkoda czasu.

Praskie spotkanie miało potrząsnąć wpływowymi politykami i autorytetami publicznymi – ludźmi, którzy mogą coś zrobić, by dzisiejszy stan rzeczy na wyspie zmienić lub przynajmniej pomóc Kubańczykom, którzy od lat starają się go zmienić.

– Tak licznej, reprezentatywnej i ciekawej konferencji o Kubie nie było od rewolucji 1959 roku – mówili mi w Pradze Carlos Franqui i Carlos Alberto Montaner, weterani walki o wolność.

Obok sławnych polityków, jak Vaclav Havel, Patricio Aylwin (pierwszy demokratyczny prezydent Chile po dyktaturze Pinocheta), Filip Dymitrow (były premier Bułgarii) czy José Maria Aznar (były premier Hiszpanii), obok pisarzy, publicystów, bojowników przeciw lewicowym i prawicowym dyktaturom, starych emigrantów kubańskich i tych, którzy uciekli z wyspy całkiem niedawno, na sali obrad nie brakowało młodych ludzi z organizacji pozarządowych – czeskich, słowackich, hiszpańskich, holenderskich i szwedzkich. Wszyscy byli na wyspie po kilka razy, ale – w przeciwieństwie do Stone'a – nie biesiadowali po 40 godzin w towarzystwie Castro, lecz odwiedzali w dalekich miasteczkach rodziny więźniów politycznych. Przywozili żywność, lekarstwa i pociechę, że ktoś na świecie pamięta o prześladowanych. Widzieli bezmiar dewastacji gospodarki. Widzieli społeczeństwo, w którym rozbito międzyludzkie więzi solidarności, współczucia i pomocy wzajemnej, zniszczono poczucie godności i przyzwoitości, wyzuto ludzi z nadziei. To właśnie każe młodym ludziom z People in Need, Cuba en Transición i wielu innych organizacji pomagać bezbronnym ofiarom totalitarnej dyktatury.

W tym samym czasie „pragmatyczne" rządy w Hiszpanii, Włoszech czy Kanadzie w trosce o rodzime kapitały zainwestowane na Kubie każą swoim ministrom i dyplomatom pić rum w towarzystwie komunistycznej nomenklatury. Byle tylko zbudować kolejny luksusowy hotel, do którego

zjadą bogaci turyści z Zachodu, ale do którego Kubańczycy mają zakaz wstępu. Albo kolejną kopalnię niklu, której pracownicy otrzymują mniej niż 10 proc. sumy, jaką państwo komunistyczne pobiera od zachodnich inwestorów z tytułu funduszu płac. Trzeba więc wymuszać zmianę postępowania na rządach, które nie żądają uwolnienia więźniów politycznych i nie głosują za rezolucjami potępiającymi reżim Castro w Komisji Praw Człowieka ONZ, a od kubańskich dysydentów opędzają się jak od much.

Rozumieją to Czesi, którzy – jak Vaclav Havel, przewodniczący Senatu Petr Pithart czy szef MSZ Cyril Svoboda – sami byli prześladowani przez dyktaturę komunistyczną i dziś czują potrzebę spłaty długu za wsparcie, jakie opozycja w Europie Środkowej dostawała od krajów demokratycznych. Czechom w ich staraniach o „wolność waszą" nie przeszkadza ani rutyna codziennej polityki, ani reformy gospodarcze, ani integracja z UE i NATO. Szkoda, że w Pradze zabrakło polityków i działaczy organizacji pozarządowych z Polski. Co prawda w komisji ONZ w Genewie kolejne polskie rządy potępiały reżim Castro, ale takiej temperatury zbiorowego zaangażowania w sprawę kubańskiej wolności jak w Pradze trudno by szukać w Warszawie.

W Europie bywa jednak gorzej. Demonstrowanie antyamerykańskości wciąż jest dla wielu Europejczyków ważniejsze niż okazywanie pomocy i solidarność z narodem zamkniętym – jak mówił Havel – „w jednym wielkim więzieniu".

– Kuba została zdradzona, bo nie ma rewolucji bez wolności. Mówiłem to już w 1961 roku – przypomniał w Pradze były prezydent Kostaryki Luis Alberto Monge. – Ale Fidel był światowym idolem i nikt nie chciał widzieć tego, co się naprawdę dzieje. To haniebna hipokryzja i podwójna moralność, jeśli się zwalcza dyktatury prawicowe, a nie chce potępić komunistycznej.

– Niewielu polityków przejmuje się Kubą. Kiedy ich o to pytam, przerywają i pomstują na amerykańskie embargo – mówił Tomasz Pojar, szef People in Need. – Ręce opadają! Co ma embargo do tego, że z Kuby na naszą konferencję nikogo nie wypuścili, a wideo z nagranymi pozdrowieniami od dysydentów z trudem udało nam się przeszmuglować?

W rzeczy samej, co ma wspólnego embargo, którego kraje europejskie i tak nie przestrzegają, robiąc krociowe interesy z komunistycznym reżimem, z losem José Garcii Péreza Antuneza, młodego czarnego Kubańczyka, który w 1990 roku krzyczał na ulicy, że chce w swoim kraju pierestrojki, i do dziś siedzi za to w więzieniu?

Co ma embargo do tego, że w 2003 roku Castro wsadził na wiele lat do więzienia 75 dziennikarzy, pisarzy, działaczy różnych grup opozycyjnych? 13 skazanych to ludzie, którzy w swoich domach zorganizowali niezależne

biblioteki. Ramon Colás, który w 1998 roku stworzył ruch niezależnych bibliotek, dwa lata temu uciekł do USA po wielokrotnych aresztowaniach i pobiciach. Podczas konferencji mówił, że na Kubie wciąż działa 67 wolnych bibliotek. Każda ma około tysiąca tomów i obsługuje od kilkuset do kilku tysięcy osób. Bibliotekarze codziennie ryzykują wieloletnim więzieniem.

– Embargo jest dziś tak poluzowane, że USA są szóstym eksporterem żywności i lekarstw na Kubę – przekonywał Colás. – Obejmuje tylko finansowanie handlu i inwestycji kapitałowych. Co to ma wspólnego z represjami wobec całego narodu? Zniesienie embarga nic by w życiu przeciętnego Kubańczyka nie zmieniło. A Amerykanie po prostu nie chcą dawać reżimowi pieniędzy na dalsze trwanie.

Oferują za to zwykłym Kubańczykom książki i dostęp do internetu w swej sekcji konsularnej (namiastce ambasady) w Hawanie, radioodbiorniki, magnetofony, lekarstwa, żywność. Samych książek amerykański konsul rozdaje tysiąc tygodniowo, a przy dziesięciu terminalach internetowych kłębi się przez osiem godzin dziennie zbity tłum. Nawet jeśli część z nich to agenci – takie są koszty przedsięwzięcia. Niestety, żadna ambasada reprezentująca kraje bogatej UE nie prowadzi na taką skalę akcji pomocy dla dysydentów ani po prostu ludzi spragnionych kontaktu ze światem. Obok Amerykanów największym dostawcą wszelkiej pomocy humanitarnej – w tym książek dla niezależnych bibliotek – jest Szwecja. Czyżby chciała odkupić winę bezwarunkowego poparcia, jakiego do swej śmierci w 1986 roku udzielał Fidelowi socjaldemokratyczny premier Olof Palme?

Carlos Franqui – towarzysz walki Fidela w latach 50. i główny propagandzista reżimu w pierwszych latach po zwycięstwie rewolucji – uciekł z wyspy w 1963 roku, gdy uznał, że „moja rewolucja humanistyczna okazała się komunistyczną". Pieczołowicie wyliczył, że od roku 1960 przez obozy koncentracyjne, obozy pracy i więzienia przewinęło się ok. miliona Kubańczyków, którzy zostali skazani łącznie na ponad cztery miliony lat! W 1958 roku „krwawy kat" Fulgencio Batista miał 14 więzień, Wielki Sternik ma ich dziś 200. Czy to też wina embarga?

Franqui uważa, że komunizm tak do szczętu spustoszył Kubę, że na dźwignięcie kraju z ruin potrzeba będzie ok. 55 mld dol. Kto je da?

Może blisko dwumilionowe wychodźstwo kubańskie. – Jeśli ktoś chce zobaczyć, co mogliby osiągnąć Kubańczycy bez komunizmu, niech spojrzy na emigrantów w USA, Hiszpanii i innych krajach – mówiła Jane Kirkpatrick, była ambasador USA przy ONZ. A Colás przytaczał druzgocące dla reżimu Castro wyliczenie: 800 tys. Kubańczyków mieszkających w Miami wytwarza rocznie 12 razy więcej, niż wynosi produkt krajowy brutto ich ojczyzny, gdzie

mieszka 11 mln rodaków.

Nawet ci uczestnicy konferencji, którzy – jak była premier Kanady Kim Campbell – uważają, że embargo USA jest błędem, nie twierdzą, że powiększa ono nędzę Kubańczyków. Ich zdaniem embargo daje reżimowi do ręki oręż propagandowy, pozwala wmawiać Kubańczykom, że ich kraj jest szlachetnym Dawidem zmagającym się z podłym Goliatem i tylko dlatego wciąż nie udało się zbudować na wyspie obiecanego raju.

Niemal wszyscy uczestnicy konferencji – nawet liczna reprezentacja wychodźstwa z Florydy – zgadzali się, że przywrócenie demokracji musi być dziełem samych mieszkańców wyspy. Emigranci i świat demokratyczny mogą Kubańczykom pomóc, ale ich nie wyręczą. Niemal wszyscy zgadzali się też, że najmniej bolesnym scenariuszem byłaby naturalna śmierć dyktatora, co pozwoliłoby jego reformatorsko nastawionym spadkobiercom zawrzeć kompromis z opozycją wewnętrzną i organizacjami emigracyjnymi.

Havel przestrzegał nawet Kubańczyków i Zachód przed skupianiem się na upadku dyktatury: – Radzę nie myśleć, jak obalicie Castro, ale co będzie potem. Po zmianie władzy szybko nadchodzi rozczarowanie, bo ludzie mają wielkie nadzieje, że teraz to już zapanuje raj na ziemi. Bardzo łatwo zbić ten piękny, ozdobny talerz, trudniej go potem posklejać. Myślcie więc o naszych błędach, żeby ich nie powtórzyć. Wykorzystajcie nasze doświadczenia.

Także byli premierzy – Filip Dymitrow z Bułgarii i Mart Laar z Estonii – ostrzegali, że miodowy miesiąc wolności trwa krótko. Upadkowi dyktatury towarzyszą głębokie załamanie gospodarki, wzrost cen, rozpad struktur państwa. Trzeba się spieszyć, by stworzyć masę krytyczną transformacji, zanim pojawi się rozczarowanie i recydywa ancien régime'u.

Wielu Kubańczyków na emigracji uważa, że w kraju istnieją grupy potencjalnych reformatorów świadome cywilizacyjnego krachu systemu. Dziś sznuruje im usta strach przed zemstą Castro, nietolerującego najmniejszego sprzeciwu, ale jutro, po jego śmierci, zechcą ocalić skórę i stanowiska, paktując z opozycją. Większość polityków z Europy Środkowej, a także wybitny historyk i publicysta kubański Carlos Alberto Montaner i chilijscy politycy chadeccy, jak Gutenberg Martinez, przekonywali, że opozycja w kraju i na emigracji już teraz musi się przygotować do zawarcia paktu na rzecz transformacji. Musi się zjednoczyć wokół głównego celu, jakim jest przywrócenie demokracji, pluralizmu i gospodarki rynkowej.

Deklaracja praska uchwalona przez aklamację pod koniec konferencji próbuje zmobilizować międzynarodowe lobby na rzecz demokracji na Kubie. Mówi się w niej o potrzebie:

- stworzenia międzynarodowej grupy byłych mężów stanu, grupy

parlamentarzystów i sieci organizacji pozarządowych, których celem byłoby zabieganie o przywrócenie wolności na wyspie;

■ „adoptowania" każdego więźnia politycznego na Kubie przez jednego z posłów do demokratycznych parlamentów;

■ sporządzenia listy ludzi reżimu odpowiedzialnych za represje i odmówienia im prawa wjazdu do państw demokratycznych;

■ nakłonienia państw UE i Ameryki Łacińskiej do uznania dysydentów na wyspie za partnerów dialogu politycznego i otwarcia przed nimi drzwi ambasad;

■ stworzenia grupy ekspertów, która spisze nauki płynące z demokratycznych przemian w krajach odrzucających dyktatury;

■ podjęcia międzynarodowej mediacji pomiędzy dysydentami na wyspie i ugrupowaniami emigracyjnymi w sprawie wspólnego paktu na rzecz transformacji pokojowej.

Gdyby to wszystko się udało, prawdopodobieństwo brutalnego upadku dyktatury i krwawej spirali odwetu stałoby się znikome.

Minister spraw zagranicznych Kuby Felipe Pérez Roque w wywiadzie dla agencji AP o praskiej konferencji: „To igrzyska zorganizowane przez pewnych emerytowanych polityków. Oni nie mają żadnego poparcia ani uznania w swoich krajach, więc usilnie próbują się czymś zająć. Nas to tylko śmieszy. A tych polityków jest nam żal".

W Pradze byli obecni byli prezydenci i premierzy: Czechosłowacji i Czech – Vaclav Havel, Bułgarii – Filip Dymitrow, Estonii – Mart Laar, Chile – Patricio Aylwin, Hiszpanii – José Maria Aznar, Urugwaju – Luis Alberto Lacalle, Kostaryki – Luis Alberto Monge.

TAK SKOŃCZY BŁAZEN

Testament Hubera Matosa

Drobny, niewysoki, siwiutki, siedzi skromnie na krześle w saloniku hotelu Sheraton w Warszawie w otoczeniu kilku rodaków – podobnie jak on uchodźców z komunistycznej Kuby. Huber Matos. Jeden z najwybitniejszych przywódców rewolucji kubańskiej w 1959 roku, a zarazem jedyny, który przeciwstawił się dyktatorskim i komunistycznym zapędom Fidela Castro. Zapłacił za to wysoką cenę – 20 lat więzienia

Swej błyskotliwej, kilkugodzinnej obronie na pokazowym procesie publicznym w teatrze w Hawanie w grudniu 1959 roku, która przyniosła mu aplauz publiczności, w większości żołnierzy rewolucjonistów, zawdzięcza zapewne ocalenie przed rozstrzelaniem. Castro podyktował trybunałowi tylko więzienie, choć zarzut – zdrada – był najcięższy z możliwych. Wódz wolał nie mieć męczennika.

Huber Matos był przed rewolucją nauczycielem, demokratą, spiskował przeciw dyktaturze wojskowej Fulgencio Batisty ustanowionej w 1952 roku. Nie wziął udziału w ekspedycji Castro na Kubę w 1956 roku, ale na emigracji w Kostaryce organizował pomoc wojskową dla partyzantki w górach Sierra

Maestra. Na wyspę przybył z lotniczym transportem broni w marcu 1958 roku i przystąpił do walki zbrojnej. W krótkim czasie stał się jednym z najważniejszych dowódców. Latem 1958 roku dowodził okrążeniem Santiago de Cuba, drugiego najważniejszego miasta na wyspie. Kiedy się poddało, Batista uznał walkę za przegraną i uciekł z kraju. 8 stycznia 1959 roku partyzanci triumfalnie wjechali do Hawany.

Na historycznych zdjęciach na czele jadą trzej najwięksi brodaci wyzwoliciele: Fidel Castro, Camilo Cienfuegos i Huber Matos.

Zrazu Castro mianuje Matosa dowódcą armii w prowincji Camaguey. Uważa go jednak za trzeciego najważniejszego przywódcę, po sobie i Raúlu. Dlatego chce go na szefa armii lądowej, na ministra do rządu. Ale w sekrecie wraz z bratem Raúlem i Argentyńczykiem Ernesto Che Guevarą knuje plan zaprowadzenia dyktatury komunistycznej na Kubie. Matos nie może się z tym pogodzić. W swojej prowincji sprzeciwia się doraźnym egzekucjom „wrogów rewolucji" bez uczciwego procesu, którym patronuje Fidel Castro. Interweniuje u Fidela. Cienfuegos, przyjaciel Matosa, ma podobne wątpliwości. Ale Castro zwodzi go i zbywa, mówiąc, że zapanuje nad komunistycznymi ciągotami Raúla i Che.

Latem 1959 roku Matos pisze list do Castro, że ponieważ nie podobają mu się nominacje komunistów, ton propagandy i antydemokratyczny bieg zdarzeń, jest gotów odejść. Wódz odrzuca dymisję, mówiąc, że Matos jest niezbędnym przywódcą rewolucji, a rewolucja to jedność. Ale dyktatura skrada się niepowstrzymanie. Fidel Castro wymienia prezydenta Manuela Urrutię, sławnego sędziego, demokratę i liberała, który ma dość firmowania autorytarnych porządków, na potulnego Osvaldo Dorticósa. 19 października Matos, który ceni Urrutię, składa ponownie dymisję na piśmie.

Tym razem Castro się zgadza, ale wpada w furię. Każe natychmiast aresztować Matosa. 21 października z balkonu w mieście Camaguey przewodzi wiecowi nienawiści do „zdrajcy" Matosa. Każe podnieść rękę ludziom, którzy opowiadają się za rozstrzelaniem zdrajcy. „Pod ścianę!" – wyje uwiedziony tłum. Matos słucha tego, stojąc w pokoju za plecami Fidela.

W jego winę nie wierzy Cienfuegos. Tydzień później ginie w tajemniczych okolicznościach, w rzekomym wypadku lotniczym. Szczątków jego samolotu nigdy nie odnaleziono. Matos nie ma wątpliwości, że Cienfuegosa kazali zabić Raúl i Guevara, może też sam Fidel. Po usunięciu dwóch sławnych komendantów na drodze do dyktatorskiej władzy Fidelowi Castro już nikt nie śmie stanąć.

Fidel Castro na wielkim wiecu w Hawanie powtarza zaciekły atak na Matosa i ponownie wygrywa głosowanie tłuszczy, czy należy posłać zdrajcę

pod ścianę. Tę scenę strażnicy więzienni każą Matosowi oglądać na ekranie telewizora ustawionego za kratą celi.

Dwa miesiące później w haniebnym procesie pokazowym, którym osobiście kierował Fidel Castro, trybunał wojskowy skazuje Matosa na 20 lat więzienia. Guevara i Raúl Castro domagali się egzekucji.

20 lat później, w październiku 1979 roku, Matos wychodzi na wolność. Wyjeżdża z kraju do Kostaryki. Zamieszkał w Miami (USA). Był ostatnim żywym obliczem demokratycznej rewolucji 1959 roku zdradzonej i pogrzebanej przez komunistyczną satrapię Fidela Castro. Zmarł 27 lutego 2014 roku. Ten wywiad przeprowadziłem z nim we wrześniu 2007 roku w Warszawie.

* * *

MACIEJ STASIŃSKI: To musiało być ciężkie przeżycie. 8 stycznia 1959 roku wjeżdża pan triumfalnie do Hawany z Fidelem Castro i Camilo Cienfuegosem, jest pan bohaterem rewolucji, bożyszczem tłumów. Rok później zostaje pan wyklęty jako wróg publiczny numer jeden.

HUBER MATOS: Niecały rok. Mój proces miał miejsce w grudniu.

Znał pan blisko Fidela Castro. Co to za człowiek?

– Pamiętliwy, nikczemny, mściwy, nieodpowiedzialny, wybuchowy, z niebywale rozdętym ego, który swą osobowość buduje na wyrządzaniu krzywdy innym, nawet gdyby miał to być cały naród. Nie zdziwiła mnie jego reakcja w trakcie kryzysu rakietowego w 1962 roku, kiedy żądał od Chruszczowa wywołania wojny z USA, która skończyłaby się atakiem nuklearnym na Kubę i zagładą wyspy. Nawet jeśli szarżował, wiedząc, że Sowieci na to nie pójdą, zademonstrował wtedy szaleńczą bufonadę – ja jestem gotów na wszystko. Kieruje nim jakaś demoniczna siła, mordował swoich najbliższych, najbardziej oddanych i lojalnych sojuszników, takich jak Camilo Cienfuegos czy Arnaldo Ochoa. Nie mógł znieść myśli, że cieszyli się sympatią narodu, może nawet większą niż on sam, bo byli bardziej prostolinijni i ludzcy.

Castro zdradził wszystko i wszystkich, łącznie z samym sobą. Bo zniszczył swój własny wizerunek i pomnik. Mógł przejść do historii jako dobroczyńca narodu, drugi José Marti [przywódca antyhiszpańskiego powstania na Kubie

w 1895 roku]. A przejdzie jako okrutny błazen, który ten naród zdruzgotał, został jego katem.

Kubańczycy to normalny naród, kochający życie, szczery, prosty, otwarty, przyjazny i ciepły dla innych. Castro zmienił ich w nędzarzy, pariasów, obcych we własnym kraju. W naród złodziei i donosicieli. W szkołach od małego uczy się, że wrogów rewolucji trzeba tropić i denuncjować.

Inni dyktatorzy też mordowali swoich najbliższych współpracowników: Stalin, Mao, Kim Ir Sen.

– To prawda. Fidela Castro różni od nich to, że przyszedł na świat obdarzony niebywałym talentem artystycznym. Byłby największym aktorem Hollywood, gdyby wybrał taki zawód. Ma niezwykły dar udawania, jest wcieloną pozą. Umie schlebiać, podobać się, uwodzić, przekonywać do siebie. Założy na siebie każdy strój, każdą maskę. W tym sensie jest demonem inteligencji.

Jednocześnie targają nim jakieś irracjonalne odruchy. Wpada we wściekłość, miota się, popada ze skrajności w skrajność. Wychwala cię, podziwia, by za chwilę lżyć, publicznie obrażać najgorszymi słowami. On nawet zdaje sobie z tego sprawę. Wiele razy mówił mi w Sierra Maestra, że bardzo ceni mój zmysł polityczny, moje opanowanie, że mnie potrzebuje i że sam nie wie, czemu czasem wygaduje i robi głupstwa. Na mnie też próbował się wyżywać, ale ja od razu mówiłem: stop. Jest rodzajem i żula, i tchórza zarazem.

Jak to się stało, że tak łatwo zawładnął wyobraźnią narodu?

– Bo ma niebywałą intuicję, charyzmę, dobrą prezencję – i zupełnie nie ma skrupułów. Machiavelli to przy nim osesek. Jest zawodowcem zdrady i kłamstwa. Na dodatek miał mnóstwo, ale to mnóstwo szczęścia. Sprzyjała mu fatalna, bezbrzeżnie głupia polityka amerykańska – najpierw inwazja w Zatoce Świń, potem embargo nałożone jednostronnie i arbitralnie na Kubę przez USA. Nie było to embargo międzynarodowe na wzór tego, jakie nałożono na RPA.

Miał pan dużo szczęścia, że pan przeżył.

– Owszem. Castro trzymał mnie w więzieniu 20 lat i robił wszystko, żeby mnie zniszczyć. Cudem uszedłem z życiem. Wypuścił mnie, bo myślał, że zostało mi pół roku życia. Przez pięć lat w celi więzienia La Cabana

w Hawanie wdychałem dym z piecyka na ropę. Gdy później w więzieniu zrobili mi zdjęcie rentgenowskie, okazało się, że mam zupełnie czarne płuca, wszystkie pęcherzyki pokryte czarną mazią. Jak wydmuchałem nos, to wylatywała tłusta sadza. Gdy to zdjęcie zobaczył więzienny lekarz, powiedział: „Długo nie pożyjesz, tego się nigdy nie wyleczy".

Jednak pan wydobrzał.

– Powoli się pozbierałem. Najważniejsza była wolność. Błogosławieństwo wolności. Pospolity więzień wie, że coś przeskrobał, i przyjmuje więzienie jako karę społeczeństwa. Ale ktoś, kto nie zrobił nic złego, odbiera karę jako arbitralną i absurdalną.

Najtrudniej było znosić bicie i kopanie strażników – za nic, za obronę samego siebie. A także to, że tyle czasu nie ma muzyki, nie ma pejzażu, nieba i słońca. Na Isla de Pinos umieścili mnie w budynku tzw. szpitala – ale tylko z nazwy, żeby mówić, że komendanta Matosa trzymają w szpitalu. Miałem szczególnie ostry reżim, jedzenie najgorsze z możliwych. Chodziło o to, żeby mnie jak najbardziej upokorzyć, sponiewierać. Bili mnie często. Zawsze oddawałem. Wtedy bili jeszcze mocniej, aż nie mogłem się ruszać. Mieli jasny cel: zrobić ze mnie szmatę, strzęp człowieka. To cud, że przeżyłem i nie zwariowałem.

Ale były też jasne chwile. Moim głównym strażnikiem był niejaki Marcelino Sanjuan. Mówił: „Robię, co mi każą". Ja bardzo lubię dzieci. Dowiedziałem się, że ten Marcelino ma małą córkę. Poprosiłem go kiedyś: „Jak chcesz mi zrobić przyjemność, przyprowadź swoją córkę". I po kilku miesiącach przyszedł pod celę z córką. Pozwolił jej zostać pod kratą. Rozmawialiśmy trochę. To było Boże Narodzenie. Takie gesty się docenia, jak się siedzi w ciemnej celi, przez rok nie widząc słońca. Gdy przenosili mnie do więzienia La Cabana i jeden z oprawców chciał mi założyć kajdanki, Marcelino nagle odwrócił się i wyszedł. Nie chciał na to patrzeć.

Co teraz będzie na Kubie?

– Pan Fidel Castro umiera. Trwanie reżimów totalitarnych zależy od trzech czynników. Od sprawności aparatu represji, od władzy charyzmatycznego przywódcy i od akceptacji społeczeństwa – czy to ze strachu, czy z poczucia bezradności. Kubańczycy wiedzą, że przywódca jest skończony. A Raúl to już nie to co Fidel. Wielcy zbrodniarze u władzy, jak Stalin czy Rafael Trujillo [dyktator Dominikany w latach 1930-61], mieli polityczny talent

do manewrów i intryg. Raúl go nie ma. Jest miernotą, posłusznym wykonawcą rozkazów Fidela, użytecznym „numerem dwa" na pokładzie, ale statkiem nie pokieruje, bo nie umie. I dlatego teraz reżim dryfuje, trwa w bezruchu.

Kuba to krach, ruina, katastrofa. Wszystko zostało zniszczone – drogi, sektor energetyczny, wodociągi, transport, fabryki, uprawy. Moralność pracy nie istnieje. Musi nastąpić kryzys. Nie wiem kiedy, z jakiego powodu – ale nastąpi.

Chavez utrzymuje ten reżim, ale jak umrze Castro, umrze też mit. Pogrzeb Fidela będzie dla Kubańczyków dzwonem na przebudzenie. Nawet najgłupszy funkcjonariusz reżimu zastanowi się: przecież tu nic się nie zgadza, nic nie działa. Kiedy w Hiszpanii umarł gen. Franco, kraj działał, instytucje frankistowskie działały. Na Kubie nie, bo tu nie został kamień na kamieniu. I każdy człowiek reżimu będzie miał dziesięć powodów, żeby dłużej nie tolerować tego uwięzienia w pajęczej sieci dyktatury. Kubańczycy wiedzą, jaka jest rzeczywistość za granicą.

Czy jednak uda się obalić dyktaturę bez przemocy? Co zrobić, żeby wolność i demokracja wróciły pokojowo?

– Najwięcej zależy do wojskowych. Bo mają największą władzę – i represyjną, i gospodarczą. Fidel Castro zawsze bardzo się pilnował, żeby mu wśród nich nie wyrósł rywal albo buntownik. To dlatego słynny Manuel Piñeiro, „Czerwonobrody" [szef organów bezpieczeństwa państwa], „zginął w wypadku" w 1998 roku. Gen. Arnaldo Ochoa został skazany na śmierć w 1989 roku. A minister spraw wewnętrznych José Abrantes został skazany na 20 lat i oficjalnie zmarł w więzieniu na atak serca w 1991 roku – w rzeczywistości został otruty. Ci ludzie za dużo wiedzieli o tajemnicach reżimu, spiskach, intrygach, interesach, handlu narkotykami. Byli też inni. Pewien generał bezpieki, niejaki Labrada, doszedł do wniosku, że dłużej nie może się godzić z istniejącymi porządkami. Spalił mundur. Poddali go elektrowstrząsom i dziś gdzieś dogorywa. Niektórzy ginęli w wypadkach samochodowych.

Tym niemniej to wojskowi mają największe szanse zapoczątkowania zmian. To nie jest środowisko całkowicie hermetyczne. Co pewien czas jakiś oficer ucieka do USA. Rozmawiałem z tymi ludźmi. To tacy sami Kubańczycy jak my. Mają sumienie i wiedzą, że są ugotowani. Prawie wszyscy mają rodziny na emigracji – wiedzą zatem, jak prosperują Kubańczycy w Miami, 90 mil od wyspy.

W jakimś momencie wojskowi zechcą ratować skórę i ze skorumpowanych kacyków stać się biznesmenami. Za 5, 10, 15 lat Kuba będzie innym krajem. Ja co pewien czas wysyłam na Kubę odezwy i wezwania do wojskowych z armii i z bezpieczeństwa, na piśmie i przez radio.

Fidel Castro umiera. Co dalej?

– Może nastąpić panika i popłoch. Z jednej strony popłoch ludzi władzy ratujących skórę i majątki, z drugiej – zwykłych ludzi, którzy rzucą się do morza – byle do USA. Do tego nie wolno dopuścić. Ale może być też tak, że ludzie stopniowo będą odmawiać współpracy z władzą, bojkotować ją, aż wreszcie zażądają: „Zróbcie porządek z tym bałaganem!". Albo zaprotestują przeciw brakowi wszystkiego. I wtedy wojskowi będą mieli szansę stanąć po stronie ludzi – bo tylko pod tym warunkiem będą mogli znaleźć dla siebie miejsce w czasach po dyktaturze, na przykład jako przedsiębiorcy.

Raúl Castro może uciec do Chin albo Wietnamu. On i jego brat złupili Kubę. Podobno Raúl ma na zagranicznych kontach – w Brazylii, Hiszpanii, we Włoszech i w innych krajach – 2 mld dol. Ale do Hiszpanii czy Włoch nie ucieknie, bo tam może go dopaść jakiś sędzia Garzón. A z Wietnamu czy Chin nikt go nie deportuje. Tyle tylko, że inni współpracownicy Fidela nie dadzą Raúlowi tak łatwo uciec.

Fidel Castro pomiata bratem. Raúl nie ma wstępu do „punktu zero" – czyli strefy, gdzie przebywa chory Fidel. Mają do niego dostęp Ricardo Alarcón, Carlos Lage, Felipe Pérez Roque [czyli szef parlamentu, wiceprezydent i szef MSZ]. Ale na Kubie wciąż toczy się gra: kto i gdzie stoi. Na ostatnich urodzinach Fidela w pierwszym rzędzie na trybunie stali historyczni komendanci rewolucji: Juan Almeida, Guillermo Garcia, Ramiro Valdés, gen. Ramón Espinosa. A Pérez Roque, Lage, Alarcón znaleźli się w czwartym rzędzie. To wszystko symptomatyczne.

Dźwignąć Kubę z ruiny to gigantyczne zadanie.

– Ogromne, ale nie niemożliwe. Przez ostatnie pół wieku mieliśmy na Kubie jedyny w swoim rodzaju proces demolowania wszystkiego. Społeczeństwo upadło, moralność upadła. Ale na wychodźstwie są prawie 2 miliony Kubańczyków – ludzi przedsiębiorczych i zasobnych. Oni mogą bardzo pomóc. W czasach dyktatury Gerardo Machado w moim domu mówiło się: „Jak padnie Machado, wszystko się zmieni". I gdy padł w 1933 roku, już

po miesiącu było widać, że kraj się podnosi. Teraz też tak będzie. Trzeba tylko pozwolić ludziom siać i zbierać plony, trzeba przestać kraść owoce ich pracy.

Skąd czerpie pan przekonanie, że zwycięży umiarkowanie i zdrowy rozsądek, a nie nienawiść i chęć odwetu po latach dyktatury?

– To tylko moje pragnienie, a nie prognoza. Gdy zniknie strach, będzie mnóstwo rachunków krzywd do wyrównania, mnóstwo skumulowanej nienawiści. Jeśli załamie się porządek publiczny, może dojść do wybuchu nienawiści przeciw przemysłowi turystycznemu dla obcokrajowców, do szturmu na luksusowe hotele i sklepy dla cudzoziemców, gdzie sprzedaje się za dolary.

Sądzę jednak, że możliwy jest sojusz wojskowych oraz przedstawicieli narodu i że taki sojusz pozwoli utrzymać porządek publiczny, nie dopuścić, by popłynęła rzeka krwi. Bo równie silne jak poczucie krzywdy jest dążenie ludzi do tego, by korzystać z życia, mieć to, mieć tamto. Natura ludzka jest raczej dobra niż zła.

Społeczeństwo kubańskie jest skrajnie zatomizowane, opozycja jest słaba. Czy Kubańczykom nie zabraknie przywódców, gdy można będzie zacząć demokratyzację?

– Owszem, to poważne zagrożenie. Ale wierzę, że przetrwał zdrowy rozsądek. Również komuniści, ludzie reżimu, w pewnej chwili się opamiętają. Przecież wszyscy – także i oni – doskonale wiedzą, że gospodarka rynkowa i demokracja przedstawicielska to jedyna droga do sukcesu. W odbudowie gospodarki, instytucji i moralności publicznej może też pomóc emigracja kubańska.

Czy Kubańczycy równie łatwo, jak pokochali Fidela Castro, uwolnią się spod jego uroku?

– Jestem tego całkowicie pewien. Potomność skaże go na nienawiść albo zapomnienie. Na Kubie nie będzie można wymawiać jego imienia. Gdyby ktoś wpadł na pomysł, żeby brać pieniądze za prawo oddania moczu na jego grobie, zrobiłby majątek. Byłem świadkiem rozmowy Kubańczyków, którzy zamierzali wykopać jego kości po śmierci i zastanawiali się, czy rzucić je krokodylom, czy hienom w ogrodzie zoologicznym. Ale tak się nie stanie, bo Fidel dobrze o tym wie. Zobaczy pan, że nie dopuści, by go pochowano. Każe się spalić i rozsypać prochy, żeby nie został po nim ślad.

JANKESI, PRECZ! JANKESI, WITAJCIE!

Zwycięstwo i śmiech

Po ponadpółwiecznej gorąco-zimnej wojnie kubańska dyktatura komunistyczna przeprosiła się z prezydentem Barackiem Obamą i jest w trakcie godzenia się z jego krajem, arcywrogim imperium, przeciw któremu powstała i trwała jak samotny czerwony żagiel przez 55 lat. Kubańczycy nie posiadają się z radości

„Wybuchają" zwykle wojny. Pokój „nastaje" po zawierusze. Ale na Kubie 17 grudnia 2014 roku, jak trafnie wyraził się pewien starszy nauczyciel w Hawanie, na wieść, że po 18 miesiącach tajnych negocjacji Barack Obama i Raúl Castro ogłosili, że USA i Kuba wznowią stosunki dyplomatyczne zerwane w 1961 roku, dwa lata po rewolucji, „wybuchł pokój!". Trafnie, bo wiadomość była z rodzaju rewolucyjnych, nie nadeszła więc w sposób oczekiwany, ale „gruchnęła" właśnie i wstrząsnęła publicznością nawykłą do namolnej i wszechobecnej propagandy, w której USA i ich prezydentów od pół wieku nieodmiennie wyzywano od zbrodniarzy, terrorystów, najeźdźców, łajdaków, szubrawców i spiskowców.

Kiedy wieść usłyszał Santiago, niedoszły lekarz, bo ucieczka rodziny na Florydę przez port Mariel w 1980 roku pozbawiła go prawa do studiowania jako „elementowi ideologicznie i społecznie niepewnemu", wyłączył radio i się żachnął: – No, no, a tyle lat nas jebali! Postronni śmiali się do rozpuku. Nie wiadomo tylko, kogo Santiago miał na myśli. Amerykanów, którzy gnębili Kubę embargiem i spiskami na życie dyktatora, czy braci Castro, którzy prali Kubańczykom mózgi, że Amerykanie to wrogowie na śmierć i życie.

Inni mieszkańcy Hawany zareagowali entuzjastycznie. I praktycznie. Pewien właściciel chevroleta z 1954 roku, odebranego po rewolucji zapewne jakiemuś Amerykaninowi lub emigrantowi, który podobnie jak dziesiątki innych buicków i chevroletów złote ręce kubańskich rzemieślników utrzymują na błysk i na chodzie mimo braku części zamiennych, aż zacierał ręce: – No, teraz ceny tego złomu pójdą w górę i zaraz jakiś jankes przyjedzie kupić moje auto jako zabytek do muzeum!

Ten entuzjazm podziela hawańska ulica niemal jednomyślnie. Według sondaży 97 proc. Kubańczyków spodziewa się, że normalne stosunki z Amerykanami mogą tylko Kubie i im samym wyjść na zdrowie. Kraj wyjdzie z permanentnego stanu wyjątkowego i znormalnieje.

Propaganda sukcesu dyktatury, która trąbi, że oto odniosła zwycięstwo i po 55 latach Dawid pokonał Goliata, budzi pusty śmiech Kubańczyków i jest dowodem na to, że reżim pada ofiarą swojej własnej propagandy, która nie tyle ma społeczeństwo przekonać, ile pozwolić zorientować się reżimowi, na ilu oddanych wiernych może jeszcze liczyć.

Prawdziwym głosem ludu są kawały. Gdy oficjalna bufonada Dawida milknie w mediach, skrzywiony Kubańczyk kpi: – Jasne, płynęli i płynęli, a jak dopłynęli do brzegu, wyzionęli ducha na piasku.

W innej wersji jest jeszcze dobitniej, bo niemal każdy na Kubie wie, że żebrak z księciem nie wygrał, lecz tylko wątłą pierś natęża, żeby twarzy nie stracić.

Już kilka tygodni po hiobowej wieści krążył taki żart:

– Słyszałeś, że stosunki z USA znowu zerwane?

– Co ty!

– Obama się wkurzył, bo zadzwonił Raúl i telefonistka uprzedziła, że połączenie na koszt odbiorcy.

Kubańczycy wiedzą, że po 55 latach przodującego ustroju i szczęśliwości na wyspie kraj jest praktycznie na wyprzedaży.

Nie dziwi, że swoją skórę dyktatorzy próbują sprzedać drogo i twardo się targują. Fidel i Raúl Castro zapowiadają, że socjalizm muszą jedynie ulepszyć i wcale nie zamierzają go zamienić na demokrację parlamentarną,

a pilnowanej przez państwo gospodarki na wolny rynek. Nawet na szczycie obu Ameryk w Panamie 11 kwietnia 2015 roku, w którym dzięki amerykańsko-kubańskiej odwilży po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat mogła wziąć udział Kuba, Raúl Castro odgrażał się, że raz zdobytej w rewolucji 1959 roku władzy nie odda i że odwilż nie oznacza pełnej zgody, a zwłaszcza ideologicznej kapitulacji. Miał mówić osiem minut, ale mówił godzinę, bo – jak oświadczył zebranym mężom stanu – winni mu są czas z sześciu szczytów Ameryk, na których nie mógł być.

W domu reżim pokazuje krzepę jak zwykle i wysyła bezpiekę, by szykanowała, podsłuchiwała, zatrzymywała i groziła dysydentom. Według obecnego w Panamie opozycjonisty Elizardo Sáncheza, szefa Komisji ds. Praw Człowieka, prześladowania nawet się nasiliły i w lutym bezpieka zatrzymała na krótko prawie 500 osób.

Barack Obama jest cierpliwy i cudów nie oczekuje. Krytykom odwilży, którzy posądzają go o kapitulację i naiwność, oświadczył w Panamie, że wie, iż różnice między obu krajami w kwestii rozumienia demokracji, swobód obywatelskich i rządów prawa prędko nie znikną, ale zapowiedział, że nie obchodzą go spory, które wybuchły, kiedy jego jeszcze nie było na świecie, i że chce pracować dla porozumienia w przyszłości dla dobra obu społeczeństw.

Kubańskie ubeckie bojówki, które pojechały do Panamy demonstrować wierność rewolucji i dawać odpór dysydentom z Kuby oraz z wychodźstwa w USA, trzykrotnie starły się z nimi, obrzucając ich rytualnymi jak refren wyzwiskami od „agentów", „sługusów imperializmu", „glist" oraz „najemników", i odmówiły debaty w równoległym do szczytu przywódców forum społeczeństwa obywatelskiego. – Rewolucja nie rozmawia z najemnikami – wrzeszczeli gromko pod hotelami, w których mieszkali dysydenci i emigranci, klakierzy Castro. Na wszelki wypadek oficerowie MSW odebrali im paszporty zaraz po lądowaniu w Panamie, żeby nie przyszło im do głowy wybrać wolność.

Jednak nie przypadkiem stary i zniedołężniały 88-letni dożywotni wódz rewolucji Fidel Castro, który od 17 grudnia, gdy odwilż między USA i Kubą została ogłoszona, ani razu nie zabrał głosu w sprawie przewracającej do góry nogami rację stanu, którą sam ustanowił, proklamując komunizm.

Fidel Castro, który w czasie swoich 55-letnich jedynowładczych rządów wielokrotnie zmieniał zdanie o 180 stopni, tym razem milczy, choć stworzony przez niego bastion jedynie słusznej, anielskiej idei komunizmu przeciw wszystkim właśnie paktuje z diabłem.

Castro kapryśnie kazał Kubie a to zostać z dnia na dzień potęgą

przemysłową, a to stać się zagłębiem mleka i mięsa wołowego dla zachodniej półkuli; raz zostać cukrowym mocarstwem światowym, to znowu zaorać plantacje trzciny i budować kopalnie, wypędzać obcy i rodzimy prywatny kapitał, by znowu go hołubić, nieść zbrojną rewolucję gdzie popadnie, nie bacząc na koszty, to znowu wycofywać się do obozu państw niezaangażowanych, trwać przy socjalizmie jak ostatni Mohikanin, mimo że Związek Sowiecki i jego imperium rozpadało się w gruzy, i ogłaszać, że socjalizm na Kubie zbankrutował.

Ten nieomylny wódz i genialny sternik o sokolim spojrzeniu, który od oficjalnego wycofania się na polityczną emeryturę w 2006 roku regularnie komentuje stan świata w swoich „Refleksjach Komendanta", teraz milczy, kiedy jego kraj wywiesza białą flagę.

Bo mimo hardych zaklęć z trybuny w Panamie jego brata Raúla Fidel Castro nie może utrzymywać, że dalej krzepko dzierży w dłoni sztandar rewolucji, że nic się nie stało i że wszystko pozostanie, jak było. Kuba istotnie wywiesza białą flagę, a jedynym pytaniem jest to, za jaką cenę ją opuści. Wiedzą to stojący nad grobem bracia dyktatorzy i otaczająca ich nomenklaturowa kamaryla.

Reżim kubański nie może długo stać w rozkroku.

Spod Sekcji Interesów USA w Hawanie, która już zaraz stanie się ambasadą pełną gębą, znikły z masztów czarne flagi, które łopocząc na wietrze, zasłaniały spacerującym po nadmorskim bulwarze matecznik znienawidzonego wroga. Ktoś niepostrzeżenie usunął pobliski płot, na którym jeszcze niedawno reżim się odgrażał: „Panowie imperialiści, nie boimy się was nic a nic!".

Nie da się długo z jednej strony wychwalać Baracka Obamy jako „człowieka uczciwego i godnego podziwu", pierwszego przyzwoitego prezydenta USA po 10 szubrawcach, imperialistach i interwentach, jak to ogłosił w Panamie Raúl Castro, i jednocześnie umizgiwać się do przecież wciąż tak samo imperialistycznych USA, żeby robiły z Kubą interesy, dalej ją żywiły, jak to robią już dzisiaj, i inwestowały w infrastrukturę, telekomunikację, usługi, przemysł czy turystykę.

Nie da się normalnie rozmawiać o dobrosąsiedzkich stosunkach, emigracji i imigracji, łączeniu rodzin między wyspą i ponad 2,5-milionową diasporą kubańską w USA i w tym samym czasie wyzywać emigrantów od agentów i lokajów imperializmu.

Nie można rozmawiać z Ameryką o swobodnych kontaktach obu społeczeństw, jeśli dzisiejszych dysydentów, dziennikarzy czy artystów, czyli przedstawicieli własnego społeczeństwa obywatelskiego, lży się jako

najemników imperializmu. Nie można tępić i więzić najemników, jeśli jednocześnie chce się zaprzyjaźnić z tym, kto ich rzekomo najmuje i opłaca.

Nie da się mówić jednocześnie językiem poprawnej komunikacji z otoczeniem i żargonem komunistycznej politgramoty z oblężonej twierdzy z własnym społeczeństwem.

Nie da się zaprowadzić kontrolowanego przez komunistyczną nomenklaturę partyjną kapitalizmu bez swobody przedsiębiorczości i prawa głosu w sprawach publicznych własnych obywateli.

Może to wychodzi Chińczykom od czasów Deng Xiaopinga, ku czemu bracia Castro tęsknie zerkają, ale nie wyjdzie na Kubie pod bokiem USA i wobec 2,5 miliona Kubańczyków, dla których wyspa jest także ich wyspą. To, co w kulturze Wschodu jest do pogodzenia, na Zachodzie, do którego Kuba od zawsze należy, nie da się pogodzić.

Postarają się o to prędzej czy później sami Kubańczycy, a wszystko wskazuje na to, że prędzej.

Nie tylko dlatego, że mają dość komunizmu i w ostatnich miesiącach, z braku możliwości głosowania przeciw dyktaturze przy urnach, głosują przeciw niej nogami i wiosłami nawet liczniej niż wcześniej. Tak jak kilka lat temu dziesiątki tysięcy z nich odnajdywało hiszpańskich przodków, żeby dzięki obywatelstwu zdobyć prawo wyjazdu i osiedlenia się w dawnej kolonialnej metropolii, tak dzisiaj wielu odgrzewa jakiekolwiek związki rodzinne z uchodźcami w USA, zwolnionymi z prawnych zakazów nabywania własności na wyspie, żeby lepiej się urządzić, kiedy Kuba otworzy się na zagranicę ostatecznie.

Przede wszystkim dlatego, że już dawno komunizm i antyamerykanizm straciły dla Kubańczyków swój powab, a od niedawna nie działają również jako ortodoksyjny kaganiec i szantaż, że „w ramach rewolucji wszystko wolno, a wbrew niej nic". W więzieniach wciąż siedzi około stu opozycjonistów, bezpieka dalej zatrzymuje, przesłuchuje i grozi, po wyspie krążą wciąż bojówki, a na nieposłusznych i nieprawomyślnych czyhają komitety obrony rewolucji. Ale z Kubańczyków uchodzi strach. Ludzie burzą się i złorzeczą na ulicach i przystankach, nie gryząc się w język i nie oglądając przez ramię.

Opozycja demokratyczna, liczna jak nigdy wcześniej, działa i spotyka się regularnie i nawet jeśli nie mobilizuje rodaków do buntu, budzi otwartą sympatię.

Komunizm utracił też narzędzia monopolu na zarządzanie życiem materialnym i duchowym swoich poddanych. Prawie milion z 11 mln Kubańczyków pracuje już na swoim, poza państwem, w tysiącach rodzinnych przedsiębiorstw, począwszy od spłachetków ziemi, po warsztaty naprawcze,

stragany i knajpy. Niedająca się oszacować większość porzuca państwowe źródła informacji i rozrywki na rzecz dostępnych dzięki internetowi i elektronicznym mediom wiadomości z blogów, gazet, filmów czy programów rozrywkowych spływających szerokim strumieniem z zagranicy i oglądanych dzięki inteligentnym telewizorom plazmowym i pendrive'om.

Setki tysięcy Kubańczyków mają wreszcie dostęp do własności, nie tej osobistej przedmiotów codziennego użytku, ale własności mieszkań i nieruchomości, które mogą kupować i sprzedawać, czyli robić z nich zaczyn bogactwa czy kapitału na przyszłość.

Kubańczycy coraz swobodniej jeżdżą za granicę i wracają, coraz liczniej i częściej odwiedzają ich krewni z zagranicy, którzy dzięki reformom Baracka Obamy mogą im posyłać więcej pieniędzy, by pomóc związać koniec z końcem.

Na ulicach Hawany i innych miast koszule, czapki, chusty czy leggingsy w deseń flagi amerykańskiej są zwyczajnym widokiem. A w pierwszych niezależnych badaniach socjologicznych, które udało się przeprowadzić na wyspie ankieterom z emigracji, najpopularniejszą postacią okazał się Barack Obama, który zdobył 80 procent głosów, dwukrotnie więcej niż święci rewolucji – Fidel i Raúl Castro.

W tak zwanych wyborach, które właśnie się odbywają 19 kwietnia, po raz pierwszy startują kandydaci niezależni. Co prawda wszystko zależy od komisji wyborczej, na którą nie mają żadnego wpływu, ale jeszcze niedawno nikomu na wyspie do głowy by nie przyszło, żeby stanąć do wyborów przeciw władzy. Gdyby taki szaleniec się znalazł, szybko by mu to z głowy wybito, a przede wszystkim nikt by się o tym nie dowiedział. Tymczasem pierwsza niezależna gazeta internetowa „14ymedio", założona przez słynną dziennikarkę Yoani Sánchez, opisała tragikomiczne perypetie Hildebrando Chaviano i Yuniela Lópeza O'Farrilla z okręgów wyborczych Plaza de la Revolucion i Arroyo Nacional.

Obaj zgłosili się jako kandydaci spoza list oficjalnych, spełnili wymagane kryteria i zostali zarejestrowani. Ale obu komisje wyborcze arbitralnie zmieniły biogramy.

Na ulotkach wyborczych Chaviano okazał się „kontrrewolucjonistą" wyrzuconym z MSW za „prowadzenie niedające się pogodzić ze służbą", chociaż odszedł z własnej woli. Obok na liście jest trzech wzorowych komunistów o nieposzlakowanej reputacji.

– Ale to mój życiorys ludzie widzą jako coś nowego, a nawet wyróżnienie – mówi Chaviano, który pisze jako niezależny dziennikarz do niezależnych mediów. – Władza sądzi, że ludzie są jak w latach 60. To

zupełnie nie tak. To tylko dodaje mi popularności.

Yuniela Lópeza O'Farrilla komisja postanowiła przedstawić wyborcom jako „kontrrewolucjonistę, któremu płaci zagranica". Usunęła z jego ulotki zapowiedź, że gdy zostanie wybrany, wprowadzi program wszechstronnego rozwoju dzieci w swojej dzielnicy, ale dopisali za bezpieką, że „zajmuje się nielegalną działalnością informatyczną".

Obaj zaprotestowali, zażądali wyjaśnień, co znaczy „rewolucjonista" i „kontrrewolucjonista", ale wskórali tylko tyle, że bezpieka wzmocniła ich obserwację pod domem. Obaj wiedzą, że na wybór szans nie mają nie dlatego, że nikt nie zagłosuje, lecz dlatego, że głosy zostaną unieważnione lub sfałszowane. – Ale pokazaliśmy, że reżim nie jest nietykalny i że nie wszyscy go popierają.

Jaki ma sens wbijać do głów poddanych, że kandydaci spoza partii komunistycznej to wrogowie, skoro z badań socjologicznych i wyglądu kubańskiej ulicy wynika, że z wrogów i wielbicieli wrogów ojczyzny składa się w większości kubańskie społeczeństwo? Kogo obelgi z ulotek wyborczych mają informować, kogo zastraszyć, skoro wszyscy wiedzą co innego, wierzą w co innego i chcą dla siebie i kraju czegoś innego niż władza? Jak długo jeszcze...?

Jeśli Miami na Florydzie, ze sławną dzielnicą Małą Hawaną, było od 1960 roku stopniowo „kubanizowane" przez kolejne fale emigrantów z wyspy, to dzisiaj Hawana się „miamizuje". W hotelach i knajpach brzmi muzyka emigrantów z Miami, Willy Chirino, Celii Cruz czy Eliadesa Ochoi, ludzie ubierają się jak na Florydzie, zakładają bary i knajpy za pieniądze otrzymane od krewnych z Miami, podają drinki i dania jak w Miami, mówią gwarą pełną wyrażeń przywiezionych z Miami. Jeszcze kilka lat temu było to nie do pomyślenia, bo było wprost zakazane i karane.

Wszyscy, którzy mają kogoś w Miami tylko przebierają nogami w oczekiwaniu, że po zniesieniu lub zluzowaniu embarga ruszą z USA na wyspę kapitały i inwestycje.

– Córka mi przyśle kartę kredytową na swoje konto i będę mogła wypłacać sobie więcej na życie – mówi Sara, nauczycielka z Plaza de la Revolucion.

Bracia Crespo otworzyli knajpę i mają nowe plany: – Już mamy potrzebne kontakty i tylko czekamy, aż ruszą do nas dostawy, żebyśmy mogli zrobić nowy jadłospis.

Dysydenci na wyspie mają mieszane uczucia. Jedni, jak Yoani Sánchez, José Daniel Ferrer czy Dagoberto Valdés, popierają odwilż, bo wiedzą, że śluzy dyktatury mogą tylko pękać coraz bardziej, i martwią się raczej o to,

jak doprowadzić do cywilizowanego dialogu o przywróceniu demokracji, a potem, jak zszyć społeczeństwo przez dziesięciolecia dzielone na wiernych i zdrajców, miejscowych i emigrantów.

Inni, jak Antonio Rodiles czy Berta Soler, chcieliby, żeby dyktatura została pokonana, upokorzona i ukarana.

Yoani Sánchez pamięta, jak w szkole tańczyła z koleżankami i kolegami na dziedzińcu wokół palonej na ognisku kukły Wuja Sama, a nauczycielka wrzucała do ognia jego kapelusz w pasy i gwiazdy. Dzisiaj to już nie będzie możliwe, bo mit bestii został pogrzebany.

Ważne jest przygotowanie się na czasy, kiedy pogrzebane zostaną także mity zdrajców ojczyzny, najemników i lokajów. Ale równie ważne – pisze Sánchez – jest poniechanie nienawiści do „reżimowców" i „komuchów".

„Te wzajemne obelgi tylko zwiększają podziały i opóźniają przemiany, jakich potrzebuje nasz kraj – pisze. – Tkanka społeczna ma swoje spoiwa, których żadne nożyce nietolerancji nie powinny rozcinać".

– Wszyscy mamy kogoś w rodzinie, kto należy albo do oficjalnych organizacji kobiet, rolników, związków zawodowych czy komitetów obrony rewolucji. Nie możemy ich przecież wykluczać i amputować. To byłoby sekciarstwo. Nikt nie powinien być wykluczony z debaty narodowej. Społeczeństwo obywatelskie musi się odnaleźć i spotkać. Odpowiadamy za proces ponownej integracji społecznej i nie możemy znowu zacząć odcinać i wykluczać – uważa Yoani Sánchez.

Wykluczyć nie da się zwłaszcza emigrantów, którzy nawet jeśli dziś nie są, choć chętnie się od nich bierze pieniądze, to jutro będą równoprawnymi Kubańczykami. Wyrównanie im krzywd pozostanie kwestią do rozwiązania. Także krzywd majątkowych.

Na wyspie i na emigracji już trwa gorączkowa krzątanina wokół utraconych kiedyś nieruchomości przez Kubańczyków zbiegłych za granicę lub wywłaszczonych amerykańskich firm.

Według amerykańskiej agencji ds. roszczeń zagranicznych, FCSC, komunistyczna Kuba wywłaszczyła amerykański majątek wart w 1961 roku 1,9 mld dolarów, co dzisiaj stanowi ok. 7 mld dolarów. Były to firmy, cukrownie, pola, stada, domy, łodzie, auta, dzieła sztuki itp. Największe koncerny, jak Cuban Electric Company, ITT czy Exxon, utraciły po kilkaset lub kilkadziesiąt milionów ówczesnych dolarów.

Dziś amerykańska lista obejmuje 5900 roszczeń, ale w 90 procentach to roszczenia od osób fizycznych, z czego znakomita większość – ok. 80 procent – nie przekracza wartości 10 tys. dolarów.

Amerykańska ustawa z 1996 wymaga od Kuby odszkodowań

za wywłaszczony majątek jako warunku zniesienia embarga handlowego. Ale wielu amerykańskich ekspertów wie, że Kuba jest zrujnowana i nie ma pieniędzy na odszkodowania. Liczą na to, że wielkie wywłaszczone firmy zrezygnują z nich w zamian za możliwość ponownego wejścia z inwestycjami na Kubę. A Kuba będzie ich potrzebowała.

Taka sama krzątanina dotyczy zakupów nieruchomości na wyspie.

Nad morzem w Hawanie między hotelem Riviera a ambasadą Rosji stoi gotowa na sprzedaż za 1,2 mln dolarów willa dawnego amerykańskiego mafiosa Meyera Lansky'ego. Lansky to symbol przedrewolucyjnego amerykańskiego panowania w Hawanie, gdzie bandziory i tuzy szemranego biznesu uwiły sobie gniazdo hazardu, seksu i luksusu. Jej dzisiejszy właściciel John Jeffries z Bermudów tylko czeka na kupca.

Ale wizją powrotu amerykańskiej mafii reżim braci Castro bynajmniej rodaków nie straszy. Bo sam już od dawna szykuje miękkie lądowanie w kapitalizmie dla swoich co bardziej rozgarniętych dygnitarzy i dzieli tort między nich i bogatych obcokrajowców.

W Varadero właśnie ukończono luksusowy port jachtowy dla 400 łodzi, hotel, galerię handlową, restaurację i bary w ramach wspólnej kubańsko-zagranicznej inwestycji.

Państwowa firma Palmares SA (czyli dygnitarze z ministerstwa turystyki) zawarła właśnie kontrakt z brytyjskim konsorcjum London and Regional Properties Ltd. na budowę kompleksu turystycznego z polem golfowym i akademią tenisową, hotelami, willami i knajpami za 350 mln dolarów.

Wszystko z myślą o turystach z USA, którzy lada chwila zwalą się na północne wybrzeże Kuby.

– Ludzkie pojęcie przechodzi, ilu Amerykanów się zgłasza do nas od grudnia. Chcą kupić nieruchomości na Kubie – mówi Yad Aguiar z kanadyjskiego portalu Piont2Cuba.com.

Dziś nie mogą tego robić legalnie, ale mogą kupować przez podstawionych Kubańczyków. I wielu mieszkańców wyspy już myśli o sprzedaży co lepszych mieszkań.

– Z Miami przylatują już setki emigrantów gotowych wyłożyć 300, 400 czy milion dolarów na posiadłość na wyspie – mówi Hugo M. Cancio, emigrant redagujący biuletyn nieruchomości. – Kupują na krewnych na wyspie. Rynek już ruszył.

Jedno jest pewne. Kukieł Wuja Sama nie chcą już palić na wyspie. Nomenklatura komunistyczna oraz zwykli obywatele chętniej sięgną do jego kieszeni.

To, jak niszczeje Hawana, najpiękniejsze miasto zachodniej półkuli, pokazuje prawdziwą Nową Sztukę Robienia Ruin, jeden z wielu wynalazków Fidela Castro. Tu nie przeszła wojna, nie spadła ani jedna bomba, ani jeden granat. Tu tylko rozkwitł komunizm

Plaże Kuby to jak obwódka luksusu, seksu i dolarów otaczająca kraj pogrążony w codziennej biedzie, znoju i beznadziei...

...dostarczają żeru bezwstydnym zagranicznym samcom, których jedynym atutem jest garść dolarów

Fidel Castro przeżył nawet Hugo Chaveza, młodszego o ponad 30 lat dziedzica i jego największą niespełnioną nadzieję, że niecały umrze...

...zdążył go jednak obwieźć po Hawanie jako następcę na pamiątkę własnej triumfalnej tury sprzed pół wieku

Flaga amerykańska zdobi dziś wszystko na Kubie. Głowy, szyje, torsy i nogi. Kuba wywraca się do góry nogami

ANEKS

Ludzie rewolucji

JOSÉ ANTONIO ECHEVERRIA, przywódca studencki i Dyrektoriatu Rewolucyjnego, buntownik przeciw dyktaturze Fulgencio Batisty, zginął w 1957 roku w ataku na pałac dyktatora w Hawanie.

FRANK PAIS, rewolucjonista Ruchu 26 Lipca, który wzniecił powstanie przeciw dyktaturze Batisty. Aresztowany i zabity przez policję w 1957 roku.

ERNESTO CHE GUEVARA, Argentyńczyk, rewolucjonista, który przystał w Meksyku do buntowników kubańskich przeciw Batiście, członek ekspedycji na statku „Granma", potem partyzant w Sierra Maestra, po zwycięstwie jeden z przywódców i ideologów komunistycznej Kuby, szef banku centralnego i minister przemysłu. Pojmany i zastrzelony w Boliwii w 1967 roku, gdzie usiłował powtórzyć rewolucję wznieconą przez partyzantów.

HUBER MATOS, nauczyciel, rewolucjonista, przystał do partyzantki

w Sierra Maestra, jeden z jej najważniejszych komendantów i towarzyszy walki Fidela Castro. Po zwycięstwie jeden z pierwszych, który sprzeciwił się komunistycznej degeneracji rewolucji. Osądzony i skazany na 20 lat w pokazowym procesie w Hawanie w grudniu 1959roku. Od 1979 roku na emigracji. Zmarł w lutym 2014 roku w Miami.

HEBERTO PADILLA, wybitny poeta kubański, autor legendarnych zbiorów wierszy „Fuera del Juego" i „Provocaciones". Zwolennik rewolucji, a potem rozczarowany nią. W 1971 roku z powodu tomu „Provocaciones" aresztowany za zdradę i zmuszony do publicznej samokrytyki. Wyjechał z Kuby w 1979 roku. Zmarł opuszczony, załamany i zapomniany na emigracji w USA w 1980 roku.

GEN. ARNALDO OCHOA, członek KC Komunistycznej Partii Kuby, szef wojsk kubańskich wysłanych na wojnę do Angoli w latach 1987-98. Dostał najwyższe odznaczenie Bohatera Rewolucji od Fidela Castro. Aresztowany za zdradę i handel narkotykami, rozstrzelany po haniebnym procesie w 1989 roku.

ANTONIO DE LA GUARDIA, płk MSW, towarzysz broni gen. Ochoi, skazany i rozstrzelany razem z nim.

NICOLÁS GUILLÉN, wybitny poeta Kuby, od młodości komunista, reporter w czasie wojny domowej w Hiszpanii. Twórca „czarnej literatury" kubańskiej łączącej kulturę afrykańskich potomków niewolników i współczesnej literatury. Po rewolucji dygnitarz reżimu. Zmarł w 1989 roku.

GUSTAVO ARCOS, weteran rewolucji, uczestnik pierwszej próby przewrotu w 1953 roku (Moncada) i po rewolucji ambasador w Belgii. Uwięziony w latach 60. za zdradę, uwolniony i ponownie skazany w 1981 roku. Do śmierci w 2006 roku działał w opozycji.

Paladyni Fidela

RAÚL CASTRO, dziś prezydent Kuby, młodszy o pięć lat brat Fidela Castro, partyzancki komendant Sierra Maestra.

FELIPE PÉREZ ROQUE, jeden z najmłodszych dygnitarzy dyktatury, były minister spraw zagranicznych 1999-2009. Popadł w niełaskę, odsunięty jako zdrajca za „nadmierne pragnienie władzy".

CARLOS LAGE, długoletni przyboczny Fidela Castro w komitecie centralnym partii komunistycznej i radzie państwa, typowany na jego następcę. Niespodziewanie usunięty z elity władzy w 2009 roku razem z Pérezem Roque i za to samo.

RICARDO ALARCÓN, zdawało się wieczny przewodniczący tzw. parlamentu kubańskiego (1993-2013) i delegat Kuby w ONZ. Jednak dwa lata temu usunięty z biura politycznego partii komunistycznej i szefostwa zgromadzenia ludowego.

CARLOS RAFAEL RODRIGUEZ, weteran komunizmu od lat 30. XX wieku. Po rewolucji jeden z głównych dygnitarzy nomenklatury w rządzie, politbiurze i parlamencie aż do śmierci w 1997 roku.

ROBERTO ROBAINA, jeden z byłych młodych wilków reżimu komunistycznego. Minister spraw zagranicznych i najmłodszy członek politbiura partii komunistycznej w 1991 roku. W 1999 roku wyrzucony z rządu, a w 2002 roku także z partii komunistycznej za „korupcję i nielojalność".

Ludzie wolnej Kuby

YOANI SÁNCHEZ, filolog i dziennikarka niezależna, sławna blogerka, autorka bloga „Generación Y". Wiele lat prześladowana.

ORLANDO LUIS PARDO, jeden z pierwszych niezależnych dziennikarzy, artystów i pisarzy, założyciel pierwszego niezależnego periodyku w sieci „Voces".

LAURA POLLÁN, nauczycielka literatury, w 2004 roku założyła z innymi kobietami Damy w Bieli, stowarzyszenie żon 75 dysydentów skazanych czarnej wiosny na wieloletnie więzienie, któremu przewodziła do śmierci w 2011 roku.

REINALDO ESCOBAR, niezależny dziennikarz, mąż Yoani Sánchez. Za młodu komunista i dziennikarz oficjalnej prasy wyrzucony z „Juventud Rebelde" w 1988 roku za niesłuszne poglądy i krytykę reżimu. Prowadzi niezależny portal DesdeCuba.

ORLANDO ZAPATA TAMAYO, robotnik związany z ruchem dysydenckim. Aresztowany po raz pierwszy w 2002 roku, ponownie w 2003 roku i skazany na 36 lat więzienia. W 2010 roku zmarł w więzieniu po 86 dniach głodówki.

GUILLERMO FARIÑAS, jeden z najsławniejszych dysydentów, laureat Europejskiej Nagrody Praw Człowieka im. Sacharowa. Spędził w więzieniach 11 lat. Wielokrotnie głodował.

RAÚL RIVERO, poeta i jeden z pierwszych niezależnych dziennikarzy kubańskich, założył pierwszą wolną agencję Cuba Press. Skazany czarnej wiosny na 20 lat więzienia, uwolniony ze względu na stan zdrowia, Raúl Rivero żyje na emigracji w Hiszpanii.

LUIS CINO, niezależny dziennikarz, współpracownik portali Cubanet, DeCuba, Primavera Digital.

HÉCTOR PALACIOS, weteran opozycji demokratycznej od 1980 roku, wcześniej wiceminister w rządzie komunistycznym. Wielokrotnie więziony i skazywany, po raz ostatni czarnej wiosny 2003 roku. Katowany w celi i uwolniony w stanie krytycznym w 2007 roku, wyjechał na leczenie do Hiszpanii. Wrócił w 2008 roku i ponownie przystąpił do opozycji.

GISELA DELGADO, dysydentka, współzałożycielka ruchu bibliotek niezależnych, żona Héctora Palaciosa.

RICARDO BOFILL, jeden z prekursorów ruchu dysydenckiego, założyciel Komitetu Obrony Praw Człowieka i Pojednania. Od lat 60. kilkakrotnie skazywany i uwalniany. W 1988 roku wyemigrował.

CARLOS ALBERTO MONTANER, jeden z najbardziej znanych pisarzy, historyków, dziennikarzy emigracyjnych.

CARLOS FRANQUI, rewolucjonista, w górach Sierra Maestra założył rozgłośnię radiową, po zwycięstwie rewolucji szefował najważniejszej gazecie „Revolucion", dziennikarz, poeta, pisarz. Od 1968 roku, kiedy potępił inwazję armii Układu Warszawskiego na Czechosłowację, emigrant.

ELIZARDO SÁNCHEZ, dysydent, wielokrotnie więziony, szef Komitetu Obrony Praw Człowieka i Pojednania.

GUSTAVO ARCOS, dawny rewolucjonista, towarzysz Fidela Castro w ataku

na koszary Moncada w 1953 roku. Po zwycięstwie rewolucji ambasador w Belgii, odwołany i skazany na 10 lat za krytykę Castro. Aresztowany za próbę ucieczki z wyspy, ponownie skazany na 14 lat. Weteran ruchu dysydenckiego. Zmarł w 2006 roku, nigdy nie opuściwszy Kuby.

SEBASTIÁN ARCOS, młodszy brat Gustavo, razem założyli w 1981 roku pierwszy Komitet Obrony Praw Człowieka.

OSWALDO PAYÁ, sławny dysydent i intelektualista, założyciel Chrześcijańskiego Ruchu Wyzwolenia. Zasłynął akcją zbierania podpisów pod żądaniem referendum w sprawie przywrócenia demokracji na Kubie, tzw. projektu Varela. Udało mu się mimo prześladowań zebrać prawie 30 tysięcy podpisów. Władze żądanie zignorowały. Laureat Europejskiej Nagrody Praw Człowieka im. Sacharowa. Zginął w 2012 roku w wypadku samochodowym, prawdopodobnie sprowokowanym przez służbę bezpieczeństwa.

DAGOBERTO VALDÉS, wybitny intelektualista i dysydent, katolik, założyciel ośrodka kultury obywatelskiej w diecezji Pinar del Rio oraz tygodnika „Vitral". Mianowany przez Jana Pawła II członkiem papieskiej rady Iustitia et Pax. Dziś kieruje niezależym pismem „Convivencia".

Nota edytorska

Zebrane w tej książce teksty były w większości publikowane w „Gazecie Wyborczej" w latach 2000-15. Wprowadzone w nich drobne zmiany wynikają głównie z potrzeby uaktualnienia zawartych w nich informacji oraz wymogów redakcyjnych. Wiersze, piosenki oraz cytaty – jeśli nie zostało to oznaczone inaczej – zostały przetłumaczone przez Macieja Stasińskiego.